

ZESZYT STO DWUDZIESTY CZWARTY

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1998





ZESZYT STO DWUDZIESTY CZWARTY

# ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1998

BIBLIOTEKA «KULTURY»  
TOM 503

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0171-1

**IMPRIME EN FRANCE**

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Bronisław BACZKO

## NIEPOKÓJ HISTORYKA

### FRANÇOIS FURET I PROBLEMY REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

François Furet był historykiem intelektualnie niespokojnym. Posiadał on dar rzadki, wyróżniający historyków wybitnych i oryginalnych: potrafił się dziwić. Przeszłość nie była dlań jedynie ani nawet głównie przedmiotem badania – jej przebieg budził jego zdziwienie i z troską, intelektualny niepokój. Jako historyk Rewolucji Francuskiej sprawił on, że ten okres dziejów stał się na nowo problemem, że utracił swą złudną i uspokajającą przejrzystość.

Gdy dwadzieścia lat temu, w 1978 r., Furet publikuje swą książkę „Myśleć Rewolucję Francuską” („Penser la Révolution Française”) już sam tytuł był prowokacją intelektualną. Apel aby na nowo przemyśleć Rewolucję był wyzwaniem i paradoksem. Historia Rewolucji jest wówczas, od kilkudziesięciu lat, dyscypliną nader szacowną, choć nieco nudną. Prowadzone są, oczywiście, w tej dziedzinie badania źródłowe, publikuje się prace erudycyjne, istnieje, na Sorbonie, odrębna katedra poświęcona historii Rewolucji, ukazują się specjalistyczne czasopisma, itd. Natomiast nie budzi ona już niepokoju intelektualnego i nie wywołania nowych pytań. Poza sprawami erudycyjnymi, które w żadnej

dziedzinie historycznej nie są nigdy definitywnie wyczerpane, cóż w niej, właściwie, miałyby jeszcze zaskakiwać? Gdy ukazuje się książka Fureta, w badaniach nad Rewolucją dominuje pewna wulgata interpretacyjna, stop tradycji jakobińskiej i przekazu marksistowskiego, swoisty „katechizm rewolucyjny”, jak powiadał Furet. Posiadał on ten walor szczególny, że dzięki niemu Rewolucja Francuska uzyskiwała absolutną niemal przejrzystość. Rola hegemonia przypada w niej burżuazji, która przewodzi masom ludowym i doprowadza do upadku ustroju feudalnego, oraz monarchii. Szczytowym punktem rewolucji była dyktatura jakobińska, jej najbardziej postępowy etap, gdy pod naciskiem mas, władza rewolucyjna realizowała hasła równości i sprawiedliwości społecznej, wykraczające poza interesy klasowe burżuazji. Terror był jedynie perypetią rewolucji a nie wyrazem jej głębokich tendencji; został on niejako narzucony młodej władzy rewolucyjnej przez okoliczności zewnętrzne, jako środek obrony rewolucyjnej ojczyzny przed rodzimą kontrrewolucją sprzymierzoną z koalicją mocarstw monarchicznych. Upadek Robespierre'a i Termidor oznaczają faktyczny koniec rewolucji, zwycięstwo reakcji, której następstwem jest bonapartyzm. Przestraszona rozmachem ruchu rewolucyjnego burżuazja porzuciła wartości rewolucyjne a niedojrzałe jeszcze, pozbawione przewodnika masy, nie były zdolne do realizacji własnych celów. Historyczną funkcją rewolucji było więc uutorowanie drogi nowemu, kapitalistycznemu porządkowi. Równocześnie jest rewolucja świadectwem patriotycznego porywu, zwiastuje nadejście Republiki, scentralizowanego, nowoczesnego państwa narodowego, oraz jego zdobyczy: równości wobec prawa, systemu parlamentarnego, laicyzacji życia publicznego, powszechnej i świeckiej szkoły, itd. Jednakże Republika poprzestaje na demokracji jedynie formalnej, za którą kryje się nierówność społeczna i podział na antagonistyczne klasy, proletariat i burżuazję. Rewolucja Francuska jest więc niejako zapowiedzią innej rewolucji, która dopełni jej przesłania i ją przekroczy. Konieczność dziejowa dostarcza zatem dialektycznego klucza do zrozumienia zarówno doniosłości jak i ograniczeń Rewolucji Francuskiej. Uosabia ona pewien zespół wartości, wobec którego obo-

wiążują kategorie moralne wierności lub zdrady. W tym sensie, należąc do przeszłości, będąc przedmiotem historii, rewolucja poza nią wykracza, jest nam niejako stale współczesna. Stąd też nieuchronna ciągłość tradycji politycznych i ideologicznych w dziejach Francji. Prawica, spadkobierczyni kontrrewolucji, jest z istoty swej reakcyjna, konserwatywna i antyrepublikańska; postępową spuścizną republikańską jest szczytnym udziałem lewicy, a zwłaszcza ruchu robotniczego, prawomocnego dziedzica epopei rewolucyjnej.

Wulgata ta miała swój nieodparty urok (sam mu ulegałem, gdy pierwszy raz zetknąłem się z problematyką Rewolucji Francuskiej): jak już mówiłem, polegał on przede wszystkim na tym, że czynił dzieje rewolucyjne równie jasnymi, jak Historia, w którą była ona w ten sposób wpisana. Meandry i zawiłości polityki rewolucyjnej, sprzeczności między hasłami i praktykami rewolucyjnymi, nieprzewidywalność wydarzeń i konflikty między aktorami, indywidualnymi i zbiorowymi, wszystkie te trudności były jedynie pozorne, ponieważ znajdowały swe wyjaśnienie w ukrytych mechanizmach społeczno-ekonomicznych. A czymże jest nauka jeśli nie właśnie przejściem od tego co widoczne, od powierzchni zjawisk, do ukrytych przyczyn? Ten pozór stanowił również największą słabość „katechizmu rewolucyjnego”: na historię rewolucji owa przejrzystość rzucała głęboki cień, który przesłaniał jej istotne problemy. Im bardziej te schematy były powielane i uszczegóławiane, tym bardziej sprzyjały lenistwu intelektualnemu. Nie kłóciło się ono zresztą bynajmniej z rewolucyjnym patosem.

Z temperamentu niejako, ze względu na swój skład myślowy, François Furet źle bardzo znosił lenistwo umysłowe, w jakie by się ono nie przystrajało szaty ideologiczne, marksistowskie lub liberalne, jakobińskie lub konserwatywne. Polityka, jako przedmiot badań historycznych, była dlań, przede wszystkim, swoistym wyzwaniem intelektualnym, zespołem problemów do wyjaśnienia. Furet nie pytał się jedynie o to, jaki był przebieg wydarzeń i ich przyczyny, ale również o to, jakie były warunki możliwości ich zaistnienia. Olbrzymią zasługą Fureta jest właśnie sformułowanie pytań, od których uchylał się „katechizm rewolu-

cyjny”. Jakżeż to było możliwe, że latem 1789 kryzys finansowy i instytucjonalny, dla którego istniały rozwiązania kompromisowe i pragmatyczne, w ciągu kilku zaledwie tygodni radykalizował się i stał się uogólnionym kryzysem władzy, całego systemu politycznego i społecznego? Na czym polegała zdumiewająca, niwelująca i destrukcyjna siła owego roku osiemdziesiątego dziewiątego, która sprawiła, że w ciągu kilkunastu miesięcy zniweczone zostały hierarchie społeczne, autorytety moralne, instytucje i przywileje, które przetrwały wieki? Jakież były warunki możliwości wprowadzenia nowego układu życia zbiorowego, nowej umowy społecznej, przekształcenia społeczeństwa stanowego w społeczność obywatelską, złożoną z równych, wolnych i autonomicznych jednostek? Jakżeż to było możliwe, że rewolucja, która rozpoczęła się pod hasłami wolnościowymi, po trzech latach wyłania z siebie władzę dyktatorską, która, w imię tych samych wartości, wprowadza Terror jako system polityczny, tzn. systematyczne stosowanie przez państwo represji jako odpowiedzi na trudności polityczne i na opory, kulturowe, religijne, polityczne itd, które rodzą rewolucyjne przemiany? Czy był to jedynie chwilowy poślizg, w jaki wpadła rewolucyjna polityka, czy też przesłanki Terroru zawarte już były w wyjściowym, wolnościowym porywie a zaktualizowały się tylko następnie, na skutek dynamiki wydarzeń? Czy zatem należy rozpatrywać Rewolucję jako jedną całość, swoisty „blok”, czy też należy w niej wyróżnić odrębne i przeciwstawne etapy, różne właściwie rewolucje, które się spiętrzyły w czasie? Jak wytłumaczyć zawrotność wydarzeń rewolucyjnych, ich zaskakującą nieprzewidywalność? Nie tylko aktorzy wydarzeń są nieustannie zdumieni ich niespodziewanym przebiegiem, ale i późniejsi historycy wciąż mają kłopoty z wyjaśnieniem dlaczego, w momentach przełomowych, zrealizował się tylko jeden z wielu możliwych scenariuszy. Jakie były specyficznie polityczne aporie, dylematy i rozterki, z którymi borykali się aktorzy rewolucji? Przy pomocy jakich pojęć i wartości, w jakich językach politycznych, uświadamiali oni sobie swe sytuacje, określali cele i wybierali formy swych działań? Jakie namiętności polityczne rozpętują wydarzenia rewolucyjne? Jakie jest tworzywo rewolucyjnego entuzjazmu,

który zarazem wyzwala olbrzymie zasoby energii społecznej i przesłania rzeczywiste skutki podjętych działań? Jaką swoistą kulturę polityczną wytapia w swym tyglu Rewolucja Francuska?

Nie mogę, oczywiście, przytoczyć odpowiedzi ani na te wszystkie pytania, ani na mnóstwo innych, które wracały pod piórem Fureta: trzeba byłoby, w tym celu, szczegółowo omówić jak rozumiał on i przedstawiał dzieje rewolucji. Zresztą w badaniach historycznych, sformułowanie trafnych pytań jest sprawą najistotniejszą; odpowiedzi, z reguły, są prowizoryczne i częściowe. Nie wszystkie pytania postawione przez Fureta były nowe; niektóre z nich należały do klasycznego repertuaru historiografii rewolucyjnej. Furet potrafił jednak je odnowić, przeformułować, włączyć do oryginalnego i całościowego kwestionariusza. Odpowiedzi zaś dociekiwał z wyjątkową rzetelnością intelektualną i olbrzymim talentem; umiał poddawać rewizji własne hipotezy, gdy uznawał je za niezadowolające, wzbogacać stale zespół swych pytań. Krótko mówiąc: historia Rewolucji stała się na nowo intrygująca, trudna i zmuszała do myślenia. Pominięcie subtelnych analiz konkretnych wydarzeń pociąga za sobą ryzyko schematyczności, niemniej jednak chciałbym nakreślić przynajmniej kierunki poszukiwań historycznych Fureta, świadczące właśnie o jego intelektualnych niepokojach.

Rewolucja Francuska była dlań, przede wszystkim, zjawiskiem politycznym. Napotykała ona, oczywiście, problemy społeczne i ekonomiczne, borykała się z nimi, lepiej lub gorzej je rozwiązywała, nie jest ona jednak sprowadzalna do tych wymiarów. Przemiana rewolucyjna dotyczy całokształtu życia zbiorowego a jej sprawą centralną jest ukształtowanie nowoczesnej, demokratycznej kultury politycznej, znamienych dla niej zasad i instytucji, wzorów kulturowych i namiętności politycznych, symboli i zachowań zbiorowych. Rewolucja Francuska jest, skądinąd bolesną i społecznie kosztowną, formą wypracowania takiej właśnie kultury, lub raczej jej specyficznej wersji: historia i dynamika rewolucji są nieodłączne od jej porywów, dylematów i ślepych zaufków. W 1789 r., Deklaracja praw człowieka i obywatela proklamuje ustanowienie społeczeństwa nowoczesnego, na które

składają się wolne, równe i samodzielne jednostki, podmioty życia politycznego; określała ona ich niezbywalne prawa, wyznaczające osobistą sferę jednostki, gwarantuje ich nie naruszalność i obronę przed ingerencją wszelkiej władzy. Ale równocześnie, od samego swego zarania, Rewolucja nadaje wolności również inny kształt. Jednostka jest wolna jako obywatel, członek suwerennego narodu; naród właśnie, jako zbiorowość, jest podmiotem życia politycznego a jego swobodnie wyrażona wola jest jedynym źródłem prawomocnej władzy; nieograniczona suwerenność narodu samostanowiącego o swym losie jest wyrazem i potwierdzeniem jego wolności; obywatel jest wolny, gdy współdecyduje, na równi z innymi, o stanowieniu prawa, które wszystkich na równi obowiązuje. Inaczej mówiąc: Rewolucja Francuska odwołuje się zarazem do liberalizmu i do demokracji: wyjątkowa intensywność i bogactwo francuskiego doświadczenia politycznego polega w szczególności na tym, że jest ona zarazem liberalna i jakobińska. W zaskakujący sposób oba te aspekty wyłaniają się z doświadczeń rewolucyjnych, Mirabeau i Barnave, Danton i Condorcet, Robespierre i Bonaparte, każdy na swój sposób, i dość zdumiewająco, potrafią scalać obie te tendencje w swych projektach i działaniach politycznych.

Znamienny dla czasu rewolucji jest przerost tkanki symbolicznej życia zbiorowego. W tym szczególnym okresie, symbole wywierają zdumiewający wręcz wpływ na ludzkie działania, a sprawcza moc retoryki jest wręcz nieobliczalna. Stąd też szczególna doniosłość, która przypada słowu i operowaniu symbolami. Zawładnięcie pozycją strategiczną, która pozwala przemawiać w imieniu ludu, zmonopolizować prawo do wypowiedzania jego suwerennego słowa, jest jedną z ważnych stawek w grze politycznej. Rewolucyjna przemiana stawia na porządku dziennym trudne ale konkretne i określone zadania: wprowadzić system reprezentatywny i demokrację parlamentarną; opracować konstytucję zapewniającą rozdział władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej; zagwarantować wolność słowa i druku; opracować reformę prawa karnego i cywilnego; wprowadzić nowy system miar i wag; zapewnić powszechną oświatę, podstawowy wymóg



demokracji, itd. Równocześnie jednak te właśnie konkretne zamierzenia i przedsięwzięcia wpisane są w cele niejako absolutne, wyznaczające horyzont nadziei rozbudzonych przez rewolucję: prawo każdej jednostki do realizacji swego szczęścia; całkowitą przejrzystość władzy politycznej, jej celów i środków; odrodzenie moralne bytu zbiorowego i zbudowanie od nowych podstaw zbiorowej tożsamości; ukształtowanie nowego Narodu i nowego człowieka. Cele pragmatyczne od aspiracji utopijnych udaje się rozgraniczyć *a posteriori*; w rzeczywistych działaniach jednostek i mas, zazębiają się one i warunkują wzajemnie, splecione są ze sobą w zaskakujących i trudnych do rozsufłania węzłach i uwikłaniach. Protagonisci przeżywają Rewolucję jako niezwykłą i jedyną szansę historyczną, gdy wszystko stało się możliwe, jako czas wielkiej obietnicy i zbiorowej nadziei. Stąd też niezwykle trudności, na które napotykają, gdy wyłania się przed nimi nieuchronny problem jak skończyć rewolucję, jak jej położyć kres, mimo to, że nie spełniła rozbudzonych przez nią oczekiwań. Rewolucja starzeje się tym gorzej, że nieustannie uprawia retorykę swej wiecznej młodości. Stąd również dramatyczne rozterki i rozgoryczenia: rewolucja pozostawia za sobą stan nienasycenia. Rodzi również mitologię, która żywi się zarazem jej sukcesami i jej porażkami: nowe rewolucje są możliwe, jako że potężny zryw rewolucyjny miał już raz miejsce; są one również nieuchronne, aby dopełniona została, nareszcie, obietnica nowego, lepszego świata.

Od swego zarania Rewolucja Francuska odwołuje się do wolności, równości i braterstwa jako wartości uniwersalnych, proklamuje też ona prawo narodów do samookreślenia. Ojczyźnie praw człowieka, właśnie Francji, przypada więc uniwersalna misja, jest ona nosicielką mesjanizmu wolności. Rewolucja jest rzeczywiście francuska, również w tym sensie, że wpisana jest w losy Francji, największego, pod koniec XVIII w., mocarstwa europejskiego. Rewolucja otwiera dwudziestoletni cykl wojen europejskich, które przybrały nieznaną dotychczas w dziejach rozmiary. Uniwersalne wartości oraz modernizację życia zbiorowego, rewolucyjne wojska przynoszą na ostrzach swych bagnatów. Podporządko-

wane są owe wartości francuskim interesom geo-politycznym a granice między zdobywcą wolnością a zniewalającym podbojem okazują się nader płynne. Wytworem Rewolucji jest nowoczesny naród polityczny, tzn. demokratyczna wspólnota obywateli; otwiera też ona epokę nowoczesnych państw narodowych i ruchów nacjonalistycznych. Zakorzenie w uniwersalnych wartościach moralnych i politycznych własnej odrębności, napięcie między uniwersalizmem a partykularyzmem, jest nieodłącznym składnikiem rewolucyjnej świadomości narodowej.

Problematyczność wyróżnia kulturę polityczną, która wyłoniła się z rewolucji. Demokracja jest szczególnym systemem, którego siła i kruchość polegają zarazem na tym, że polityka musi tu znaleźć w sobie samej rację swego istnienia, źródło swej prawomocności. Demokracja to nieustannie powtarzany wybór, zależny od obywateli, którzy ją stanowią. Demokracja jest również nieustannym wyzwaniem, jako, że zakłada stałą konfrontację metod i praktyk rządzenia z zasadami, które leżą u jej podstaw i stanowią jej sens. Rewolucyjna demokratyzacja polityki zawiera w sobie wzorzec polityczny i kulturalny obywatela należycie poinformowanego o sprawach publicznych i efektywnie uczestniczącego w życiu zbiorowym. Retoryka rewolucyjna nieustannie operuje tym wzorcem, natomiast rewolucyjna rzeczywistość jeśli go w ogóle realizuje, to jedynie w bardzo grubym przybliżeniu. Aktywność obywatelska jest rewolucyjnym dobrem szczególnie nierówno podzielonym.

Apel Fureta, aby myśleć na nowo Rewolucję Francuską nie oznaczał bynajmniej sprowadzenia jej dziejów i problemów do racjonalnych schematów. Niewątpliwie, rewolucyjna przemiana jest próbą racjonalizacji życia publicznego i obszaru polityki, oparcia ich na rozumnych, oświeceniowych przesłankach i zasadach, oraz na eliminacji hierarchii i przegród społecznych wywodzących się z przywileju, tradycji, przesądu, itd. Sama jednak rewolucja nie jest bynajmniej zjawiskiem racjonalnym: jej wybuch i przebieg znaczą przypadki; wyzwała ona, skupia i potęguje potężne siły i czynniki irracjonalne, namiętności i żłudy. Znamienne dla okresu rewolucyjnego jest szczególne nasilenie namiętności

nieuchronnie związanych z walką o władzę, która staje się przedmiotem zaciekłych konfliktów. Ale rewolucja otwiera również obszar działania dla wielkich namiętności politycznych, znamienych dla narodzin nowoczesnej demokracji. Równość nie jest jedynie abstrakcyjnym pojęciem; złuda powszechnego zrównania kondycji zdolna jest wyzwolić podejrzenia, nienawiści i aspiracje zbiorowe o potężnym ładunku emocjonalnym. Polityka zyskuje nowy obszar działania: w swych kulminacyjnych momentach rewolucja wciąga do polityki, na skalę nie znaną dotąd w historii, warstwy społeczne i tłumy, które dotychczas były poza jej zasięgiem. Zresztą sama rewolucja, jej realia i jej symbole, jest źródłem swoistej namiętności politycznej. Zawrotną jest wiara, że historię można rozpocząć od nowa, od punktu zerowego; upajające jest przeświadczenie iż należy zmieść przeszłość i nadać przyszłości kształt nowy, stworzyć na nowo naród i odnowić człowieka. Są to zadania na człowieczą miarę, należące do obszaru historii i polityki; spełnienie ich zależne jest od suwerennej woli zbiorowej. Dyktatura rewolucyjnej cnoty odwołuje się do wartości demokratycznych – ma ona być jedynie prawomocnym wyrazem nieograniczonej, zwierzchniej władzy ludu nad sobą samym. Nie ma wolności dla wrogów wolności i równości. Terror, strach i represje polityczne, są przede wszystkim formą samoobrony narodu ale mogą być również przydatne jako narzędzia pedagogiki społecznej, odnowy obyczajów, oczyszczenia świadomości zbiorowej od haniebnych śladów wielowiekowego zniewolenia. Doświadczenia i symbole rewolucyjnej przemocy, porywy i porażki rewolucyjnych paryskich tłumów, pozostawiły trwałe ślady w świadomości społecznej. Rewolucyjny czyn jawi się nie tylko jako środek służący szczytnym celom, ale również jako wartość samoistna. Sprzężona z utopiami lepszej, odnowionej cywilizacji, rewolucyjna przemoc stała się trwałym składnikiem nowoczesnej kultury politycznej, a retoryka rewolucyjnej przemocy upowszechniła się jako skuteczna i porywająca postać dyskursu politycznego. Entuzjazm rewolucyjny okazał się bardzo mocnym trunkiem a kariera rewolucjonisty halucynującym wzorcem politycznym i kulturowym. Mitologia Rewolucji Francuskiej służyła jako

nieprzebrana składnica, z której korzystały, w XIX i XX wieku, kolejne pokolenia rewolucjonistów. Epopeja rewolucyjna nie zostawiła tylko nostalgicznych wspomnień, lecz dostarczała modeli przyszłych działań, stała się trwałym wzorem nieuchronnego tryumfu sprawiedliwości nad bezprawiem, równości nad przywilejem.

W 1978 r. „Myśleć Rewolucję Francuską” otwiera znakomity esej zatytułowany „Rewolucja Francuska jest skończona”. Jest to zaskakujący cytat: po swym puczu, 18 brumaire’a, Napoleon w swej proklamacji użył tych właśnie słów, aby obwieścić kres rewolucji. Po cóż więc go parafrazować, w 170 lat później? Formuła świadomie prowokacyjna. W swym tekście Furet stwierdzał, że Rewolucja Francuska wyczerpała swój potencjał mitotwórczy, że schematy intelektualne i ideologiczne „katechizmu rewolucyjnego” straciły swą nośność. Dzieje rewolucji przestały więc być przedmiotem ideologicznie „gorącym”, pretekstem dla ideologicznych potyczek. Nastąpił zatem czas, aby je traktować na równi z innymi okresami, uczynić przedmiotem namysłu i konceptualizacji. Ów „koniec Rewolucji Francuskiej” wpisywał Furet w kontekst ogólniejszy: wyczerpanie dynamiki rewolucyjnej w demokratycznych krajach zachodnich, w szczególności we Francji; kryzys marksizmu jako ideologii i propozycji intelektualnej; skostnienie i stagnacja „socjalizmu realnego”; przekształcenie retoryki rewolucyjnej w drętwą mowę zniewalającą umysły, itd. Diagnozy oczywiste? Mniej zapewne niż się to wydaje dziś, w dwadzieścia lat później. Nie zapominajmy jednak, że wówczas, w 1978 r., na murach paryskich jeszcze nie zbladły slogany wymalowane w maju 1968 r., a goszystowska frazeologia buszuje wciąż w auliach uniwersyteckich i w głowach, profesorskich i studenckich. Nie zapominajmy również, że jest to również okres bujnego rozkwitu sowietologii. Zastępy uczonych produkują opasłe tomy i zapewniają specjalistyczne czasopisma, w których dowodzi się, że system kapitalistyczny nie ma wprawdzie przed sobą zbyt świetlanej przyszłości, ale że bez wątpienia przetrwa on dostatecznie długo, aby sowietolodzy doczekali się swych zasłużonych emerytur a ich doktoranci objęli po nich katedry. Historia nie bywa tylko

ironiczna; czasem zdaje się ją bawić przyprawianie gombrowiczowskiej gęby.

W 1989 r., w pełni uroczystych obchodów dwuchsetlecia Rewolucji Francuskiej, upadek systemu komunistycznego dopisał do zapowiedzianego „końca Rewolucji” zdumiewający i nieoczekiwany epilog. Sześć lat później François Furet publikuje „Przeszłość pewnej iluzji. Esej o historii idei komunistycznej”. Pierwsza to – i niestety ostatnia – jego praca z zakresu historii najnowszej. Furet zresztą nigdy nie zamykał się w badaniu przeszłości; w młodości, przez kilka lat, był francuskim komunistą i to doświadczenie polityczne potrafił znakomicie zużytkować dla analizy historii idei komunistycznych; przez długie lata był jednym z najwnikliwszych obserwatorów francuskiego życia politycznego, wytrawnym publicystą. „Przeszłość pewnej iluzji” jest jedną z najdonioślejszych książek końca naszego wieku; znalazła ona szeroki, międzynarodowy oddźwięk, a dyskusje nad nią wciąż trwają. Omówienie jej wykracza też daleko poza ramy tego szkicu, niemniej jednak trudno byłoby ją całkowicie pominąć. Refleksje Fureta nad Rewolucją Francuską stanowią bowiem nie tylko zaplecze jego ostatniego dzieła; szereg wcześniejszych wątków tematycznych podejmuje on w książce na nowo, pogłębia i uzupełnia. Ograniczam się więc do zasygnalizowania dwóch problemów, ściśle powiązanych z pracami nad dziejami Rewolucji Francuskiej: analizy namiętności rewolucyjnych oraz rozważań nad losami i dylematami demokracji.

Przed wszystkim jednak, w tym właśnie kontekście, przywołać należy Tocqueville’a. Furet i Tocqueville, to znów odrębny, obszerny temat; wypada go tylko wypunktować. Inspiracja Tocqueville’a obecna jest w całej twórczości Fureta, a rozdział o pasji rewolucyjnej, otwierający „Historię pewnej iluzji”, jeden z najlepszych, jest również najbardziej może „tocqueville’owski”. Nieprzypadkowo też ten właśnie rozdział stanowi zwornik między pracami o historii Rewolucji Francuskiej a analizą historii współczesnej. U autora „Demokracji w Ameryce” sama kategoria namiętności rewolucyjnej pojawia się jedynie ubocznie, ale związane z nią problemy stanowią podtekst jego rozważań, poświęconych

pasjom politycznym znamionem dla nowoczesnej demokracji i nieodłącznym od burzycielskiej, nieprzeparłej siły Rewolucji Francuskiej. Z Tocquevillem łączy Fureta ujmowanie demokracji nie tylko jako systemu instytucji politycznych i formy sprawowania władzy, lecz również i przede wszystkim jako specyficznej kultury politycznej, jako określonego układu kulturowego. Z Tocquevillem łączy go podejmowanie jako wspólnego obszaru problemowego Rewolucji Francuskiej i narodzin demokracji, przekonanie, że bilans rewolucji jest przede wszystkim polityczny i kulturowy: zarazem wieńczy ona długofalowy proces budowy scentralizowanego państwa a równocześnie jest radykalną innowacją i wytwarza mamidło absolutnego przełomu w dziejach. Tak jak Tocqueville, Furet był zafascynowany Stanami Zjednoczonymi, kulturą amerykańskiej demokracji, jej aspektami uniwersalnymi i jej odrębnościami. Wspólna z Tocquevillem jest jego szczególna wrażliwość na poetykę dziejopisarstwa, troska o elegancję stylistyczną, naturalna wręcz skłonność do aforystyki. Tak już bowiem jest, że niemal bez wyjątku, wielcy historycy są znakomitymi pisarzami. Tocqueville'owski wreszcie jest rodowód historii, którą uprawiał Furet. Jej zamysł polegałby na tym, aby z dziejów wydobyć ich warstwę problemową, aby zrozumieć aktorów historycznych oraz ich idee poprzez pryzmat problemów i antynomii, politycznych i intelektualnych, społecznych i moralnych, w które są oni uwikłani i z którymi się borykają. Uprawianie historii jest więc zabiegiem racjonalizującym, jednakże świadomym swych ograniczeń. Kształty i konfiguracje sytuacji historycznych nie są redukowalne do żadnych schematów; mity i symbole przemożnie współokreślają namiętności i konflikty polityczne. W stosunku do zamierzeń, wyniki działań mają, jakże często, skutki przewrotne, a nieprzewidywalność dziejów składa się na ich ciągłość. Chciałoby się taką propozycję uprawiania historii nazwać filozoficzną, gdyby nazwa ta nie była już niejako zerezerwowana, na trwałe zrosnięta z Oświeceniem, zajęta przez Woltera i Gibbona.

Wróćmy jednak do sformułowanych uprzednio problemów. Czy zasadne jest przywołanie doświadczeń Rewolucji Francuskiej dla zrozumienia rozpalonych namiętności,

którymi w dwudziestym wieku żywiły się ideologie i ruchy totalitarne? I czy analiza tych właśnie ruchów przyczynia się, retrospektywnie, do lepszego zrozumienia pewnych aspektów Rewolucji Francuskiej? Odpowiedzi Fureta są nader zniuansowane. Przestrzega on przed ahistorycznością, złudnymi i powierzchownymi analogiami. Z naciskiem podkreśla przede wszystkim zasadniczą nowość doświadczenia totalitarnego. Wprawdzie w czasie Rewolucji Francuskiej, latem 1794 r., w szczytowym momencie Terroru, gdy równocześnie Robespierre wprowadza kult Istoty Najwyższej, zaistniały elementy reżymu ideologicznego porównywalnego z systemem władzy totalitarnej; był to jednak krótkotrwały, kilkutygodniowy zaledwie epizod, sprzężony w dodatku ze specyficznymi dla rewolucyjnych dziejów konfliktami religijnymi. Przed dwudziestym wiekiem nie istniały reżymy totalitarne: sprzęgnięcie nieograniczonej władzy politycznej z aspirującą do wszechwładzy ideologią jest specyficznym wytworem naszego wieku. Ideologie i reżymy totalitarne są pochodne wobec demokracji, w tym sensie, że są one jej śmiertelnymi schorzeniami. Świadczą one o głębokim kryzysie idei i systemów demokratycznych a zarazem na tych właśnie systemach pasożytują, doprowadzając do ich rozkładu. Powstanie reżymów totalitarnych nieodłączne jest od najgłębszego, być może, w całej historii demokracji kryzysu, który przeżywa ona w następstwie katastrofalnych skutków politycznych i społecznych pierwszej wojny światowej. Na tle tego uogólnionego kryzysu zaskakująco doniosła jest rola, jaką w ostatecznym ukształtowaniu toku wydarzeń, odegrały przypadkowe zbiegi okoliczności. Ani szturm na Pałac Zimowy, ani marsz na Rzym, ani podpalenie Reichstagu nie były przejawami konieczności historycznej i nie przemawiał przez nie duch dziejów. Aby zrozumieć ideologie i reżymy totalitarne w ich konkretnych, historycznych uwarunkowaniach, wypada nie tylko pogrzebać wiarę w konieczność historyczną ale również przestać po niej nosić żałobę. Bolszewicy, obsesyjnie niemal, powoływali się na Rewolucję Francuską jako na swoistą matrycę ich własnych dziejów i konfliktów; w latach dwudziestych, Trocki piętnował dojście Stalina do władzy jako nowy Termidor, a Stalin z kolei, oskarżał Trockiego o bonapartyzm.

Z czego bynajmniej nie wynika, że jakobini byli wirtualnymi leninowcami, a Napoleon raczkującym trockistą. Analogie historyczne są przydatne, jeśli tylko nie przesłaniają swoistości zaistniałych wydarzeń.

Kultura polityczna Rewolucji Francuskiej nie zwiastuje więc totalitaryzmu, w żadnej z jego dwudziestowiecznych postaci. Natomiast już podczas tej rewolucji dobitnie objawiają się specyficzne dla nowoczesnej demokracji sprzeczności i napięcia o dalekosiężnych skutkach. Jej nieodłączną cechą jest to mianowicie, że zawiera w samej sobie przesłanki dla swej radykalnej kontestacji, w oparciu o jej własne zasady i w imię rozbudzonych przez nią samą zbiorowych nadziei. Tak miały się zwłaszcza sprawy z demokratycznym postulatem równości, który nieustannie zasiliał rozmach i energię rewolucyjnych namiętności.

W 1789 r., zasada równości, zarazem hasło i obietnica, była skierowana przede wszystkim przeciwko przywilejom i hierarchiom, rodowym i stanowym, znamienym dla starego porządku polityczno-społecznego. Dynamika rewolucji sprawia jednak, że wymogi równości szybko ulegają absolutyzacji. Jeśli ludzie mają się wzajem uznawać za równych, jeśli mają myśleć samych siebie i nowe demokratyczne stosunki międzyludzkie w kategoriach równości, to jakżeż to pogodzić z podziałami na biednych i bogatych, na wyrobników i kapitalistów, na nędzarzy i notabli? Jakobini byli zwolennikami własności prywatnej, wolności produkcji oraz gospodarki rynkowej, ale równocześnie byli rewolucjonistami, którzy sprzeciwiali się nierówności dóbr wytwarzanej przez wolny rynek. Z głębokim przekonaniem atakują też oni, w imię demokratycznej równości, „nową arystokrację bogaczy”. Już sama ta terminologia jest nader znamienna. Jeśli demokratyczna nierówność odtwarza jedynie, na nową modłę, stare, arystokratyczne nierówności, to w imię czego obalony został stary porządek? Jeśli zaś demokratyczna zasada równości jest uniwersalna i rozciąga się na wszystkie dziedziny życia zbiorowego, to z jakiego tytułu jedni mają za dużo a inni za mało, jedni posiadają wszystko, a inni nic? Obsesja radykalnej równości żywi się podejrzeniami i rodzi podejrzliwość. Rewolucja Francuska nie jest tworem burżuazji; natomiast w



rewolucyjnej kulturze politycznej zakorzenia się negatywne wyobrażenie burżuazji oraz republikańsko-jakobińska podejrzliwość wobec niej, jako bliżej nieokreślonej grupy społecznej. (Furet podkreśla, że właśnie obecność tego stereotypu oraz antyburżuazyjne tendencje zasadniczo różnią francuską demokratyczną kulturę od jej amerykańskiego odpowiednika. W amerykańskiej kulturze głęboko zakorzenione są szacunek i podziw dla tych, co się dorobili własnymi rękami i własną przedsiębiorczością; nierówność bogactw stymuluje konkurencję i współzawodnictwo, motory napędowe demokracji). Negatywny stereotyp kulturowy *bourgeois* wyprzedza więc w czasie dziewiętnastowieczną urbanizację i kapitalistyczną industrializację; olbrzymie koszty społeczne tych procesów oraz rozwój ruchu robotniczego pogłębiły jeszcze bardziej postawy antyburżuazyjne. Burżuazja nie jest wzgardzana jedynie przez ruchy lewicowe, powołujące się na dziedzictwo rewolucyjne. Tradycjoniści, którzy nie pogodzili się z przemianami rewolucyjnymi, również nienawidzą owych nuworyszy, bez rodowodów i manier, którzy za wszelką cenę chcą się wybić i domagają się uznania od sfer wyższych. Toteż pogarda dla burżuazji i wrogość wobec niej panują niemal niepodzielnie we francuskiej literaturze i sztuce XIX w.: od Balzaca do Zoli, od Hugo do Daumiera, trudno znaleźć pozytywny obraz francuskiego miészczucha.

Podejrzliwość wobec burżuazji idzie w parze z poczuciem niedosytu i z nieufnością wobec demokracji. Na horyzoncie zbiorowych oczekiwań Rewolucja Francuska umieszcza obietnicę wolności i równości; rozbudza nadzieje, których ani ona, ani żadna demokratyczna rzeczywistość, nie mogły zaspokoić. Nie tylko dlatego, że absolutna wolność i równość nie dają się urzeczywistnić, ale również i dlatego, że są to, z natury swej, niewyczerpalne nadzieje i obietnice. Im pełniej i szerzej przyswajane są wartości demokratyczne, tym bardziej przyrasta poczucie ich braku, stan nienasylenia. W żadnym kraju demokratycznym nie może być dość wolności i równości dla wszystkich. System demokratyczny rodzi spontanicznie poczucie, że wciąż jest za mało wolności i równości, i że zawsze mogłoby tego być więcej. Demokracja uczy obywateli podejrzliwości wobec ich władzy i ich

polityków; nakłania, aby im stale patrzeć na ręce. Podział na rządzących i rządzonych jest z łatwością postrzegany jako symbol przywileju; jest on również moralnie podejrzany, ze względu na korupcję, od której żadna władza, a już zwłaszcza władza z wyboru, nie potrafi się ustrzec. Rewolucyjna kultura polityczna rozbudza demokratyczne nadzieje, ale zarazem wytwarza masowe rozczarowania wobec demokracji. Jako swe trwałe dziedzictwo przekazuje ona poczucie rozgoryczenia na skutek rozdźwięku między powszechnością obietnicy demokratycznej a jej zawsze częściowymi i względnymi realizacjami. W dziejach systemów politycznych, podkreśla Furet, specyfika nowoczesnej demokracji polega na tym właśnie, że posiada ona nieskończoną wręcz zdolność do wytwarzania zastępów ludzi, którzy nie znoszą ustroju politycznego i społecznego, w którym się zrodzili, którzy nienawidzą powietrza jakim oddychają, choćby nawet nigdy nie znali innego ustroju, niż właśnie demokracja, którą pomiatają.

Na przełomie XIX i XX wieku, w Europie Zachodniej pasje rewolucyjne raczej opadają a epicentrum wstrząsów rewolucyjnych przenosi się na wschód, zwłaszcza do imperium rosyjskiego. Równocześnie dokonuje się inne znamienne przesunięcie: idea rewolucji przestaje być monopolem ruchów, które przywołują jako swą tradycję Rewolucję Francuską. Aktywizm rewolucyjny przestaje być postawą wyłącznie lewicową, również i ruchy prawicowe zaczynają go sobie przyswajać. Tendencje te zostają gwałtownie przyspieszone przez pierwszą wojnę światową: otwiera ona okres europejskich katastrof. Nowy rozmach idei rewolucyjnej i zwycięstwo bolszewików nie byłyby możliwe bez koszmaru wojny, hekatomby ofiar, pragnienia pokoju i wykorzenia miliónów ludzi (następnie, w latach dwudziestych i trzydziestych, zasilą oni szeregi „ludzi zbędnych” w służbie przemocy). Na nieznaną dotąd, masową skalę, rodzą się też prawicowe ruchy rewolucyjne. W ciągu XIX w. prawica europejska odreagowuje wciąż Rewolucję Francuską i boi się jej nawrotów; konserwatywna i tradycjonalistyczna, nie kryje ona swej pogardy dla demokratycznych, rozpolitykowanych tłumów. Otóż zaskakująca nowość ruchów faszystowskich, w szerokim sensie tego terminu, polega na zespoleniu idei

i wartości tradycjonalistycznych z pochwałą rewolucyjnego, zwróconego ku przyszłości, czynu. Najgłębsze pokrewieństwo między faszyzmem i komunizmem, ideologiami skądinąd sobie wrogimi, wywodzi się z ich wspólnej nienawiści do demokracji. Faszyzm i komunizm odrzucają ją dla odmiennych racji ideologicznych; każdy z nich przywołuje inne uzasadnienia doktrynalne. W obu jednak wypadkach, jest to odrzut równie radykalny i równie radykalna jest wspólna pogarda dla demokracji. Pod tym względem są to ruchy i ideologie porównywalne, co nie oznacza bynajmniej, że są one tożsame lub wymienne. Dziś, gdy demokracja i wolny rynek triumfują niepodzielnie, łatwo zapomina się do jakiego stopnia i jak bardzo powszechnie, w okresie międzywojennym, demokracja i kapitalizm traktowane były jako systemy schyłkowe i jaką wzgardę budził parlamentaryzm i jego politycy. A przecież właśnie zaistnienie nowoczesnej demokracji, umasowienie pasji politycznych i upolitycznienie mas, były warunkiem niezbędnym dla zaistnienia rozrostu zarówno komunizmu jak i faszyzmów.

Zatrzymajmy się tu: wywody Fureta o losach idei komunistycznej w XX wieku wykraczają poza ramy tych rozważań. Na zakończenie poruszmy natomiast sprawę dotyczącą bezpośredniej współczesności, końca tego okrutnego wieku, który jakby nie chciał przeminąć i rozstać się ze sobą. W ostatnich szkicach i artykułach Fureta, z wiosny ubiegłego roku, występuje szczególnie ważny wątek przewodni, świadectwo zatroskania o współczesną demokrację, lub też o miejsce demokracji w naszej współczesności (problem ten powraca zwłaszcza w jego długiej i fascynującej, czasem zaskakującej, wymianie listów z Ernestem Nolte, uczniem Heideggera, wybitnym konserwatywnym historykiem faszyzmu, którego ostatnie prace nie tylko relatywizują nazizm lecz ocierają się o jego względną rehabilitację). Rok 1989, upadek muru berlińskiego, uzyskanie suwerenności przez narody uzależnione od Związku Radzieckiego, rozpad systemu komunistycznego, itd., oto wydarzenia, które bezsprzecznie świadczą o zwycięstwie demokracji i liberalizmu ekonomicznego w skali światowej. A jednak, powiada Furet, wiek ten zdaje się kończyć melancholijnie. Nie tylko dlatego, że rozwiały się

wielkie nadzieje rozbudzone przez ów rok 1989, a marzenia o szczęśliwym jutrze ustąpiły miejsca niełatwej prozie codziennego życia. Paradoksalnie okazało się, że im bardziej kapitalizm tryumfuje, tym bardziej jest nie lubiany. Nie dlatego, że przybierałyby na sile tęsknoty za socjalizmem policyjnym, za ogonkami i za uogólnionym niedostatkiem. Rzecz ma się, w pewnym sensie, przeciwnie: upadek komunizmu odebrał gospodarce wolnorynkowej i systemowi wielopartyjnemu jeden z ważnych argumentów przemawiających na ich korzyść, a mianowicie ich skuteczny antykomunizm. Mimo swych wad, kapitalizm i demokracja dysponowały niewątpliwym walorem: broniły wolności, stanowiły zaporę przed totalitarnym zniewoleniem. W imię tego jakże wiele można było wybaczyć. Dzisiaj krytyka ich ewidentnych ułomności: korupcji, woobcowania polityki, masowego bezrobocia, wyłączenia z życia zbiorowego całych grup ludności, jest tym bardziej ułatwiona i nieskrępowana, że nie ciąży na niej hipoteka ewentualnej obrony systemu totalitarnego. Dotyczy to zwłaszcza krytyki z lewa, która nie musi się kłopotać o uzasadnienie wyższości jakiegokolwiek alternatywnego modelu społecznego, ponieważ model taki nie istnieje. Ale ułatwia to również krytykę z pozycji ruchów skrajnie prawicowych, których dzisiejsza retoryka nie kwestionuje zasad demokracji, lecz domaga się jej skutecznej, muskularnej naprawy. Tak więc stało się dziś możliwe krytykowanie społeczeństwa liberalnego i demokratycznego bez podważania jego zasad, za to, że nie jest ono dość demokratyczne, że nie zaspokaja oczekiwań, które zrodziło i że nie dotrzymuje swych własnych obietnic. Demokrację krytykuje się więc za to, że nie spełnia ona w pełni demokracji. Odradza się również krytyka, która żywi się starym marzeniem, a mianowicie pragnieniem oddzielenia demokracji i jej swobód politycznych od kapitalizmu i jego mechanizmów gospodarczych i skutków społecznych. Marzy się więc utrzymanie uroków demokracji a pozbycie się realiów kapitalizmu, choć od ponad dwóch wieków kapitalizm i demokracja składają się na jedną i wspólną historię. Takie jest właśnie melancholijne tło tego *fin de siècle*. Czas nasz posiada jeden tylko horyzont; wciągnięci jesteśmy w proces uniformizacji świata i wyobco-

wania jednostek wobec ekonomiki. Możemy usiłować zmniejszyć negatywne skutki tych procesów, ale nie posiadamy żadnego wpływu na jego źródła i przyczyny. Historia jawi się nam jako siła tym bardziej samowładna, że wyzbyliśmy się złudzeń, iż potrafimy rządzić jej biegiem. Oczywiście, można szukać pocieszenia w znanym porzekadle Churchilla, że demokracja jest wprawdzie pełnym wad systemem rządów, tyle tylko, że nikt dotąd nie wymyślił lepszego. Złudne to jednak pocieszenie. Można bowiem jak najbardziej demokratycznie, odwołując się do demokratycznych zasad, wartości i wymogów, siać zwątpienie w demokrację. Demokracjom nie grożą jedynie nawałnice dziejowe; mogą one również próchnieć.

Demokracja francuska przeżywa obecnie okres trudny i, być może, nawet niebezpieczny. Tym bardziej dotkliwie odczuwa się brak zatroskanego i melancholijnego niepokoju François Fureta.

Rzetelność wobec czytelnika wymaga dorzucenia wyznania osobistego. Nie zamierzałem napisać ani bezstronnej rozprawy o twórczości François Fureta ani pośmiertnej jego pochwały. Tekst ten jest daremną próbą podtrzymania dialogu intelektualnego z przyjacielem, który już nigdy nie odpowie. Z niesprawiedliwością jego śmierci pogodzić się nie mogę i nie chcę.

*Bronisław BACZKO*

Aleksander KOLAŃCZUK

## GENERAŁOWIE POLSCY W ARMII UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ 1917-1920

W połowie 1917 roku w armii rosyjskiej było 119 generałów pochodzenia polskiego. Wielu z nich brało czynny udział w wojnie rosyjsko-japońskiej 1904-1905 roku. Po rewolucji lutowej wielu polskich generałów i wyższych oficerów przed przyjazdem do Polski zaangażowało się w organizację narodowej armii ukraińskiej. Miało to miejsce zarówno w okresie rządów Ukraińskiej Centralnej Rady (marzec 1917 – marzec 1918) jak i hetmana Pawła Skoropadskiego (kwiecień – listopad 1918) oraz Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej (grudzień 1918 – listopad 1920). Oto sylwetki niektórych z nich:

1. BILIŃSKI Aleksander (1865-1922), gen. bryg. WP, gen. por. armii URL.

Urodził się 24 XI 1865 r. w Odessie. Ukończył Gimnazjum Reszetyłowskie w Odessie, a następnie Szkołę Junkrów w Kijowie. Uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905 r. i I wojny światowej. W 1918 roku został dowódcą 13 Dywizji Piechoty armii ukraińskiej hetmana Pawła Skoropadskiego. W kwietniu 1919 r. po powrocie do Polski podjął służbę w Zarządzie Budowlano-Kwaterunkowym Obozu Warownego w Brześciu n/Bugiem. Następnie pracował w Zarządzie Czerwonego Krzyża oraz Krajowym Ubezpieczeniu

Ogniomym w Poznaniu. Był wyznania prawosławnego i dopiero w październiku 1920 roku przeszedł na katolicyzm.

2. BRYNK Zygmunt (1872-1943), gen. bryg. WP, w armii ukraińskiej szef działu technicznego Floty Czarnomorskiej.

Urodził się 24 IV 1872 r. w Mogilnie na Ukrainie. Ukończył gimnazjum w Petersburgu, Wydział Budowy Okrętów Morskiej Szkoły Inżynieryjnej w Kronsztadzie, Oficerską Szkołę Torpedową oraz Akademię Morską w Petersburgu. Do 1917 r. pływał na różnych okrętach w armii rosyjskiej. Na początku 1917 r. był prezesem Zarządu Stoczni w Mikołajewie (Ukraina), a w 1918 r. został przez hetmana Skoropadskiego powołany na szefa Działu Technicznego w sztabie Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. Wiosną 1919 r. przybył do Polski i był skierowany do służby dyplomatycznej. Po przejściu do rezerwy pracował w organizacjach gospodarczych.

3. GAWROŃSKI Wiktor Mieczysław (1863-1946), gen. WP, w 1918 r. gen. armii ukraińskiej.

Urodził się 20 IV 1863 r. w Braclawiu na Ukrainie. Ukończył Kijowskie Gimnazjum Wojskowe, Konstantynowską Szkołę Wojskową i Mikołajewską Szkołę Inżynieryjną w Petersburgu. Uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905 r., przed 1917 rokiem był dowódcą brygady wojsk kolejowych. W 1918 roku generał wojsk kolejowych w Głównym Zarządzie Sztabu Generalnego Państwa Ukraińskiego (Ukrajnińskoj Derżawy) hetmana Pawła Skoropadskiego. Na przedwiośnie 1919 r. przyjechał do Polski i został inspektorem wojsk kolejowych, szefem sekcji, a następnie Wydziału Wojsk Kolejowych Departamentu VI Ministerstwa Spraw Wojskowych.

4. KŁOCZKOWSKI Wacław (Wiaczesław) (1873-1930) kontradmirał WP i armii ukraińskiej.

Urodził się 16 II 1873 r. w Petersburgu. Po ukończeniu szkoły wojskowej służył w różnych jednostkach marynarki wojennej, odznaczył się w wojnie rosyjsko-japońskiej 1905 r. w bitwie pod Cuszimą. Z początkiem I wojny światowej został powołany na stanowisko dowódcy podwodnej brygady Floty Czarnomorskiej, a po przejściu do służby we Flocie Ukraińskiej, w kwietniu 1918 roku, stał na czele delegacji

ukraińskiej, prowadzącej negocjacje z gen. von Koschem w sprawie przekazania Ukrainie okrętów wojskowych przejętych przez wojsko niemieckie. 10 czerwca 1918 roku hetman P. Skoropadski powierzył mu dowództwo Floty Czarnomorskiej, w krótkim czasie doprowadził on do zwrotu Ukrainie wszystkich okrętów wojskowych. W lipcu 1918 r. wprowadził we Flocie ukraińskie uniformy, banderę narodową oraz doprowadził do przemianowania okrętów (pierwszy z nich otrzymał nazwę „Zaporożec”). Wiosną 1919 r. przyjechał do Polski, pracował w departamencie spraw morskich a następnie w służbie dyplomatycznej.

5. MOKRZECKI Stefan (1862-1932) gen. dyw. WP, w 1918 r. gen. armii ukraińskiej.

Urodził się 11 V 1862 r. w Dzitkach na Białorusi. Ukończył Korpus Kadetów w Pskowie i Szkołę Junkrów w Rydze. Po dwudziestoletniej służbie na stanowiskach dowódczych w armii rosyjskiej, od jesieni 1907 roku pracował w Komitecie Kształcenia i Wychowania przy Ministerstwie Wojny w Petersburgu, a podczas I wojny światowej dowodził pułkiem na froncie w Prusach Wschodnich. Był ranny i przebywał w niewoli. Po wymianie jeńców wrócił do służby wojskowej. Po demobilizacji z armii rosyjskiej, przed przyjazdem do Polski, w 1918 r. został mianowany dowódcą brygady połtawskiej armii ukraińskiej hetmana Pawła Skoropadskiego. W marcu 1919 r. zgłosił się do Polskiej Misji Wojskowej w Odessie i rozpoczął służbę w Wojsku Polskim (m.in. dowódca 8 Dywizji Piechoty, Okręgu Etapów Mińsk Litewski, z-ca d-cy Okręgu Gen. Pomorze, dowódca obrony Wisły, d-ca Korpusu Wojsk Litwy Środkowej).

6. MORAWSKI Jan (Iwan) Emanuel Sylwester (1867-1929) gen. bryg. WP, oficer sztabowy armii ukraińskiej w 1918 r.

Urodził się 2 I 1867 r. w Pokrówce k. Chełma. Wstąpił ochotniczo do armii rosyjskiej a po ukończeniu Topograficznej Szkoły Wojskowej w Petersburgu odbywał służbę wojskową w Moskwie, Warszawie oraz w Mandżurii. Uczestnik rosyjsko-japońskiej wojny 1904-1905 roku. Po rewolucji lutowej 1917 roku w Rosji służył kilka miesięcy w Korpusie Polskim płk. St. Skrzyńskiego a od kwietnia 1918 roku był oficerem sztabowym w Głównym Zarządzie Geodezyjnym Sztabu Generalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych Ukrai-



ny. W 1919 roku przyjechał do Polski i został kierownikiem Oficerskich Kursów Mierniczych, a następnie pełnił inne funkcje wojskowe w służbach geodezyjnych.

7. ODYNICIEC Wincenty (1865-1952) gen. dyw. WP gen. mjr armii URL 1917-1918 r.

Urodził się 21 III 1865 r. w Litwinkowie na Białorusi. Ukończył Szkołę Wojskową w Wilnie i Oficerską Szkołę Strzelecką w Oranienbaumie. Uczestnik rosyjsko-japońskiej wojny 1904-1905 roku i I wojny światowej – dowódca pułku, dywizji. Od października 1917 r. do końca kwietnia 1918 r. oficer sztabowy Kijowskiego Okręgu Wojskowego armii Ukraińskiej Republiki Ludowej w stopniu gen. majora. Od 1919 roku w Wojsku Polskim – pomocnik dowódcy Dywizji Litewsko-Białoruskiej, dowódca Okręgu Etapów w Białymstoku, d-ca Dywizji Strzelców Wielkopolskich. Od 1921 roku w stanie spoczynku.

8. SUCHODOLSKI Wacław (Wiaczesław) (1877-1939) gen. rez. WP, gen. mjr armii ukraińskiej.

Urodził się 1 I 1877 r. w Łucku. Ukończył gimnazjum w Chełmie, Szkołę Piechoty w Czuhujewie i Akademię Sztabu Generalnego w Petersburgu. Po kilkuletniej służbie w jednostkach wojskowych armii rosyjskiej, w tym na stanowiskach sztabowych, został wykładowcą taktyki w Wojskowej Szkole Piechoty w Odessie. Podczas I wojny światowej pełnił funkcję szefa sztabu 2 Dywizji Grenadierów a następnie był kolejno d-cą pułku, szefem sztabu 15 Dyw. Syberyjskiej, IX Korpusu 2. Armii. Został awansowany do stopnia generał-majora. W połowie 1917 r. przeszedł do armii ukraińskiej. Był w składzie 40-osobowej Komisji Sztabu Generalnego pod przewodnictwem prof. gen. Mykoły Junakowa opracowującej programy i organizację wojskowego szkolnictwa ukraińskiego. Po przybyciu do Polski w końcu 1920 r. usiłował wstąpić do WP lecz Oficerski Trybunał Orzekający jego wnioskowi nie przyjął. Pracował w Suwalskim Oddziale Okręgowym Handlu i Przemysłu w Warszawie. W okresie późniejszym włączono go do korpusu oficerów rezerwy w stopniu generała brygady.

9. ŚWIRSKI Jerzy Włodzimierz (1882-1959), kontradmirał WP i armii ukraińskiej 1918 r.

Urodził się 5 IV 1882 r. w Kaliszu. Ukończył Korpus Kadetów w Moskwie i Mirski Korpus Kadetów w Peters-

burgu. Podczas I wojny światowej pełnił służbę na stanowisku głównego nawigatora w sztabie Floty Czarnomorskiej. W 1918 r., po przejściu Floty Czarnomorskiej przez władze Ukrainy, pełnił nadal funkcję oficera sztabowego. W kwietniu 1918 r. był w składzie delegacji ukraińskiej na rozmowach w Berlinie w sprawie przejścia przez Ukrainę okrętów zajętych przez wojska niemieckie oraz w delegacji na rozmowy z Rosją sowiecką. Rozkazem hetmana Pawła Skoropadskiego został awansowany do stopnia kontradmirała i mianowany z-cą dowódcy Głównego Sztabu Morskiego. Po przejściu na Ukrainie władzy przez Dyrektoriat w 1919 r., przeszedł do służby w Wojsku Polskim, uczestnicząc w pracach delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Wersalu. W latach późniejszych pełnił odpowiedzialne funkcje w strukturach Ministerstwa Spraw Wojskowych II RP. W tym czasie utrzymywał kontakty z ukraińskimi oficerami marynarki wojennej, internowanymi w Polsce, przyjaźnił się zwłaszcza z byłym współpracownikiem z służby we Flocie Czarnomorskiej, kontradmirałem Wołodymyrem Sawczenko-Bilskim, któremu pomagał materialnie, kiedy ten po rozwiązaniu obozów w 1924 r. zamieszkał w Romejkach koło Sarn i pozostał bez środków do życia.

10. WIERZBICKI Paweł (? - ?), gen. rez. WP, wyższy oficer armii ukraińskiej.

Urodzony w Żytomierzu. Pułkownik armii rosyjskiej. Uczestnik I wojny światowej – dowódca kompanii, batalionu, pułku. W czasie działań wojennych został ranny, po okresie rekonwalescencji skierowano go na stanowisko wykładowcy Szkoły Oficerskiej w Żytomierzu. Po przewrocie październikowym 1917 r. w Rosji, wycofał się z służby wojskowej. Po otwarciu w Żytomierzu Szkoły Oficerskiej armii ukraińskiej zgłosił się do jej komendanta gen. Wsewołoda Petriwa i został wykładowcą taktyki. W okresie międzywojennym był gen. rez. WP.

W wojsku ukraińskim w latach 1917-1919 służył także Polak ppłk. ŁABUĆ, o którym jednak brak szerszych wiadomości.

#### Źródła i bibliografia:

Centralne Archiwum Wojskowe – Warszawa – Rembertów, zespół akt: Sprzymierzona Armia Ukraińska. sygn. 1.380.2/261.

## GENERAŁOWIE UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ INTERNOWANI W POLSCE

Zgodnie z porozumieniem polsko-ukraińskim, co najmniej 110 generałów ukraińskich zostało internowanych w Polsce. Niektórzy z nich znaleźli się w szeregach Wojska Polskiego. Byli to:

1. Hawronśkyj (Gawroński) Wiktor – (1863-1946), generał dywizji WP, absolwent Mikołajowskiej Szkoły Inżynierskiej w Petersburgu; po przejściu do wojska ukraińskiego pełnił funkcję komendanta do spraw kolejnictwa przy Głównym Zarządzie Technicznym armii ukraińskiej; po przybyciu do Polski pracował w Wojskowym Inspektoracie Kolejnictwa, a także w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

2. Kłoczowskiy (Kłoczowski) Wiaczesław (Wacław) – (1873-1930), kontradmirał WP, ukończył Mikołajowską Akademię Morską; dowódca dywizji łodzi podwodnych, od 1918 r. Ukraińskiej Floty Czarnomorskiej (doprowadził do przejścia wszystkich okrętów na M. Czarnym przez URL); od 1919 r. w Wojsku Polskim.

3. Mokreckyj (Mokrzecki) Stefan – (1862-1932), generał dywizji WP, absolwent szkół wojskowych w Rydze i Pskowie, oficer Komitetu Szkolenia i Wychowania przy Ministerstwie Wojny w Petersburgu; w 1918 r. dowódca połtawskiej brygady armii ukraińskiej; od 1919 r. w Wojsku Polskim.

4. Szandruk Pawło (1889-1979) – generał pułkownik, absolwent Akademii Sztabu Generalnego WP, współpracownik „Encyklopedii wojskowej”, we wrześniu 1939 r. szef sztabu, a następnie p.o. dowódca 29. brygady WP, odznaczony przez rząd emigracyjny Krzyżem *Virtuti Militari*.

Pozostali byli angażowani jako oficerowie kontraktowi ale na niższych etatach, pełnili rolę doradców, konsultantów, znaleźli zatrudnienie w działającym od 1926 do 1939 r. na podstawie nieoficjalnej akceptacji marszałka Józefa Piłsudskiego sztabie ministra spraw wojskowych URL na emigracji, liczna grupa działała w strukturach ukraińskiego Centralnego Komitetu w RP, bądź szukała zatrudnienia w różnych pol-

skich instytucjach cywilnych. Udało się ustalić nazwiska następujących generałów ukraińskich przebywających w latach 1920-1939 w Polsce:

1. Abaza Wiktor (1894-?) – generał chorąży;
2. Ahapijijw Wsewołod (1877-?) – generał chorąży;
3. Ałmazow Ołeksza (1886-1936) – generał chorąży;
4. Arkas Mykoła (1889-1939) – generał chorąży;
5. Bankiwskij Wołodymyr (1860-?) – generał chorąży;
6. Baszynskij Esper (?-?) – generał chorąży;
7. Bazylskij Hawryło (1880-1937) – generał chorąży;
8. Bezruczko Marko (1883-1944) – generał chorąży, wstąpił się bohaterską obroną Zamościa w czasie ofensywy bolszewickiej w 1920 r.;
9. Biłeckij Jewhen (1865-?) – generał chorąży;
10. Biłowycz Josyp (1866-1942) – generał chorąży;
11. Biłynskij Mychajło (1888-1921) – generał chorąży;
12. Biskupskij Wasyl (1878-?) – generał chorąży;
13. Bondariwskij Mychajło (1872-?) – generał porucznik;
14. Bredow Mykoła (1873-?) – generał porucznik;
15. Burkiwskij Ołeksander (1874-1921) – generał chorąży, zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach w Piotrkowie Trybunalskim;
16. Czechowycz Ołeksander (1870-?) – generał chorąży;
17. Diadiusza Serhij (1870-1935) – generał porucznik;
18. Dołud Andrij (1893-1976) – generał chorąży;
19. Ferosijiw Jewhen (1889-1943) – generał chorąży;
20. Hałkyn Ołeksij (1866-1940) – generał pułkownik;
21. Herasymenko Wołodymyr (? - ?) – generał chorąży;
22. Hodlewskij Mykoła (1875-?) – generał chorąży;
23. Hudyma Witalij (1861-1929) – generał chorąży;
24. Hodlewskij-Hodyło Ołeksander (1880-?) – generał chorąży;
25. Iwanow Mychajło (1866-1926) – generał chorąży;
26. Janczenko Wołodymyr (?-?) – generał chorąży;
27. Janczewskij Mykoła (1888-1923) – generał chorąży;
28. Januszewskij Hryhorij (1861-?) – generał porucznik;
29. Jasznyczenko Mykoła (?-?) – generał chorąży;
30. Jełczaninow Andrij (1868-1922) – generał porucznik;

31. Jełczanynow Ołeksander (1874-1922) – generał chorąży;
32. Jeroszewycz Petro (1870-?) – generał porucznik;
33. Jeszczenko Mykoła (1878-?) – generał chorąży;
34. Jewtymowycz Warfołomij (1888-?) – generał chorąży;
35. Junakiw Mykoła (1871-1931) – generał pułkownik pochowany w Tarnowie z udziałem kompanii honorowej WP;
36. Kapustiański Mykoła (1879-1969) – generał pułkownik;
37. Kołodij Fedir (1872-?) – generał porucznik;
38. Kopestynskij Iwan (1869-1934) – generał chorąży;
39. Koźma Ołeksander (1871-?) – generał chorąży;
40. Krat Mychajło (1892-1979) – generał porucznik;
41. Kułżynskij Serhij (1869-1938) – generał chorąży;
42. Kuszcz Wiktor (1878-1942) – generał chorąży red. miesięcznika historyczno-literackiego *Tabor*, od 1926 r. szef sztabu ministra spraw wojskowych URL na emigracji;
43. Kużmyński Ołeksander (1884-?) – generał chorąży;
44. Lipko Petro (1876-?) – generał chorąży sygnatariusz porozumienia polsko-ukraińskiego w 1920 r.;
45. Mandzenko Josyp (1887-?) – generał chorąży;
46. Martyniuk Illia (1869-?) – generał chorąży, dziekan wydziału wojskowego Ukraińskiego Uniwersytetu Narodowego w Łańcucie, przeniesionego później do Strzałkowa;
47. Maslanyj Antin (1865-?) – generał porucznik;
48. Mazurenko Marko (1869-?) – generał chorąży;
49. Medzweckij-Kowal Mychajło (1868-1929) – generał porucznik, pracownik obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego a następnie Urzędu Miar i Wąg w Warszawie;
50. Moszynskij Jewhen (?-?) – generał chorąży;
51. Nowyckij Ołeksander (1859-?) – generał chorąży;
52. Nykoniw Naum (1873-1925) – generał chorąży;
53. Nelhowskij Wasyl (?- ?) – generał chorąży;
54. Olszewskij Wołodymyr (1870-1933) – generał chorąży;
55. Omelanowycz-Pawłenko Iwan (1881-1962) – generał porucznik;
56. Omelanowycz-Pawłenko Mychajło (1878-1952) –

generał pułkownik dowódca sojuszniczej armii ukraińskiej w czasie wyprawy kijowskiej;

57. Oskiłko Wołodymyr (1892-1926) – generał chorąży;  
58. Palij-Neiło Borys (1876-1956) – generał chorąży od 1927 r. przewodniczący oddziału ukraińskiego Centralnego Komitetu w Przemyślu, właściciel pracowni sztuk plastycznych w Przemyślu przy ul. Smolki 4;

59. Pawłenko Wiktor (1883-1932) – generał chorąży;  
60. Petriw Wsewołod (1883-1948) – generał chorąży;  
61. Ponomarenko Musij (1886-1941) – generał chorąży;  
62. Porochowszczykiw Ołeksander (1865-?) – generał chorąży;

63. Pylkewycz Ołeksander (1880-1922) – generał chorąży;

64. Puzyćkyj Antin (? - ?) – generał chorąży;  
65. Sadowśkyj Mychajło (1887-1967) – generał porucznik, naczelny red. rocznika historycznego „Za Derżawnist” (1929-1938 Kalisz - Warszawa);

66. Sałśkyj Wołodymyr (1885-1940) – generał chorąży, minister spraw wojskowych URL na emigracji, członek „Prometeusza”;

67. Sawczenko Wołodymyr (1882-1957) – generał chorąży;

68. Sawczenko-Biłśkyj Wołodymyr (1867-1955) – kontradmirał;

69. Sinkler Wołodymyr (1879-1945) – generał porucznik;

70. Sływynśkyj Ołeksander (1886-1956) – generał chorąży;

71. Sokyra-Jachontow Wiktor (1874-?) – generał chorąży;

72. Sowacziw Wasyl (1876-1924) – generał chorąży;  
73. Stupnyćkyj Łeonid (1892-1944) – generał chorąży;  
74. Suchodolśkyj-Peresada Mychajło (1883-1938) – generał chorąży;

75. Sułkowskyj Borys (1881-?) – generał chorąży;  
76. Swaryka Wasyl (1875-?) – generał porucznik;  
77. Syhariw Wasyl (1868-?) – generał chorąży;  
78. Szepel Wołodymyr (1888-?) – generał chorąży;  
79. Szramczenko Światosław (1893-1958) – kontradmirał;

80. Tarnawskij Myron (1869-1938) – generał chorąży, naczelny dowódca Ukraińskiej Armii Halickiej w czasie wojny polsko-ukraińskiej (1918-1919);

81. Tiutiunyk Jurij (1891-1929) – generał chorąży, dowódca oddziałów powstańczych, które w 1921 r. z terytorium Polski wyruszyły na Ukrainę;

82. Tkaczuk Mychajło (? - ?) – generał chorąży;

83. Trutenko Walentyn (1881-1953) – generał chorąży;

84. Tymczenko Fedir (?-1926) – generał chorąży;

85. Udowyczenko Mykoła (1885-1937) – generał chorąży;

86. Udowyczenko Ołeksander (1887-1975) – generał pułkownik;

87. Witoszynskij-Dobrowola Josyp Mychajło (1857-1931) – generał chorąży;

88. Wowk Andrij (1882-1969) – generał pułkownik, organizator grupy opozycyjnej w stosunku do polityki ukraińskiego rządu emigracyjnego, więzień obozu w Berezie Kartuskiej;

89. Wyszniwskij Ołeksander (1890-?) – generał porucznik;

90. Zabołotnyj Wasyl (?-?) – generał chorąży;

91. Zahrodskij Ołeksander (1889-1968) – generał pułkownik;

92. Zelynskij Wiktor (1864-1940) – generał pułkownik, szef ukraińskiej misji wojskowej w 1920-1921 w Warszawie;

93. Zmijenko Wsewołod (1886-1938) – generał chorąży, szef sztabu armii URL walczącej w sierpniu 1920 r. pod Zamościem, przez pewien czas mieszkał w Przemyślu.

Z ponad 40 oficerów armii URL przyjętych od Wojska Polskiego jako oficerowie kontraktowi, 10 ukraiński rząd emigracyjny mianował w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu generałami. Byli to:

1. Barwynskij (Barwiński) Borys (1889-?) mjr WP;

2. Bazylewskij (Bazylewski) Paweł (?-?) – nie udało się ustalić w jakim stopniu służył w WP a potem w armii gen. W. Andersa;

3. Czabaniwskij (Czabanowski) Wasyl (?-?) mjr WP;

3. Diaczenko Piotr (?-?) mjr kawalerii WP;

4. Małec (Malec) Wiktor (1894-1969) mjr WP;
5. Modzenko Konstanty (1896-?) kpt. WP;
6. Samutin Piotr (1889-1982) kpt. WP;
7. Smowśkyj (Smowski) Konstanty (1892-1960) rtm.  
WP;
8. Steczyszyn Mykoła (1890-1977) mjr WP;
9. Tatarśkyj (Tatarski) Wasyl (1898-1992) kpt. WP;
10. Walijskyj (Walijski) Arkadiusz (1894-1976) kpt.  
WP.

*Aleksander KOLAŃCZUK*

A. Kolańczuk jest współautorem (razem z M. Łytwynem i K. Naumenką) pracy – „Heneralitet ukrajiniśkich wyzwolonych zmahań” (Lwów 1995), napisał także „Nezabuti mohyły” (Lwów 1993) i „Internowani żołnierze armii UNR w Kaliszu, 1920-1939” (Kalisz-Przemysł-Lwów 1995).



## WSPOMNIENIA

Bożena PUCHALSKA

### BYŁO TO TAK...

#### ROZMOWY Z JULIUSZEM HIBNEREM

*Wspomnienia gen. Juliusza Hibnera są dokumentem jedynym w swoim rodzaju ze względu na osobę autora: uczestnika brygad międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii, oficera Pierwszego Korpusu gen. Berlinga, odznaczonego orderem bohatera Związku Sowieckiego po bitwie pod Lenino, a po wojnie – dowódcy wojsk wewnętrznych, który umiał wystąpić przeciw Związkowi Sowieckiemu, gdy w październiku 1956 groziła Polsce interwencja zbrojna. Są nim również ze względu na to, że autor został do końca ideowym komunistą, którym stał się w imię walki z faszyzmem, choć nigdy nie był politykiem ani ideologiem: już we wczesnych latach sześćdziesiątych odszedł z własnej inicjatywy ze służby państwowej, by zająć się fizyką, wielką pasją jego życia.*

*Wspomnienia te ukazują drogi kształtowania się kręgów kierowniczych PRL i rozbieżności w ich gronie, wzbo-gacając obraz przebiegu Października 1956 o to, co się działo w wojsku i w KBW oraz narastanie konfliktów w PZPR po Październiku. Z tych wszystkich względów są one ważnym przyczynkiem do historii powojennej Polski.*

REDAKCJA ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH

## ZAMIAST WSTĘPU

Mój mąż, Juliusz Hibner nie był zbyt skory do udzielania wywiadów, ani do pisania pamiętników. Natomiast bardzo barwnie opowiadał nam: mnie, naszej córce Uli, naszym przyjaciółom o swoich dużych i małych przygodach. Tak zawsze to nazywał „przygodami”. („Zdarzyła mi się przygoda. Siedziałem w pociągu z Łodzi, przyszedł konduktor. Wyciągnąłem bilet z portmonetki, tylko nie wiem, czy portmonetkę potem włożyłem do swojej kieszeni, czy do kieszeni obok siedzącego pasażera...”)

Wtedy, kiedy Julka poznałam, był on postacią legendarną. Był jedynym żyjącym odznaczonym Złotą Gwiazdą Bohatera ZSRR. Dzieci w szkole uczyły się wierszy Szenwalda o bohaterze spod Lenino, w muzeum Wojska Polskiego wisiąco jego zdjęcie. W początku lat 50-tych, w czasie ostrego okresu stalinizmu w Polsce, Dąbrowszczacy byli uważani za „niepewnych politycznie” a niektórzy, wręcz byli oskarżeni o szpiegostwo i uwięzieni. Julka to ominęła.

Po naszym polskim Październiku 56 był on znów bohaterem. Innego rodzaju. Był zapraszany, fetowany, opisywany w gazetach. *Kultura* paryska, Radio Wolna Europa, to mu pewno wtedy na zdrowie nie wyszło. Potem wpadł on w niełaskę. Za październik przede wszystkim. Szło to zapewne z Moskwy, ale też z antyrewizjonistycznych źródeł krajowych. Tępieno go. Mszczono się. Niektórym zapewne stała kością w gardle ta jego Gwiazda Bohatera. Co też na ten temat nie wygadywano! Ze sprzedał, że oddał, sprzeniewierzył... I to się ciągnęło latami. Kpt. Kowalski, młody wojskowy historyk, na konferencji naukowej poświęconej Dąbrowszczakom w 1986 powiedział: W I Dywizji Wojska zastępcą do spraw polityczno-wychowawczych był kapitan Hibner. Po bitwie pod Lenino otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Zdevaluował wartość swego czynu późniejszym postępowaniem. Ma miejsce jednak w historii tamtych dni.” Przepraszając Julka za ten ustęp w przemówieniu napisał, że wygłosił to na skutek opinii obiegujowej wyniesionej jeszcze z okresu dyskusji początku lat 80-tych.

Tak więc życie Julka przebiegało od „legandy do gehenny”. Kiedy podał się do dymisji w roku pięćdziesiątym

dziewiątym i zabrał się do pracy naukowej w dziedzinie fizyki, był człowiekiem szczęśliwym. Ale potem znów „zła ręka” go dosięgnęła, zabrano mu możliwość wykładania i pracy naukowej. Było to dla niego prawdziwą klęską.

Kiedyś wpadłam na pomysł, żeby nagrać z nim rozmowy, a potem je spisać. Zdaję sobie sprawę, że to, co napisałam nie oddaje pełnego obrazu Julka. Może kiedyś tym bardzo malowniczym życiem człowieka, pełnego fantazji, zajmie się jakiś pisarz, czy historyk. Były tego próby, ale spalały na panewce. Życie Julka to jedna wielka przygoda i choć nie mnie o tym sądzić – przyczynek do historii naszego kraju. My tę historię znamy, ale młode pokolenie?...

Rozmowy prowadziliśmy we Francji w naszym mieszkaniu w Palaiseau, które zna wielu przyjaciół. Dlaczego znalazłam się we Francji, dlaczego pracowałam na różnych uniwersytetach w Anglii i osiadłam we Francji – to chyba nie miejsce, żeby o tym opowiadać. Julek nie chciał żyć na stałe we Francji. Ani nigdzie poza Polską. Był tu, był tam.

Kiedy więc wracałam z pracy, siadaliśmy przy magnetofonie i rozmawialiśmy.

– Było to tak... – chciecie, usiądźcie z nami i posłuchajcie tych naszych rozmów.

Bożena PUCHALSKA

## POCZĄTKI

*(Bożena) Zaczynamy więc rozmowy przy magnetofonie. Za tydzień wyjeżdżasz do Warszawy. Mamy więc przed sobą osiem dni. Zacznijmy od starych czasów. Byłeś w latach trzydziestych zaangażowany w młodzieżowym ruchu komunistycznym. Co cię do tego ruchu sprowadziło?*

Wszedłem do młodzieżowego ruchu komunistycznego jako uczeń gimnazjalny. Było to spowodowane obserwacjami tego, co się działo dookoła i obserwacjami własnego życia, które było na granicy nędzy. Ojciec mój często był bezrobotny, trochę zarabiał jako nocny stróż w browarze. Ale dbał o to, abyśmy wszyscy chodzili do szkoły, chociaż w do-

mu bywało krucho. Matka już od dawna nie żyła. Pamiętam, jak miałem cztery lata zerwano nas ze snu i wezwano wszystkie sześcioro dzieci do pokoju, gdzie w łóżku leżała matka. Powiedziano, że matka nie żyje i już więcej jej nie zobaczymy. Odtąd w dzieciństwie, w ciemnym oknie zawsze widziałem jakieś potwory.

W gimnazjum w Tarnopolu, na dwa lata przed maturą, była nas taka trójka przyjaciół. Jeden nazywał się Morks, drugi się nazywał Sturozumnik, a trzecim byłem ja. Sturozumnik pochodził z Rosji i mówił z lekkim rosyjskim akcentem. Miał podwójny garb i metr pięćdziesiąt wzrostu. On się nazywał Sturozumnik i – *nomen omen* – sturozumnikiem był. Ogromnie inteligentny był to chłopak. Byliśmy przodującą grupą w klasie. Ja z matematyki a on z matematyki i innych przedmiotów. Im się wiodło nieźle, a ja od wczesnego rana, przed szkołą i wieczorem po szkole, udzielałem korepetycji z matematyki, bo musiałem zarobić na życie całej rodziny.

Bardzo dużo dyskutowaliśmy o sytuacji w Polsce, o nędzy i biedzie, także o naszej osobistej sytuacji. Wszyscy trzej byliśmy Żydami i wobec tego traktowani w Polsce jako ludzie niższej kategorii. W okresie międzywojennym Żyd nie mógł być pracownikiem państwowym, były trudności z dostaniem się na wyższą uczelnię, istniał *numerus clausus*. No więc dużo się dyskutowało i dużo czytało. Pod koniec roku szkolnego zjawił się w Tarnopolu Siwka Nowotny. Studiował on w Czechosłowacji, był od nas o kilka lat starszy. Jak ześmy się z nim zetknęli tego nie pamiętam, ale pamiętam, że spotykaliśmy się często, dyskutowali, aż wreszcie zaproponował naszej trójce stworzenie grupy agitacyjno-propagandowej. Zadania mieliśmy proste. Pisaliśmy i rozdawaliśmy ulotki, założyliśmy gazetkę szkolną, którą kolportowaliśmy. Nie było to wszystko razem zbyt poważne, ale w ten sposób już zostaliśmy związani z młodzieżową organizacją komunistyczną. To tak było do matury, a po maturze stanął przed nami poważny problem: co robić dalej? Jak się dostać na wyższą uczelnię? Dla Żydów był to ogromny problem, nawet dla najzdolniejszych. Obowiązywały bardzo trudne konkursowe egzaminy, a nawet przy dobrych wynikach, decyzja o przyjęciu nie zawsze była pozytywna.

*(Bożena) To znaczy, że dla ciebie o związaniu się z ruchem komunistycznym zadecydowała kwestia narodowościowa, problem równorzędności i równouprawnienia.*

Oczywiście. Bo nie jest łatwo pogodzić się z objawami dyskryminacji i upokorzenia w kraju, w którym czujesz się normalnym obywatelem i wcale nie gorszym od innych. Poza tym wtedy, a był to początek lat 30-tych, do władzy dochodził Hitler i widać już było wyraźnie, że najpierw Niemcom, a potem i innym krajom zagraża faszyzm. Kampania antyhitlerowska ogarniała cały świat intelektualny, ale wtedy żaden kraj, prócz Sowietów nie występował w sposób zdecydowany przeciwko hitleryzmowi. Oczywiście była też sprawa biedy w Polsce. Dużo było biedy, sam do tej kategorii należałem.

Kiedy byłem w gimnazjum zarabiałem na siebie i na cały dom korepetycjami, które mi raili moi nauczyciele matematyki, profesor Margulies, znakomity matematyk, a potem profesor Lancz, który był Niemcem. Oni mnie bardzo cenili i polecali słabym uczniom, w wielu wypadkach moim szkolnym kolegom. Ale miałem też grupę trzech oficerów, którym matematyka była potrzebna do jakiegoś egzaminu. Domy, do których chodziłem na lekcje, były bardzo zamożne. Służba, piękne meble, obrazy... Traktowano mnie sympatycznie i często zapraszano na wspólne podwieczorki. Okropnie mnie to krępowało. Prócz tego, że byłem cholernie nieśmiały, miałem krwotoki z nosa i bałem się, że coś może się mi przydarzyć w czasie takiego podwieczorku. Ale to nie wszystko. Byłem bardzo piegowaty. Gdy chodziłem do domu doktora Rappaport w Tarnopolu, to sobie nacierałem twarz, żeby tych piegów nie było widać. Udzielałem korepetycji pannie Rappaport. Była to śliczna dziewczyna, acz trochę tłusta. Wstydzilem się tam przychodzić z powodu piegów i tego, że miałem trochę przykrótkie spodnie. Z Rappaportówną chodził mój kolega szkolny, Andrzej Zommer, syn dyrektora banku. Mierny uczeń i głupi chłopak. Ale przystöjny i bogaty. Tak zwana elita Tarnopola.

Po maturze zaczęliśmy się więc zastanawiać co zrobić? Morks, Sasza Sturozumnik i ja. Ponieważ szanse dostania się

na wyższą uczelnię w Polsce były wątpliwe, zaproponowałem im, żeby na rok pojechali do Pragi czeskiej, a ja przez ten rok wezmę korepetycje na cały dzień i będę zarabiał na ich studia. A potem się zamienimy. Tak się też stało. Zaczynałem lekcje o siódmej rano, ostatnią lekcję dawałem o ósmej wieczorem. A ponieważ już byłem renomowanym korepetytorem, płacono mi nieźle, starczało więc i dla nich, i na mój dom. Po roku Morks i Sturozumnik wrócili do Tarnopola, oni wzięli na siebie korepetycje, a moja siostra dostała pracę w sklepie Mainla i utrzymywała dom. Postanowiłem wtedy pojechać do Lwowa i dostać się na Politechnikę.

Egzamin wstępny z matematyki prowadził znany matematyk, profesor Łomnicki. Siedzieliśmy wszyscy w dużym audytorium, a na tablicy były wypisane trzy zadania. Był określony czas na ich rozwiązanie. Ale ja miałem ambicje, żeby być pierwszy. Gdy już wszystko skończyłem, zorientowałem się, że zadanie najtrudniejsze mogę rozwiązać jeszcze w inny sposób, bardziej elegancki. Ale i tak byłem pierwszy i oddałem Łomnickiemu cztery rozwiązania. Nazajutrz poszedłem na wydział, aby zobaczyć jakie są wyniki. Akurat napatoczyłem się na profesora Łomnickiego. „Zdał pan znakomicie – powiedział. Jest pan przyjęty. Osobiście się o to ubiegałem na zebraniu komisji.” Było to o tyle niezwykle, że Łomnicki był endekiem i byłem przewodniczącym organizacji „Rozwój”, która między innymi miała na celu zwalczanie handlu żydowskiego.

Zostałem więc studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej. Rozpoczęło się nowe wymarzone moje życie. Chodziłem na zajęcia, ale też udzielałem korepetycji, bo to, co Morks i Sturozumnik mi przysyłali zupełnie wystarczało na utrzymanie. Zaktywizowałem się też w pracy politycznej i zacząłem brać udział w zebraniach młodzieży komunistycznej, które, pamiętam to dokładnie, odbywały się w mieszkaniu szewca przy ulicy Słonecznej. Byłem wtedy na drugim roku studiów i w czasie wakacji zimowych obsługiwałem zebranie w Podhajcach, kiedy weszła policja. Wszystkich zaaresztowano, mnie oczywiście pierwszego, bo ja to zebranie prowadziłem. Policji w Podhajcach było mało, więc pilnowali mnie dwaj ze straży pożarnej. Wyprowadzili

mnie do pociągu jadącego do Tarnopola i tam miano mnie oddać w ręce odpowiednich władz. Siedzieliśmy więc we trójce w przedziale, ja między strażnikami, pociąg jechał, a ja się rozglądałem na wszystkie strony i zastanawiałem się, jak tu prysnąć. Chciałem ich zagadać, ale oni swoją misję bardzo poważnie traktowali. W pewnej chwili oświadczyłem, że muszę koniecznie, ale to koniecznie pójść do ubikacji. Jeden z nich poszedł za mną a że ubikacja w wagonie kolejowym jest koło drzwi, drzwi szybko otworzyłem, wyskoczyłem i sturlałem się na kupę śniegu.

*(Bożena) No, nieźle, a oni? Bali się za tobą wyskoczyć?*

Widocznie. Wymknąłem im się. A że miałem duszę na ramieniu, to już inna sprawa. Okolice Tarnopola znałem jak własną kieszeń, mieszkaliśmy na przedmieściu, więc dotarłem szybko do domu, w którym jednak pozostać nie mogłem, bo można się tam było spodziewać policji. Mój starszy brat pobiegł na stację i kupił mi bilet do Lwowa. Wskoczyłem do pociągu w ostatniej chwili. Potem były rewizje w domu ale ja już byłem we Lwowie. Jednakże na uczelnię wrócić nie mogłem. I tak się skończyła moja wymarzona kariera studencka. Czapkę akademicką przyszło mi włożyć dopiero w dwadzieścia pięć lat później, kiedy w roku 1960-tym postanowiłem skończyć studia i zostałem przyjęty na Wydział Fizyki Uniwersytetu Łódzkiego.

*(Bożena) Długo tej „czapki studenckiej” nie nosiłeś, bo w rok zrobiłeś magisterium, a w 64-tym roku obroniłeś pracę doktorską i w prezencie ode mnie dostałeś obraz Kobzdeja.*

Ale od Lwowa do obrazu Kobzdeja upłynęło wiele wody. Na razie dotarłem do Lwowa, zamieszkałem u brata ciotecznego i nie bardzo wiedziałem co z sobą począć. Trochę pracowałem, ale grunt mi się pod nogami palił, zarówno w Tarnopolu jak na Lwowskiej Politechnice poszukiwała mnie policja za działalność komunistyczną. Dostałem wreszcie

adres jakichś ludzi w Warszawie na Muranowie, którzy mogli mi pomóc, znaleźć pracę i wtedy naiwnie sądziłem, że mógłbym kontynuować studia. Ale to się okazało mrzonką. Musiałem zmienić nazwisko i stałem się nielegalny, więc nie miałem żadnych dokumentów zezwalających na przyjęcie na jakąkolwiek uczelnię.

To był już rok trzydziesty piąty. Tak, trzydziesty piąty. Pamiętam to dobrze, bo Piłsudski umarł w maju, ja jeszcze wtedy byłem we Lwowie i zaraz potem pojechałem do Warszawy, gdzie miałem kontakt do warszawskiej organizacji.

*(Bożena) To znaczy do kogo?*

Nie wiem do kogo. Podano mi adres i hasło. Poszedłem tam. Kręcę się na ulicy, rozglądam się, czy aby na dobry adres trafiłem i nagle z bramy wychodzi dozorczyńni, podchodzi do mnie i mówi: „jeśli idzie pan do tego z pierwszego piętra, to lepiej niech się pan zmywa, bo rano zabrała go policja”. To było zupełnie niezwykle, bo na ogół dozorczy służyli policji. No więc podziękowałem jej serdecznie i czym prędzej dałem nogę.

Jestem w Warszawie, której w ogóle nie znam. Robi się chłodno, nie mam gdzie spać, co z sobą zrobić. Kupiłem sobie precla u straganiarza na rogu, a także gorącą kukurydzę. Ale co robić? Gdzie się przespać? Wziąłem się na odwagę, wszedłem do pierwszego lepszego domu, zapukałem do mieszkania, zapytałem, czy za złotówkę nie mogliby mnie przenocować. Przenocowali mnie, złotówki nie wzięli. Ale co dalej? Za dużo pieniędzy nie miałem i byłem nielegalny, źle ubrany, płaszcz nie miałem, tylko jakąś kurtkę i pumpy z dziurą na kolanie. Wyglądało to oczywiście podejrzanie, a w dodatku było mi zimno. Jak znaleźć kontakt? Wiedziałem, że bez kontaktu do organizacji – zginę.

*(Bożena) I jak z tego wybrnąłeś?*

Chyba to było tak: Chodziłem ulicą i zaczepiałem tego czy owego i ofiarowywałem swe usługi w lekcjach z matematyki. No i akurat trafił się jeden zainteresowany, zapro-



wadził mnie do swego domu. Nie był to zamożny dom i niezbyt przytulny, ale dał mi kąpiel i za jakiś niewielki grosz uczyłem córkę matematyki. Dobry los nade mną czuwał, bo w czasie jednej z rozmów z tą dziewczyną zorientowałem się, że należy ona do ZNMS-u, to była taka organizacja młodzieży szkolnej.

*(Bożena) Socjalistyczna?*

Nie, nie socjalistyczna, prokomunistyczna szkolna organizacja. No i przez tę dziewczynę, moją uczennicę, miałem kontakt do organizacji. Poznałem wtedy Jurka Morawskiego, Hankę Morawską, Irenę Berman, Heddę Bartoszek, Jankę Ludawską i całą plejadę uczniów i studentów warszawskich, zaangażowanych w ruchu szkolnym. Coraz więcej miałem lekcji, już nie mieszkalem kąpiel u tego napotkanego człowieka, który mnie zresztą uratował, ale wynajmowałem pokój wraz z młodym studentem. Wszystko to było jakimś cudownym zdarzeniem. Znalazłem przyjaciół, zarabiałem, nie dużo, ale zarabiałem, a latem pojechałem na szkolną kolonię jako instruktor. Cóż to za dobre czasy dla mnie przyszły na tej kolonii. Jadło się świetnie, było wesoło. Dużo się śpiewało, no ja też, bo miałem dobry głos.

*(Bożena) Flamenco?*

Nie, jeszcze wtedy flamenca nie znałem, to dopiero potem, po Hiszpanii. Znałem sporo ukraińskich piosenek, bo w szkole i na uniwersytecie było wielu kolegów Ukraińców. Jako instruktor miałem też zadania wychowawcze. Dużo się wtedy dyskutowało. Chcieliśmy przecież zmienić ten świat na lepszy. Ale też wygłaszałem pogadanki naukowe, polityczne. Ta kolonia była jakoś bardzo przełomowa w tym moim warszawskim życiu. Znalazłem wielu przyjaciół. Chodziłem do ich domów. U Irki Berman poznałem jej brata Jakuba. Był on prawnikiem. Dopiero co wyszedł z więzienia. Siedział za działalność komunistyczną. Poznałem też drugiego brata – Adolfa i ich ojca, który był dość zamożnym kupcem. Irka była świetna: ładna i bardzo zgrabna. Jakub był uosobieniem czaru

i intelektu. Rozmowa z nim była jedną wielką przyjemnością. Błyskotliwy, inteligentny i w dodatku bardzo przystojny.

*(Bożena) Teresa Torańska powinna posłuchać tego, co mówisz o Bermanie. W wywiadzie z Bermanem opublikowanym w „Onych” była bardzo agresywna.*

Berman był, jaki był – wiadomo... dziwne, że tak inteligentny człowiek nie umiał odejść od starego komunistycznego schematu. Ale to on uratował życie Gomułce, on się sprzeciwił procesowi, on napierał na Bieruta i przekonał go, żeby tego procesu nie robić. W rezultacie Polska była jedynym krajem w tym tak zwanym obozie krajów demokracji ludowej, gdzie zaaresztowanych przywódców partii nie zgładzono. Zrobiono to na Węgrzech, zrobiono to w Czechosłowacji, a nie w Polsce. Inne potworne rzeczy się u nas działy, rozstrzelano wielu niewinnych oficerów, w więzieniach siedzieli zupełnie niewinni ludzie...

*(Bożena) Ale wróćmy do dawnych czasów...*

Był to już rok 1936, dostałem pracę jako pomocnik tokarza w Warszawie w fabryce na Narbutta. Nieźle zarabiałem, 95 zł miesięcznie. Ale w naszej fabryce wybuchł strajk. Trzeba było nawiązać kontakt ze związkiem metalowców. Na wiecu domagano się poparcia związku metalowców. Trzeba było wybrać delegata na rozmowy ze związkiem zawodowym. Na moje nieszczęście mnie na tego delegata wybrano. Było mi to ogromnie nie na rękę. Przecież nie mogłem się zdradzić, że nie jestem Romanem Kierstem, że tylko ukrywam się pod nazwiskiem mojego zmarłego kolegi. Że byłem odnotowany na policji nie tylko jako Hibner, ale już też przy jakiejś wpadce jako Kierst. Tego wszystkiego oni nie wiedzieli i tego nie mogłem im przecież powiedzieć. Ale też nie mogłem powiedzieć nie, ja nie pojedę na rozmowy ze związkiem metalowców. Nazajutrz miało się odbyć ogólne zebranie z przedstawicielami związku metalowców. Kiedy następnego dnia przyszedłem do fabryki, zobaczyłem przy wejściu policjanta, co już mnie mocno zaniepokoiło. Wszedłem jednak

do środka, żadnego zebrania nie było, natomiast kręciło się pełno policjantów, niechybnie po to, aby przesłuchiwać prowdyrów strajku. Fatalna sytuacja. Już drugi raz, właściwie trzeci, nie mogłem przecież wpaść w ich ręce. Szczęśliwie udało mi się niepostrzeżenie wyjść z fabryki i już tam więcej nie wróciłem. Musiałem też opuścić mój sublokatorski pokój, mogli mnie tam poszukiwać. Zarobki mi się urwały. To były ostatnie tygodnie roku trzydziestego szóstego. Tym razem nie byłem tak osamotniony i bezbronny, jak po wpadunku w Podhajcach i wyjeździe ze Lwowa. Miałem przyjaciół.

Wtedy Hanka Morawska wzięła mnie do swego domu i tam zamieszkałem. Na ulicy Żelaznej róg Krochmalnej. To było znakomite mieszkanie jej zamożnych rodziców. Przedstawiła mnie jako swego kolegę ze szkoły, czy ze studiów, już sam nie wiem. Rodzice o jej powiązaniach organizacyjnych i politycznym zaangażowaniu nic nie wiedzieli, a co sobie o mnie myśleli – pojęcia nie mam. Hanka była świetną dziewczyną. Inteligentna, wysportowana, zgrabna.

*(Bożena) Hanke poznałam w czasie Powstania Warszawskiego na Żoliborzu. Walczyła w AL-owskim batalionie „Czwartaków”. Odważna była.*

W tym właśnie okresie, kiedy mieszkałem u Hanki, zaświtała mi myśl, żeby pojechać do Hiszpanii. Wiadomo co w sprawie Hiszpanii pisała faszystowska prasa. Ale w naszym środowisku na sprawę Hiszpanii zapatrywano się odmiennie.

*(Bożena) Nie tylko w waszym środowisku. Też się wychowywałam w tej atmosferze. Moi rodzice nie byli komunistami. Byli to inteligenci z ukłonem do zachodniej kultury. Pamiętam, bardzo śledzili wypadki w Niemczech i często mówili o wojnie w Hiszpanii. Byli pełni uznania dla tych, co jechali tam walczyć.*

Tak, jechali tam ochotnicy, więc sobie pomyślałem, że i ja mógłbym to zrobić. No więc postanowiłem pojechać do Hiszpanii, tylko na razie nie wiedziałem jak to zrealizować. Z Polski jechali ochotnicy, studenci, robotnicy, komuniści,

nie komuniści, o tym się wiedziało. Ale było to przecież nielegalne. Zacząłem studiować mapę i zastanawiać się jak się przedostać do Hiszpanii. Oczywiście wtajemniczyłem moich najbliższych przyjaciół w moje plany. Już nie pamiętam, czy to ja wpadłem na ten pomysł, czy ktoś inny z przyjaciół, w każdym bądź razie miałem przedostać się przez góry do Czechosłowacji, na nartach. W ogóle miałem grać rolę studenta, który sobie wyjechał na wakacje zimowe w góry, na narty. Bieda tylko w tym, że ani stroju narciarskiego nie miałem, ani nart.

Ale dziewczyny mnie ubrały i wyekwipowały. Teraz to wiem, to było za pożyczone pieniądze, bo Hanka od rodziców pieniędzy brać nie chciała. Potem przez rok udzielała korepetycji, żeby spłacić długi. Pamiętam, miałem przepiękną granatową kurtkę irchową, czapkę, buty, narty. Tylko, że nigdy nart na nogach nie miałem, jedynie co przećwiczyłem przed wyjazdem zakładanie nart. Wcale nieprosta sprawa, wiązania były wtedy skomplikowane, rzemyczki i rzemyczki... Przyjaciele odprowadzili mnie do pociągu, na wesoło: kolega jedzie na narty! No i jadę do Żywca, a stamtąd w Beskidy, które w moim pojęciu były łatwe do przejścia na nartach.

## DROGA DO HISZPANII

*(Bożena) W czasie jakichś wakacji w Chałupach na Helu, kiedyśmy odbywali spacery plażą do Kuźnicy, opowiadałeś mi i Uli o tym, jakie miałeś przygody w drodze do Hiszpanii. Możesz mi to teraz powtórzyć?*

Jak sobie czasem przypomnę tę moją wyprawę przez pół Europy, to widzę ile w tym było młodzieńczej fantazji i awanturnictwa, w tym dobrym, właściwie, sensie. Ale nikogo wtedy nie znałem, kto mógłby mi pomóc. Potem, jak spotkałem Polaków w Hiszpanii, czy w obozie, okazało się, że ochotnicy z Polski mieli kontakty, przerzucano ich przez granice, lub nawet legalnie jechali do Paryża. Wyjazdy ochotników z Polski do Hiszpanii były nielegalne. Ja jechałem do Hiszpanii

podwójnie nielegalnie. Byłem poszukiwany przez policję, wobec tego o paszport, czy choćby zezwolenie na przejście graniczne do Czechosłowacji nie mogłem wystąpić. Pieniądzy dużo nie miałem. Trochę miałem własnych oszczędności, trochę mi dziewczyny dały, a dwadzieścia złotych, zaprzyjaźniony szewc wsadził mi do obcasa. To na wypadek wypadki do więzienia. Jechałem na własną rękę. Miałem narty, buty, świetne ubranie narciarskie, i jako jedyny dowód osobisty – książeczkę Kasy Chorych z fotografią. Nie tylko nie wiedziałem jak mam dotrzeć do Hiszpanii, ale też nie wiedziałem jak się jedzie na nartach.

Z Żywca ruszyłem w stronę gór. Dotarłem do jakiejś wioski, a że już byłem zmęczony, zapukałem do chałupy, z prośbą, żeby mnie przenocowali. Wymyśliłem historię, którą zresztą potem powtarzałem przy różnych okazjach. Jestem studentem, wybrałem się z kolegami na narty, ale się zgubiłem. Za parę groszy gospodarze dali mi nocleg, a o świcie chłop podwiózł mnie swoim wozem do granicy. Kiedy byliśmy niedaleko strażnicy, wysiadłem z wozu, dałem chłopu dwa złote, on zawrócił, a ja poszedłem w stronę gór. Zrobiło się jasno, dotarłem do szczytu góry, zobaczyłem słupy graniczne, jeden skok, a już byłem po drugiej stronie. Ale spod ziemi wyrósł mi patrol graniczny. Zamarłem z przerażenia. Czyżby tak szybko miała się zakończyć moja wyprawa do Hiszpanii? Nie miałem wyboru, bezczelnie poszedłem im na przeciw. Zapytałem o najbliższą graniczną strażnicę. Tam, wyjaśniłem, jestem umówiony z moimi kolegami, narciarzami. Wskazali mi drogę nic nie podejrzewając. Szedłem grzbietem góry, pusto tam było, narciarza choćby oko wykol. Z lewej strony Polska, z prawej Czechosłowacja. W jakimś momencie wzięłem się na odwagę, narty założyłem i szusem puściłem się w dół. Jechałem bardzo długo, ale nawet o żadne drzewo nie zahaczyłem, ani nie upadłem – o dziwo! Zatrzymałem się gdzieś hen na dole i to była już Czechosłowacja. Wzięłem narty na plecy i idę w stronę wioski. Idę, szczęśliwy, że udało mi się zjechać z tej góry, a tu nagle widzę czeskich zandarmów. Podchodzę do nich jak gdyby nigdy nic i pytam, czy przypadkiem nie spotkali grupy polskich narciarzy.

– Co tu robisz? – pyta jeden.

– Słabo jeżdżę na nartach i się zgubiłem. Jest tu nas cała grupa studentów. Właśnie ich szukam.

– A przepustkę na przejście graniczne masz?

– To oni mają przepustkę dla nas wszystkich, właśnie ich szukam.

– A masz jakąś legitymację, jakiś dowód osobisty?

Pokazałem im książeczkę Kasy Chorych, spojrzeli na mnie, na fotografię, zgadzało się więc dali mi spokój.

W pierwszej z brzegu chałupie mogłem przenocować (moja historyjka: zgubiłem się z grupą... itd.) nazajutrz rano gospodarz podwiózł mnie do pobliskiej stacji kolejowej. Tam z zadowoleniem zobaczyłem, że za pół godziny odjeżdża pociąg do Bratysławy, która jak wiadomo znajduje się blisko austriackiej granicy. Oho – pomyślałem, jak już będę w Bratysławie, to skok do Austrii, tam mam wujka w Wiedniu, a potem już tylko Szwajcaria, Francja i zaraz będę w Hiszpanii. Bez trudu kupiłem bilet za złotówki, no i przyjechałem do Bratysławy.

Znalazłem się w dużym, nieznanym mi mieście. Chodziłem z nartami, z plecakiem po ulicach i pytałem ludzi o drogę na uniwersytet. Liczyłem, że na uniwersytecie spotkam jakąś bratnią duszę, studenta z Polski i on mi pomoże. Studiowało tam wtedy wielu Żydów z Polski, gdyż na skutek *numerus clausus* nie mogli się dostać na krajowe uniwersytety. Kręciłem się po holu uniwersytetu, przyglądałem się temu i drugiemu. I nagle usłyszałem, że ktoś mówi po polsku. Zaczepiłem go. Powiedziałem, że mam okropny kłopot, bo zgubiłem dokumenty. Mam jechać do Wiednia, do wujka, który tam na mnie czeka. Czy nie wie przypadkiem jak mógłbym się przedostać przez granicę.

*(Bożena) Nie domyślił się o co chodzi?*

Może się i domyślił, ale obydwaj graliśmy swoją komedię. Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Facet, którego zagadnąłem znał przemytnika, który za pieniądze przeprowadzał przez granicę. Umówił mnie z nim nad rzeką. Wyciągnąłem więc moje dwadzieścia złotych z obcasa, zamieniłem w banku na korony i wieczorem poszedłem na umó-

wione miejsce. Przemysłownik zażądał pieniędzy z góry. Wziął pieniądze i zaraz zniknął. Po prostu zniknął i tyle go widziałem. Ale zanim zniknął pokazał mi kierunek, w którym mieliśmy rzekomo razem pójść. Poszedłem we wskazanym kierunku. Była już noc. Zgubiłem się. Narty mi ciążyły. Plecak też miałem. Zobaczyłem jakieś światelka. Poszedłem w tym kierunku. Znalazłem się w miasteczku, ale ku mojej rozpaczycy z nazw ulic zorientowałem się, że zamiast być w Austrii, znalazłem się na Węgrzech. Zapukałem do jakiegoś domu. Dogadałem się po niemiecku i wyjaśniłem, że muszę dotrzeć do Wiednia i coś tam znowu mówiłem albo o studentach, albo o wujku, już teraz nie pamiętam. Sympatyczny Węgier doprowadził mnie nazajutrz do granicy węgiersko-austriackiej, którą kolejno miałem przekroczyć. W śniegu po pas, z plecakiem i nartami na plecach, szedłem w kierunku linii kolejowej Bratysława–Wiedeń. To była ciężka droga. Do dziś ją dobrze pamiętam. Naprawdę się zmęczyłem. Przez pola do zmroku brnąłem po śniegu. Wdrapałem się na pagórek, żeby zobaczyć gdzie pociąg przechodzi, gdzie jest linia kolejowa, do której miałem się kierować. Rzeczywiście w odległości może dziesięciu kilometrów, zobaczyłem światła linii kolejowej. Poszedłem wprost przed siebie i nagle zapadłem się po szyję w śniegu. Zorientowałem się, że był to rów strzelecki i że, o zgrozo! – znalazłem się na terenie wojskowym. Wygrzebałem się z rowu i bardzo uważnie, rozglądając się na prawo i lewo, ruszyłem w stronę linii kolejowej. Zmęczony byłem okrutnie, bałem się jednak zatrzymać, obawiałem się, że usnę w śniegu. Więc szedłem dalej. Całą noc tak wędrowałem z tym plecakiem i nartami. Ale dotarłem do miasteczka. Byłem już w Austrii.

Było bardzo wcześnie rano. Doszedłem do stacji. Kupiłem za korony bilet do Wiednia. Mówiłem dobrze po niemiecku i żadnych podejrzeń nie wzbudzałem. Na peronie stałem z dużą grupą robotników. Z tego miasteczka robotnicy jechali do Wiednia do pracy. Razem z nimi wsiadłem do pociągu. I tak dojechałem do Wiednia.

W Wiedniu rzeczywiście miałem wujka. Znałem jego adres. Okazało się, że mieszka daleko od dworca i trzeba pojechać tramwajem. Ale szylingów nie miałem, więc poszedłem

na piechotę. Dość długo po Wiedniu błądziłem ale wreszcie dotarłem pod wskazany adres. Była to dzielnica zamożna z ładnymi kamienicami. Wszedłem na pierwsze piętro. Zadzwoiłem do drzwi. Pani, która mi otworzyła drzwi była moją ciotką, ale jej przedtem nie znałem. Powiedziałem, że przyjeżdżam z Polski, że jestem z Tarnopola z rodziny. Bardzo sympatycznie mnie przyjęła, nakarmiła i niedługo potem przyszedł wujek, którego znałem, bo bywał u nas w Tarnopolu. Elegancki pan. Był przedstawicielem handlowym jakiejś firmy. Pozostałem przez kilka dni. Odpoczywałem, zwiedzałem Wiedeń, ale przede wszystkim zaczytywałem się gazetami. Całymi wieczorami dyskutowaliśmy z wujkiem na tematy polityczne. Dosyć gorąco, bo mieliśmy odmienne poglądy na sprawy tego świata.

*(Bożena) Wiedział, że jedziesz do Hiszpanii?*

Tak, wiedział. Któregoś dnia przeczytałem w gazecie wiadomość o procesie Tuchaczewskiego. Tuchaczewski był najwybitniejszym sowieckim dowódcą wojskowym. Nawet tak o nim pisał we wspomnieniach Piłsudski. Pisał w samych superlatywach jako o utalentowanym strategu i dowódcy. Ogromnie mnie ta wiadomość zaniepokoiła. Proces najwybitniejszego ich wojskowego? Tego zupełnie nie mogłem zrozumieć. Ale mój wuj czuł pismo nosem i bardzo mnie namawiał, że bym zamiast do Hiszpanii na wojnę, pojechał na studia do ZÜRICHU. Mówił, że on to wszystko sfinansuje. Niespodziewana to była dla mnie propozycja i jakże nęcąca! W najcudowniejszych snach nie mogłem przecieżyć marzyć, że kiedykolwiek mógłbym studiować w ZÜRICHU.

*(Bożena) Opowiadałeś kiedyś tę historię o wujku i jego propozycji u nas w domu w Warszawie. Na kolacji byli goście. Było to chyba w latach siedemdziesiątych. Julek Strykowski powiedział, że postąpiłeś jak idiota, tak powiedział: jak idiota. A też zapytał czy nie żałujesz, czy się nie wstydzisz, że brałeś udział w wojnie w Hiszpanii. Byłam tym zaszokowana. Jego agresywne pytanie zaskoczyło mnie. Dziwne, że niektórzy zapominają kim sami byli,*



*a robiąc bilans swego życia wykreślają wszystko, stają się zaślepieni, nie mają dystansu do spraw, które się działy.*

Jak bardzo daleki jestem od tego rodzaju stanowiska – nie muszę mówić. Uważam, że ci wszyscy, którzy negowali, czy negują konieczność i celowość walki w Hiszpanii nie rozumieją prostych procesów politycznych i historycznych. Ludzie, partie polityczne, rządy świadomie, lub nieświadomie nie chciały widzieć, lub nie widziały groźby, która nadchodziła ze strony hitlerowskich Niemiec. Komuniści, zwłaszcza hiszpańscy komuniści, a w ogóle komuniści na świecie byli właściwie jedynymi, którzy tak jasno to widzieli. Dlatego wybuchła wojna, dlatego szło się tam walczyć. Nie żeby stworzyć komunistyczne państwo. Ale żeby nie dopuścić do faszyzmu. Nie wiem co było w duszy Stalina. Oczywiście, był człowiekiem bez zasad. Miał w tym swoje wyrachowanie, ale faktem jest, że przez dwa lata wojny w Hiszpanii pomagał Republice. A potem, jak wiadomo, paktował się z Hitlerem.

*(Bożena) Ludzie, którzy dziś podważają sens wojny domowej w Hiszpanii, mówią, że gdyby zwyciężyli ci wszyscy, którzy walczyli po stronie Republiki, mogło tam właśnie powstać państwo komunistyczne i całe szczęście, że Hiszpania takim krajem się nie stała.*

Poważnie myślący człowiek nie może rozumować kategoriami, co by było gdyby było. Wojna w Hiszpanii miała odegrać rolę zapory przeciw faszyzmowi. Jak bardzo Republika hiszpańska była republiką demokratyczną, zrozumiałem dopiero później i miałem nie byle jakie porównanie. Na przykład ministrem obrony do końca wojny w Hiszpanii był pravicowy socjalista.

*(Bożena) Nie rozstrzygniemy w tej chwili spraw wielkiej polityki i oceny, jaka by była Hiszpania... Jesteśmy teraz u wujka w Wiedniu. Wujek mówi idź na politechnikę, a ty mówisz nie, jadę do Hiszpanii.*

Tak, choć pokusa była wielka. Byłoby to spełnienie

moich największych marzeń. Ale z tego nie skorzystałem. Byłaby to dezercja. Pożegnałem się, powiedziałem dziękuję. Wsiadłem do pociągu. Pojechałem do granicznej miejscowości narciarskiej. Resztę koron zamieniłem na szylingi, wujek też mi dał trochę pieniędzy. Przespałem się w gospodzie a nad ranem ruszyłem w góry. To już był chyba trzeci tydzień mojej podróży. Spotkałem dwóch chłopaków, którzy mówili po czesku. Przyjechali na narty i właśnie zamierzali wracać do Czechosłowacji. Ja z kolei wymyśliłem nową historię. Też przyjechałem na narty, ale muszę jechać do Zurychu. Zgubiłem przepustkę graniczną i nie wiem, jak się przedostać do Szwajcarii. Dla nich widocznie była to nie pierwszyna. Poradzili co robić. Z tej miejscowości, przez granicę szedł tramwaj. Miałem wsiąść do tramwaju razem z innymi narciarzami i udawać Szwajcara. Powiedzieli mi tylko: „staraj się mówić po niemiecku ze szwajcarskim akcentem. Zmieszaj się z nimi i przejdziesz bez problemu”. Zostawiłem czeskim chłopakom mój plecak, aby nie było żadnych podejrzeń. Rzeczywiście problemów nie było. Jechałem ze szwajcarskimi narciarzami, na wszelki wypadek niezbyt włączałem się do rozmowy. Jak już byłem po drugiej stronie, zatelefonowałem do czeskich chłopców i jeden z nich przyjechał na nartach z moim plecakiem i mi go oddał.

*(Bożena) Pewno się czegoś domyślali?*

Czy ja wiem? Może się czegoś domyślali. Bardzo byli sympatyczni. Już byłem w Szwajcarii i miałem swój plecak, ale też miałem te swoje narty, które teraz do niczego nie były mi potrzebne i tylko mi ciążyły. Musiałem pojechać do Bazylei a stamtąd do Francji. Przecież nie mogłem w Bazylei paradować z nartami. Najchętniej bym je sprzedał, ale kto by tam kupował polskie narty..., więc je podarowałem gospodarzowi u którego się zatrzymałem. Zdziwił się nieco, ale mocno się upierałem. Powiedziałem, że mam dość nart, nogę sobie skręciłem, że więcej już w ogóle jeździć nie będę. No więc przyjął.

Jestem w Bazylei i mam się przedostać do Francji. Rano kupiłem gazetę *Rote Fahne*, czyli Czerwony Sztandar, komu-

nistyczną gazetę Bazylei. W gazecie znalazłem adres redakcji. Poszedłem do redakcji *Rote Fahne* i tam powiedziałem prawdę o sobie. Jestem z Polski, jadę do Hiszpanii i proszę, żeby mi pomogli przedostać się przez granicę. Gorąco mnie tam przyjęli. Jeden z redaktorów umówił się ze mną na popołudnie, poszliśmy do kawiarni. Na zapleczu był pokój, w którym odbywały się zebrania partyjne. Spotkaliśmy tam faceta, który organizował przerzuty do Francji. Był też jakiś Rumun, Węgier i jeszcze kilku innych ochotników, którzy chcieli się przedostać do Hiszpanii. Spotkanie wyznaczono na następny dzień. – Jutro rano tu przyjeżdżam – wyjaśnił nam przewodnik. Będę na rowerze. Wy pójdziecie razem, grupą, a ja z rowerem będę szedł o jakieś dziesięć, piętnaście metrów przed wami. Posiadam zezwolenie na przejście przez granicę, bo mam rodzinę, która mieszka po drugiej stronie i tam będę na was czekał. Pójdę pierwszy, podejść do strażnika, ale nie od razu pokażę przepustkę. Będę szukał przepustki po kieszeniach, będę zagadywał strażnika. Każda chwila jest ważna, każdy ruch jest ważny. W tym czasie skoczycie na lewą stronę. Po dziesięciu krokach będziecie we Francji.

Tak zrobiliśmy. Widzieliśmy jak nasz przewodnik przejechał na rowerze w stronę wioski. Wstaliśmy z ziemi i idziemy swobodnie, bo przecież jesteśmy już we Francji. A nagle słyszymy głośny rozkaz *Hande hoch!* i trzask repetowanych karabinów. Wpadliśmy na patrol policji francuskiej. Bądź nas widzieli, bądź zostali uprzedzeni... Ale kto by to zrobił? Nie wiem, czy nie ten Węgier, bo potem jakoś zniknął. Zaarestrowali nas. Znalazłem się w dziwnym lokalu. Przesłuchiwał nas francuski oficer. Francuskiego wtedy jeszcze nie znałem, mówiliśmy po niemiecku. Oświadczyłem, że nie mam zamiaru pozostawać we Francji, jadę do Hiszpanii. Jeszcze mu powiedziałem, że on jako oficer armii francuskiej, kraju Frontu Ludowego zapewne mnie dobrze rozumie, bo z pewnością też jest po stronie Republiki Hiszpańskiej. Nic to nie pomogło, twardo oświadczył, że bezprawnie jestem na terenie Francji i że mnie ciupasem odstawi z powrotem do Szwajcarii. Jedyne, co może zrobić, że nie odda mnie w ręce władz szwajcarskich. Rozglądałem się, jak można by uciec, ale pilnowali nas. Do granicy prowadził mnie policjant francuski, a kiedy zna-

leżliśmy się w miejscu, gdzie nikogo nie było, podniósł pięść z antyfaszystowskim pozdrowieniem, powiedział *bon courage*, odwrócił się i sobie poszedł. No po prostu dał mi ucieć. Ruszyłem szybko ukrywając się to tu, to tam, by się znów nie napatoczył na jakiś patrol. Do wioski nie było daleko, jakieś półtora kilometra. I gdy tam dotarłem, zaczepiłem młodego chłopaka i podałem mu nazwisko człowieka, do którego miałem pójść. Porozumiewaliśmy się trochę na migi i zrozumiałem, że chce mnie tam zaprowadzić. Okazało się, że był to syn tych ludzi, do których szedłem. Czekał tam nasz przewodnik. Uradował się wielce, jak mnie zobaczył, rozcałował się, myślał, że już gdzieś przepadłem.

*(Bożena) Miałeś tyle szczęśliwych przypadków na tej drodze, można powiedzieć, że Palec Boży nad tobą czuwał.*

No, można tak powiedzieć. I jak oni mnie tam przyjęli! Nakarmili mnie, ugościli, dali mi bilet na pociąg do Miluzy i pieniądze na dalszą drogę do Paryża. Byli to ludzie wtajemniczeni w przerzucanie ochotników do Hiszpanii, nie ja pierwszy byłem ich „klientem”. Nazajutrz jechałem do Paryża.

Znałem adres, na który miałem dotrzeć. Okazało się, że była to siedziba Związku Zawodowego CGT. Był to punkt zborny ochotników z całego świata. Dojechałem tam tramwajem, bo wtedy w Paryżu chodziły tramwaje. Duży był ruch w tym budynku. Zaprowadzono mnie do sali, gdzie odbywała się weryfikacja. Pełno tam było ludzi, kolejki do stolików, coś tam załatwiano. Przy jednym stoliku siedział ktoś, kto mówił po polsku. Stanąłem w kolejce i zgłaszam się, że przyjechałem z Polski. W jaki sposób? Opowiadam. Okazało się, że byłem swojego rodzaju fenomenem, pierwszy taki, który bez żadnego kontaktu dotarł z Polski do punktu zbornego. Poinformowano mnie o wszystkim, miałem czekać i codziennie się zgłaszać. Jak się większa grupa uformuje, wyekspediują nas do Hiszpanii. Przydzielono mi nocleg w tym samym budynku i kartki do restauracji na posiłki. Pierwszego dnia w czasie obiadu popełniłem od razu gafę. Podano czerwone wino do posiłku. Nigdy wina przedtem nie piłem, z wyjątkiem wina

słodkiego, jakie mój ojciec robił z winogron na święta. Czerwone wino wydało mi się więc bardzo kwaśne i kopiało nasypałem cukru. Trzeba było zobaczyć minę kelnera, który z trudem powstrzymywał śmiech.

*(Bożena) Nasz zięć, Alain, dobrze by się z tego uśmieł...*

Spotkałem tam kilku Polaków i wszyscy czekaliśmy na ten dzień, kiedy grupa nasza wyjedzie do Hiszpanii. Chodziłem po Paryżu, sam lub z kolegami. W Luwrze nie byłem, chyba mało co wtedy widziałem, a może już tego dzisiaj nie pamiętam. W głowie mi była Hiszpania i właściwie siedziałem na miejscu w oczekiwaniu na decyzję wyjazdu. Tu muszę dodać, że czternastego lutego została zamknięta granica między Francją a Hiszpanią. Była to decyzja tak zwanego Komitetu Neutralności i na skutek uchwały Ligi Narodów rząd francuski zamknął granicę, co oczywiście było na rękę Franco. Bo ani Hitler, ani Mussolini nic sobie nie robili z uchwały Ligi Narodów, natomiast Francja gorliwie wzięła to pod uwagę, Francja, której premierem wówczas był Leon Blum.

*(Bożena) Nie bardzo rozumiem stanowiska Leona Bluma w tych sprawach. On był socjalistą.*

Tak, on był socjalistą. Socjaliści i cała demokracja zachodnia przyjęła haniebną politykę, która potem miała konsekwencje w Monachium. Chciała w ten sposób uspokoić Hitlera i zaspokoić jego żądania. Mieli nadzieję, że Hitler zrobi to, co zawsze zapowiadał. Napadnie na Związek Sowiecki, wtedy obie strony będą osłabione i wtedy będzie można położyć rękę na jednych i na drugich. To na pewno była polityka Chamberlaina. Przypuszczalnie Blum tak nie myślał, ale myślał naiwnie i skutki tego są znane.

W pociągu do Perpignan poznałem wielu Polaków. Między innymi wybitnego działacza komunistycznego Ćwika. Okazał się człowiekiem o wielkiej osobowości. Po wojnie domowej w Hiszpanii udało mu się nie pójść do obozu, został przez pewien czas we Francji, a potem pojechał do Anglii.

Opuścił szeregi komunistów w proteście przeciwko paktowi Mołotow-Ribbentrop, przeszedł do PPS i stał się bliskim współpracownikiem polskiego działacza socjalistycznego na emigracji – Libermana.

Był to więc luty trzydziestego siódmego roku. Francuzi zamknęli granicę czternastego lutego, tak się rząd francuski zachował... A myśmy przyjechali do Perpignan piętnastego lutego. Podzielono nas na małe grupy, po pięciu, po dziesięciu i przy każdej grupie był Francuz, który miał nas przeprowadzić przez granicę bocznymi drogami. Zamknięcie granicy okazało się jednak bardziej formalne niż faktyczne i sprawa sprowadziła się do tego, że szliśmy ze dwa, trzy kilometry i przeszliśmy granicę na piechotę, zamiast samochodami. Doszliśmy do pierwszej stacji kolejowej. Tam czekał na nas pociąg, który podwiózł nas do punktu zbornego, mieszczącego się w twierdzy blisko Figueras. Chyba ta twierdza też się nazywała Figueras. Po dobrych trzech miesiącach pełnej przygód podróży, znalazłem się więc w Hiszpanii.

## WOJNA DOMOWA W HISZPANII

*(Bożena) Znalazłeś się w Hiszpanii. I co dalej się działo?*

To był luty trzydziestego siódmego roku. Po przekroczeniu granicy francusko-hiszpańskiej skoszarowano nas, ochotników z różnych krajów, w twierdzy Figueras. Mieściły się tam wielkie koszary. Podzielono nas na grupy, przemówił do nas oficer armii republikańskiej. Mówił po francusku, potem po hiszpańsku, włosku, po rosyjsku. Okazało się, że był to Albańczyk, znał wiele języków. Zaczęło się życie koszarowe. Miało to trwać kilka dni, a potem miano nas odtransportować do Albacete – punktu zbiorczego Brygad Międzynarodowych.

*(Bożena) Umundurowali was?*

Jeszcze na razie chodziliśmy po cywilnemu. Czekano się na następną grupę i odkomenderowanie do Albacete. Mimo

skoszarowania, byliśmy zupełnie swobodni, drylu wojskowego nie było, ani mundurów, ani wojskowego szkolenia. Wolno nam było wychodzić do pobliskiego miasta. Było to właściwie małe miasteczko, prawie wioska. Jedzenie w koszarach było dość marne i postanowiłem sobie kupić masło. To była bardzo zabawna historia. Miałem trochę pieniędzy, wymieniłem na pesetas i poszedłem z Francuzami do chłopca. Masło po francusku jest *beurre* więc uznaliśmy, że po hiszpańsku będzie podobnie. Wyciągam pieniądze i mówię mu: *beurre, beurre*. A on na to „si, si, si” i idzie do jakiegoś zabudowania. Po chwili wraca i na sznurze przyprowadza osła. Patrzymy na niego, on patrzy na nas, i nic tylko sznur nam wypycha do ręki, a osioł ciągnie do tyłu i beczy. Powtarzam mu – *beurre, beurre* on: „si, si si” i upiera się, żeby tego osła od niego kupić. Potem dopiero się dowiedziałem, że osioł po hiszpańsku to *burro*.

W naszej grupie byli Amerykanie, w tym wielu czarnych i sporo Anglików, studentów z Cambridge, Oxfordu i innych miast. Szybko się z nimi zaprzyjaźniłem. A w ogóle była tam mieszanina wszystkich narodowości i języków. Wreszcie doczekaliśmy się decyzji odjazdu. Jechaliśmy specjalnym pociągiem do Albacete. I tu od razu ogromne przeżycie. Na pierwszej stacji i na każdej następnej stały tłumy ludzi, którzy nas witali. Z kwiatami i koszami pomarańczy. Luty jest okresem zbioru owoców. Na każdej stacji stały więc grupy młodych i starych ludzi z misami pomarańczy, które nam rzucali przez okna. Śpiewali, pozdrawiali nas, *viva Espania! Viva Republica! Viva voluntarios!* Po pewnym czasie wagony dosłownie zasypane były pomarańczami i obżeraliśmy się nimi przez całą drogę.

W Albacete dowódcą całości był Bułgar Popow. Zaczęło się organizowanie jednostek. Zostałem przydzielony do 20-tego batalionu międzynarodowego. Polskie bataliony imienia Jarosława Dąbrowskiego (stąd nazywanie wszystkich Polaków „Dąbrowszczakami”), Adama Mickiewicza, już były na froncie. Dwudziesty był batalionem międzynarodowym, składał się z ochotników chyba dwudziestu narodowości. Kompanie formowano w ten sposób, żeby w niej byli ludzie rozumiejący się tym samym, lub podobnym językiem.

Byłem razem z Rosjanami, Czechami, Polakami. Dowódcą batalionu był włoski komunista, Morandi, szefem sztabu był Polak z KZM-u, znakomity człowiek, Tadek Oppman, siostrzeniec sławnego poety Or-Ota. Szybko jednak od nas odszedł na jakieś inne stanowisko. Zaczęto się szkolenie.

*(Bożena) A kto was szkolił? Wiadomo, że do Hiszpanii jechali przede wszystkim studenci, robotnicy, intelektualis-ci, chyba niewielu było zawodowych wojskowych...*

Właśnie o tym opowiem. W dniu, w którym wyjechaliśmy na front, otrzymaliśmy transport broni ze Związku Sowieckiego. RKM-y, CKM-y. Kłopot tylko na tym polegał, że nikt z nas nie wiedział, jak się z tą bronią obchodzić i na front pojechał z nami lejtenant sowiecki. W drodze przechodził z jednego wagonu do drugiego i szkolił nas, pokazywał, jak się obchodzić z RKM-em. Ja zostałem dowódcą drużyny RKM-ów, bo według leitenanta byłem zdolnym uczniem. Uczyliśmy się jak rozbierać na części RKM, składać, czyścić, celować i pozwolił, żebyśmy kilka razy wystrzelili z pociągu, było to trochę zawadiackie, ale strzelał tylko dowódca drużyny, czyli ja, więc tak wiele strzelaniny nie było... Pamiętam dokładnie, gdzieśmy wysiedli. Ta miejscowość nazywała się Pozo Blanco. Białe Źródło. Tam połączyliśmy się z dwoma batalionami hiszpańskimi i w ten sposób powstała 6-ta brygada *mixta*, hiszpańsko-międzynarodowa. Dowódcą został Morandi, nasz dowódca batalionu.

Pierwszy bój polegał na tym, że mieliśmy zdobyć pasmo górskie, a nasz batalion miał za zadanie zdobycie rozległego wzgórza. Ponieważ cała armia republikańska nie posiadała artylerii, a my oczywiście też nie, więc atak rozpoczęły trzy wystrzały z małego działa. I do szturm. Naszymi przeciwnikami byli Marokańczycy, którzy się oczywiście mocno ostrzeliwali. Mieli karabiny maszynowe, byli dobrze uzbrojeni i po dziś dzień nie jest dla mnie jasne, jak to się stało, że my, kiepsko uzbrojeni, posuwaliśmy się naprzód. Wzgórze było gęsto porośnięte, więc ukrywaliśmy się za krzewami i tak skacząc od jednego do drugiego znaleźliśmy się bardzo blisko okopów nieprzyjaciela o jakieś dwadzieścia metrów, kiedy



usłyszałem rozkaz *fuego! fuego!* – „ognia! ognia!”. Poderwaliśmy się. Oni tego szturm nie wytrzymali i uciekli. Zdobyliśmy wzgórze. Bataliony hiszpańskie z lewego i prawego skrzydła gorzej sobie dawały radę i pozostawały z tyłu. Ścigaliśmy tych Marokańczyków, aż dowódca brygady kazał nam się zatrzymać.

*(Bożena) Zatrzymać się?...*

No tak, bo gdybyśmy się zbyt wysunęli, tamci, to znaczy dwa hiszpańskie bataliony zostałyby zupełnie w tyle. Zaczęło się okopywanie, spodziewaliśmy się kontruderzenia. I rzeczywiście ono nastąpiło. Po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z lotnictwem włoskim. Zobaczyliśmy nadjeżdżającą marokańską kawalerię. Rozwinęli się w szyku i ruszyli do ataku. Artylerii prawie nie było, ale intensywnie nas bombardowano. Myśmy strzelali do samolotów, które bezczelnie nisko latały. Strzelałem z mojego karabinu maszynowego, strzelałem, ale jakoś nie trafiałem.

Marokańscy kawalerzyści pozostawili konie u podnóża i pieszo wielką hurmą ruszyli pod górę do szturm. Odbiliśmy ich atak kilka razy, w końcu oni nas wyparli, wycofaliśmy się, ale niezbyt daleko. Znalazłem dobry punkt obserwacyjny, miałem ten mój krabin maszynowy, broniliśmy się przez wiele godzin i w tym dniu utrzymaliśmy nasze pozycje. Ale dostaliśmy rozkaz, aby się wycofać, bo inne bataliony nie miały większych sukcesów, my zaś byliśmy zbyt wysunięci i groziło nam okrążenie i odcięcie od reszty brygady. Na tym się zakończył ten mój pierwszy bój. Wróciliśmy do naszej bazy w Pozo Blanco, która mieściła się niedaleko bardzo znanych z literatury hiszpańskiej kopalń miedzi Penarroya.

*(Bożena) Czy już wtedy znałeś hiszpański?*

Nie, ale zacząłem się uczyć, co początkowo było dość trudne, bo w batalionie byli sami międzynarodowcy. Mówiło się po niemiecku, bo byli z nami Niemcy, Austriacy. Ale też Rosjanie, Jugosłowianie i z nimi porozumiewaliśmy się mieszanym językiem słowiańskim.

*(Bożena) Ale powiedz coś o Hiszpanii. Jaka właściwie była ta Hiszpania?*

Jak długo byliśmy w Albacete nie mieliśmy właściwie żadnego kontaktu z Hiszpanami. O jednym się myślało: jak najlepiej przygotować się wojskowo, żeby być sprawnym na froncie. W wolnych chwilach uczyłem się hiszpańskiego. Ciekawiło mnie przecież co Hiszpanie myślą o tej wojnie, jaki mają stosunek do Republiki. Jeśli nie byłem na froncie, brałem czasem udział w zebraniach, manifestacjach, rozmawiałem z Hiszpanami. Stosunek ludności do nas, a szczególnie ludzi na wsi, był niesłychanie pozytywny. Oni głęboko nienawidzili faszystów, a sympatyzowali z Republiką, bo im dała trochę ziemi. Przeprowadzono tam bowiem reformę rolną, ale na ile sobie przypominam, bardzo ograniczoną. Skonfiskowano ziemię tych obszarników, którzy uciekli do Franco. Rozdano ją chłopom.

*(Bożena) A jak było w dużych miastach?*

Trudno mi powiedzieć, na pewno było różnie. Myśmy byli przeważnie w małych miasteczkach i tam Republika miała poparcie ludności, nie ma żadnej wątpliwości.

Interesowali mnie anarchiści. Interesowała mnie jakaś ich dziwna egzotyka, ich teorie, których dokładnie nie znałem. Nie uznawali oni żadnej władzy, nie uznawali pieniędzy, natomiast gorliwie zwalczali kościół i księży, co też czynnie robili i kładło się to na karb Republiki. Było to bardzo szkodliwe. Poznałem kilku. To byli sympatyczni ludzie, ale z innego świata, przeważnie Hiszpanie. Wśród międzynarodowców anarchistów nie było. Z wyjątkiem kilkunastu, czy może kilkudziesięciu wariatów, którzy na froncie nigdy nie byli, a kręcili się wśród kolumn anarchistycznych, głównie w Katalonii. Wśród nich był też Orwell, autor „Homage to Catalonia” i słynnej książki „1984”.

*(Bożena) Orwell nie był anarchistą. Komunizował w młodości.*

Ale to, co pisał o Katalonii w większości wypadków było bardzo nieobiektywne, nie oddawało prawdy o wojnie hiszpańskiej. Obracał się on w kręgach anarchystyczno-trockistowskich. Ci ludzie działali, na pewno nieświadomie, ale działali na zgubę Republiki. Głównym naszym celem i celem tej wojny było utrzymanie demokracji i zwyciężenie trudnego, dobrze uzbrojonego przeciwnika. To, co Orwell widział i co opisywał, nie było obrazem Hiszpanii, ale bardzo wąskiej, wyraźnie schorzałej grupy społeczeństwa hiszpańskiego.

*(Bożena) Hemingway inaczej to widział.*

Nie tylko Hemingway. Do Hiszpanii przyjeżdżała cała światowa śmietanka literatury, poezji, sztuki i wszyscy byli po stronie Republiki. Mówić o tym, że Republika była zamuflowanym komunizmem, jest czystym nieporozumieniem. W rządzie tamtejszym byli głównie republikanie, prawicowi socjaliści. Pod koniec wojny weszło dwóch komunistów. Jeden od szkolnictwa, drugi, Vincento Uribe, od rolnictwa. Ale nie żeby zaprowadzać kołchozy. Ale właśnie, żeby przeszkodzić wariatom – anarchistom i trockistom w ich akcji tworzenia kołchozów. Ci wariaci, w rejonach, w których mieli większość, zlikwidowali pieniądze. Ale ponieważ żyć się tak nie dało, to wydawali bony. Nikogo nie uznawali, nie uznawali żadnej władzy, żadnego rządu i uważali, że geniusz ludu wszystko zrobi. Wobec tego byli przeciwko armii, przeciwko jakiegokolwiek organizacji, dyscyplinie, sztabom, przeciwko łączności, przeciwko wszystkiemu.

*(Bożena) A Ksawery Pruszyński? On stał po stronie Republiki.*

Oczywiście, odwrotnie aniżeli ówczesny Rząd Polski. Nawet kiedyś zdobywszy okopy faszystowskie znaleźliśmy tam naboje w skrzyniach z polskimi napisami.

*(Bożena) Kiedy wam odebrano polskie obywatelstwo?*

Kiedy dokładnie, tego nie pamiętam. Ale dowiedzieliśmy

się o tym po zakończeniu wojny hiszpańskiej, kiedy byliśmy w obozie we Francji. Chcieliśmy jechać do Polski, żeby wstąpić do polskiej armii. To było jeszcze przed wrześniem trzydziestego dziewiątego roku, już po wojnie w Hiszpanii. Zwróciliśmy się w tej sprawie do polskiego konsulatu w Tuluzie. Przyjechał do nas przedstawiciel konsulatu i powiedział, że jest to niemożliwe, bo Rząd Polski odebrał nam wszystkim Polakom z Brygad Międzynarodowych polskie obywatelstwo. A ostatnio – co uważam za haniebne – Rząd Solidarności (rok 1990) poszedł jakby w sukurs rządowi sanacyjnemu i próbował odebrać Dąbrowszczakom prawa kombatanckie.

(Natomiast zupełnie inną pozycję w tej sprawie zajął król Hiszpanii, Carlos i Rząd Hiszpanii, który w 1996 roku, w 60-tą rocznicę rozpoczęcia Wojny Domowej przyznał wszystkim kombatanom obywatelstwo Hiszpanii.)

*(Bożena) Kto był w rządzie republikańskim?*

Prezydentem Republiki był Manuel Y Diar Azana, republikańsin z wielkimi tradycjami demokratycznymi. Premierem był socjalista Largo Cabellero, lekko zwariowany, bo był przeciwko tworzeniu armii. Według niego zamiast wojska miały istnieć takie jakies niezorganizowane kolumny, czy oddziały. Potem nastąpiły rządy, które widziały organizację państwa w sposób bardziej rozsądny. Premierem został socjalista, Dr Juan Negrin i był nim do końca. Ministrem wojny, prawnicowemu socjalista Indalecio Prieto y Tuero, spraw wewnętrznych jakiś republikańsin.

*(Bożena) A ci wszyscy Hiszpanie, których po wojnie poznałam: Modesto, Lister?*

Oni nie byli w rządzie. Nie jestem historykiem i nie znam na tyle historii ruchu komunistycznego, aby go obiektywnie ocenić. Ale mam wrażenie, że w historii tego ruchu komuniści hiszpańscy powinni mieć swoją dobrą kartę. Odznaczyli się w czasie wojny domowej, pozytywną, rozsądną linią postępowania. Oczywiście myśleli o reformach socjalnych, ale podstawową sprawą była wojna. Po to, żeby tę

wojnę wygrać, potrzebne było zorganizowane i dobrze uzbrojone wojsko. Anarchiści i trockiści propagowali coś zupełnie przeciwnego: byli przeciwko wojsku, przeciwko jakimkolwiek porządkowi. Partia komunistyczna miała krańcowo odmiennie stanowisko. Sprawę utworzenia wojska powierzono Listerowi i Modesto. Nie byli to zawodowi oficerowie, obaj robotnicy, ludzie z wielkim talentem organizacyjnym. Zorganizowali tak zwany piąty pułk, *quinto regimiento*, który potem przerósł w piąty korpus armii. Dowódcą korpusu był Modesto, dowódcą jednej z dywizji, Lister. Dowódcą innej dywizji był Sasza, asystent matematyki z uniwersytetu madryckiego, później był Melino, zupełnie młody pracownik naukowy, którego niedawno spotkałismy w Madrycie. Zaczęło się formować prawdziwe wojsko, regularna armia. Co to znaczy regularna armia? To znaczy powstawały korpusy, dywizje, brygady. Tworzono sztaby, dowództwo, zaprowadzono bezwzględna dyscyplinę.

*(Bożena) To był rok trzydziesty szósty?*

To był rok trzydziesty siódmy.

*(Bożena) No dobrze, więc wojna w Hiszpanii, która zaczęła się w roku trzydziestym szóstym, rozpoczęła się bez wojska?*

Była wojną z wojskiem, które nie było wojskiem. To była nieorganizowana milicja.

*(Bożena) To znaczy były uzbrojone kolumny, grupy...? A prawdziwe wojsko zorganizowało się dopiero w trzydziestym siódmym roku?*

Tak, i to była historyczna zasługa komunistów. Ja wiem, że dzisiaj wszyscy zawodowi antykomuniści we wszystkim, co komunistyczne doszukują się zła, co świadczy o tym, że nie są w stanie obiektywnie rozróżnić, co dobre, a co złe. Pamiętam względnie niedawną rozmowę z Krzysztofem Pomianem, który powiedział, że wprawdzie Vincento Uribe, minister

rolnictwa w rządzie republikańskim stał na stanowisku, żeby nie tworzyć kołchozów, ale potem, po wojnie – mówił Krzysztof – na pewno by je stworzył, bo był stalinowcem. Otóż dyskutować co by było gdyby jest niepoważne. Mówię o postawie komunistów w czasie wojny.

*(Bożena) A jakie było stanowisko Dolores Ibarruri?*

Było takie, jakie partii komunistycznej. Była zastępcą generalnego sekretarza Jozé Diaz. Miała, jak i on, krańcowo inne stanowisko aniżeli anarchiści i trockiści z POUM-u. Dolores Ibarruri, odgrywała wielką rolę w domowej wojnie w Hiszpanii.

Potrzebę tworzenia silnej, zdyscyplinowanej armii z czasem zrozumieli również Republikanie. Po stronie faszystów walczyły wyszkolone oddziały uzbrojone przez Niemców i Włochów. Było kilka włoskich eskadr lotniczych. Ogólnie po stronie faszystów w lotnictwie było 90% lotnictwa niemieckiego i włoskiego. Słynne Sztukasy, Messerschmity, znane dobrze z drugiej wojny światowej i bombardowania Warszawy w trzydziestym dziewiątym roku i w czasie Powstania Warszawskiego w roku czterdziestym czwartym – właśnie tam były wypróbowywane. I Hitlerowi przecież nie chodziło o pomoc dla rebeliantów, ale była to dobrze przemyślana próba generalna ataku na Polskę i Europę. Przygotowanie do wojny światowej. Ludzie, partie polityczne, rządy demokratyczne, świadomie czy nieświadomie, nie chciały widzieć, lub nie widziały groźby, która nadchodziła ze strony hitlerowskich Niemiec. Hiszpańscy republikanie jasno to widzieli. Przygotowana przez Hitlera i Mussoliniego rebelia wojskowa wystąpiła przeciwko Republice. Dlatego wybuchła wojna domowa w Hiszpanii. Dlatego szło się tam walczyć. Przeciwko międzynarodowemu faszysmowi.

*(Bożena) A czy coś docierało do ciebie z wielkiej polityki, która się w Hiszpanii rozgrywała w czasie wojny i roli doradców sowieckich, którzy tam byli, roli Stalina?*

Prawdę mówiąc, mało co o tym wtedy wiedziałem. Nasza

brygada była oderwana od całości Brygad Międzynarodowych. Dlaczego tam pozostawaliśmy – nie wiedziałem. Byliśmy na południu, inni byli na północnych terenach. Jakie były wtedy polityczne komplikacje pomiędzy rządem republikańskim, doradcami sowieckimi i dowództwem Brygad Międzynarodowych, mogę jedynie teraz zrozumieć, czytając opracowania historyczne o wojnie w Hiszpanii, choćby to, które czytam obecnie autorstwa Hugh'a Thomasa. Ale wtedy byłem na zbyt niskim szczeblu i z wielkiej polityki i strategii mało co do mnie docierało. Myśmy po prostu walczyli.

Wydarzenia, które były dla mnie bardzo bolesne i istotne, to straty w walkach. Trzeba było uzupełniać nasze szeregi. Uzupełniało się je oddziałami hiszpańskimi. Przez dziesięć dni byłem w obozie rekrutów i to już ja prowadziłem szkolenie wojskowe. Zostałem mianowany szefem sekcji i spodziewałem się dostać nominację na porucznika. Kiedy wróciłem do batalionu, właśnie przyjechał tam komisarz brygady, kochany człowiek, górnik asturyjski. Jest apel i na apelu mianuje mnie zastępcą dowódcy kompanii, czyli komisarzem kompanii, co odpowiadało stopniu kapitana. No więc byłem kapitanem.

Miałem bardzo dobry kontakt z Hiszpanią, z żołnierzami hiszpańskimi. Od nich właściwie nauczyłem się hiszpańskiego, z nimi na biwakach śpiewałem piosenki hiszpańskie. Ich sposób śpiewania flamenco wszedł mi jak gdyby w krew.

Któregoś dnia, rano przy przeglądzie kompanii, stwierdziłem brak jednego żołnierza. Dowiedziałem się od jego kolegów, że poszedł on z bronią do swojej rodzinnej wioski. Wysłałem patrol, nie było to daleko. Chłopaka z automatem przyprowadzono z powrotem. Stał oczywiście przed sądem wojennym za dezercję. Otóż bronił się w ten sposób, że otrzymał list, że jego *novia*, czyli narzeczona, chodzi z innym chłopcem. On uważał, że to godzi w jego honor, więc poszedł z automatem, żeby konkurenta zabić. Normalnie – zabić... Jakie było nasze zdziwienie, gdy sąd hiszpański jednogłośnie zwolnił go z kary. Dano mu jakąś drugorzędną karę. Sąd orzekł, że rzeczywiście nie mógł pozwolić, żeby jego dziewczyna chodziła z innym chłopcem... Trochę nas to zaszokowało. Ale przyjęliśmy do wiadomości. Potem ten chłopak był znakomitym żołnierzem.

*(Bożena) Tak więc uczyliście się dżentelmeństwa...*

Trudno powiedzieć dżentelmeństwa, raczej donkichoterii.

W Almadem, niedaleko Sewilli, znajdują się kopalnie rtęci. Był to ważny punkt strategiczny i ekonomiczny. Kopalnie były w 70% w rękach Republiki i frankiści postanowili je zdobyć. Zaczęli nacierać na Almadem. Rzucono tam naszą jednostkę. Byłem wtedy dowódcą kompanii szturmowej. W większości żołnierzami byli Hiszpanie, ale było też trochę międzynarodowców. Jak zwykle w tamtej wojnie ruszyliśmy bez przygotowania artyleryjskiego. Trzeba było zdobyć wzgórze. Zdobywaliśmy je szturmem, obsypując granatami. Właściwie słabo się tam bronili. Wtedy ja dostałem kulę, która jak się potem na zdjęciu rentgenowskim okazało, przeszła dwa milimetry od serca. Więc miałem szczęście. Potem znowu przy jakiejś bitwie zostałem trafiony, odłamek przebił mundur i zatrzymał się na kręgosłupie. Znowu miałem szczęście. Na jednej z pozycji przed natarciem na Sierra Morena dostałem jakichś przeokropnych boleści, zwijałem się z bólu. Nadjechał samochodem szef służby zdrowia, Bułgar, doktor Micew i wyciągnął mnie z okopu. Uśpili mnie chloroformem, myślałem, że umieram. Operował mnie w samochodzie znakomity amerykański chirurg, doktor Barski. Po wojnie był znanym działaczem demokratycznym w Stanach.

Ale tak opowiadając o Hiszpanii, jakoś nie wspomniałem o jednym człowieku, Niemcu, Heinz Dudel się nazywał. Był dowódcą kompanii, a potem dowódcą batalionu, prosty robotnik z Drezna i żadnego języka, prócz niemieckiego nie znał, więc ja byłem jego tłumaczem. Był kapralem armii niemieckiej w pierwszej wojnie światowej, jak większość chyba Niemców, a szczególnie on, był żołnierzem z bożej łaski. Wiem, że Heinz Dudel po wojnie żył w Dreźnie, miałem z nim kontakt, bardzo go ceniłem jako człowieka, był zawziętym antyhitlerowcem. Z całej duszy nienawidził Hitlera i widział zgrozę, która się szykuje dla świata. Dlatego walczył w Hiszpanii.

*(Bożena) Dużo było Niemców po stronie republikańskiej?*



W Brygadach było chyba około 5000 i dzielnie walczyli. Z Heinzem Dudel'em wiąże mi się jeszcze jedna historia. Taka, jakich zresztą wiele było w czasie tej wojny. Walczyliśmy wtedy w Sierra Morrena. To był kwiecień 1938 roku. Heinz Dudel postanowił cały nasz batalion przeprowadzić na tyły wroga i od tyłu zaatakować. Poprowadził batalion nocą pomiędzy pozycjami faszystów, co było nie lada wyczynem. Ale co z tego? Na tyłach rozwinęliśmy się, ale manewr się nie udał. Część żołnierzy, zwłaszcza Hiszpanie, nie bardzo się sprawili. Sporo było dezercji, trzeba się było wycofać, czyli znów przejść przez pozycje wroga, bo przecież byliśmy na ich tyłach. I nagle się okazało, że zostałem sam z trzema żołnierzami. Walczyliśmy ostro. Z niewielkiej odległości, z wierzchołka pagórka, jakiś faszysta krzyczał do nas: „*rocho, rocho* – czerwoni – nie udało wam się sztuka na 1 maja! Już mamy w niewoli innych czerwonych i zaraz i was weźmiemy”. Tym razem naprawdę cudem udało mi się wyjść z okrążenia. Szliśmy między pozycjami faszystowskimi, kryjąc się to tu, to tam, ci trzej żołnierze za mną, pewno nie zdawali sobie sprawy z groźby sytuacji, ale wierzyli, że ich dobrze prowadzę. Tak do południa. Wreszcie skoczyliśmy na bok i wiedziałem, że jesteśmy u swoich. Ale byłem już u kresu sił.

W kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku wojska frankistowskie dotarły do Morza Śródziemnego, Republika Hiszpańska przedzielona została na dwie części, pomiędzy którymi panowali frankiści. Moja brygada pozostała na południu i powstał problem przerwania nas do Katalonii, gdzie walczyły inne brygady. Nie było to proste. Lotnictwo niemieckie i włoskie panowało w powietrzu, marynarka na morzu. Załadowaliśmy się wieczorem na kutry rybackie i małe okręty, pod pokłady, cichcem, bez świateł przepływaliśmy pomiędzy morskimi jednostkami faszystowskimi. Kiedy dotarliśmy do Katalonii, a był to już październik trzydziestego ósmego roku, okazało się, że wszyscy cudzoziemcy z frontu zostali wycofani. Stało się to w związku z decyzją Ligi Narodów o wycofaniu z frontu cudzoziemców tak ze strony republikańskiej, jak i frankistowskiej. Miało się to przyczynić do szybkiego zawarcia pokoju. Rząd Republiki decyzję przyjął. Zostaliśmy skoncentrowani na tyłach. Wielu

międzynarodowców opuściło Hiszpanię. Francuzi, Duńczycy i inni wrócili do swoich krajów. Ale Franco, Hitler, Mussolini decyzję Ligi Narodów zignorowali. Ze strony Franco ani niemieckie i włoskie lotnictwo, ani marynarka, ani włoskie dywizje, ani hitlerowski legion Kondor – nie został wycofany. Republika to zrobiła, licząc na opinię światową i pomoc, której nigdy nie dostali.

Tymczasem faszyci zbliżali się do Barcelony. Wtedy my wszyscy, cudzoziemcy, którzy zostali w Hiszpanii, zażądaliśmy powrotu na front. I tak powstał Drugi Front. W nowo uformowanych Brygadach pozostali Austriacy, Niemcy, Włosi, Polacy, Jugosłowianie, Żydzi z różnych krajów i inne mniejsze grupy. Na czele nas wszystkich, cudzoziemców, stanął Henryk Toruńczyk. Wielką też rolę wtedy odegrał Szyr, który był komisarzem obozu Brygad Międzynarodowych. Kontaktował się z władzami, z komisarzem Gallo czyli z Luigi Longo, z André Marty, brał udział w reorganizacji Brygad. Dowódcą był Toruńczyk. Ja byłem u niego w sztabie szefem operacyjnym.

*(Bożena) W polskim albumie wydanym na pięćdziesięciolecie wojny w Hiszpanii w ogóle się o tobie nie mówi.*

Muszę powiedzieć, że mocno mnie to dotknęło. To znaczy, że mnie w Hiszpanii w ogóle nie było. Palce w tym zapewne maczał ZBOWiD i Wojskowy Instytut Historyczny.

*(Bożena) Ale pomówmy jeszcze o Hiszpanii. To dopiero przy tworzeniu Drugiego Frontu spotkałeś się z Polakami?*

Właściwie dopiero wtedy zetknąłem się z Polakami z dowództwa Brygad Międzynarodowych i z Dowództwa resztki Brygady Polskiej imienia Jarosława Dąbrowskiego. Jej dowódcą został Węgier Mihaly Szalvai – Czapajew.

*(Bożena) Resztki Brygady Polskiej?*

Tak. Były ogromne straty. Wielu zostało zabitych, około

trzech tysięcy Dąbrowszczaków poległo w Hiszpanii, a 200-tu Polaków, którzy przyjechali do Hiszpanii z Francji, powróciło do Francji. Byliśmy świadomi, że to już koniec, zwłaszcza ten odcinek frontu, na którym byliśmy, atakowany był z prawa i z lewa głównie przez włoskie kolumny pancerne. Republikańska armia hiszpańska była w rozsypce. Myśmy się bili bezustannie. Z dwóch stron nas podchodzili. Z trudem utrzymywało się linię frontu. Raz na czele małego zgrupowania kawaleryjskiego, dwunastu ludzi, wyjechałem na zwiady. Przejechaliśmy przez las i powoli cwałując dojechaliśmy do miejsca, o jakieś pół kilometra od wioski. Widać było na wzgórzu kościół, były dzwony, śpiew, modły. Witano tam faszystowskie wojska. Skręciliśmy, by wioskę ominąć, a nagle ku nam zaczął się zbliżać pieszy oddział kilkunastu żołnierzy. Po mundurach poznaliśmy, że nie byli to faszyci. Ja do nich: *camaradas*, a oni jakie tam *camaradas* i zaczęli nas wręcz wyzywać. Byli to dezercerzy. Wykrzykiwali coś wrogo i stało się oczywiste, że chcą nas wziąć do niewoli, żeby pokazać faszystowskiej jednostce we wsi jak to oni rozprawiają się z „czerwonymi”. Powiedziałem: „dobrze, poddamy się i razem z wami pójdziemy do faszystów”. Wyciągnąłem pepeszę udając, że chcę ją im oddać. Ale zarepetowałem i puściłem serię nad ich głowami. Oni się zlekli, rzucili się na ziemię, a myśmy spięli konie i uciekli.

To jest wojna. Takich sytuacji było wiele. Na tym właśnie sprawa polega, żeby umieć umknąć z groźnych sytuacji. Wracam kiedyś z patrolu do sztabu brygady, a sztabu brygady nie ma. Brygada się wycofała. Jestem z dwoma żołnierzami i nie mam pojęcia, w którym kierunku mamy iść, gdzie szukać naszych. Wszędzie już byli frankiści i wiedziałem, że trzeba było kierować się na północ, w stronę Francji. Zmrok zapadał, na szczęście na miejscu kuchni znaleźliśmy trochę pożywienia. Miałem kompas i ruszyliśmy na północ. Trzeba było iść szybko, bo w każdej chwili droga mogła być odcięta. I tak szliśmy całą noc, powoli zbliżaliśmy się do Pirenejów. Ciągłe pod górę. Całą noc i to szybko. Ale miałem wtedy dwadzieścia kilka lat, tak jak i moi żołnierze. Wszystko było możliwe. Nie to, co dzisiaj, kiedy jestem już dobrze po siedemdziesiątce. Ile kilometrów zrobiliśmy? Nie wiem. I też nie

wiem jaki dobry Bóg mnie prowadził, bo przecież pojęcia nie miałem gdzie była brygada, w którą szła stronę. No dobrze – na północ, ale przecież wiele dróg prowadzi na północ. Okazało się, że intuicja mnie nie zawiodła. Nad ranem widniało i przez lornetę zobaczyłem w niedużej już od nas odległości tyły naszej brygady. Dotarliśmy do swoich.

*(Bożena) Dla takiego nieśmiałego chłopaka, którym ty byłeś w młodości – dla ciebie Hiszpania była wielką sprawą...*

Wielką Sprawą i szkołą życia. Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym być żołnierzem z prawdziwego zdarzenia.

Wojnę przegraliśmy. Właściwie tylko Stalin pomagał Republice. Dlaczego?... Miał w tym swoje zawite cele, ale tylko on pomagał i rząd meksykański. Taka jest prawda. Pozycja Francji była eufemistycznie mówiąc – dwuznaczna. Taka, jak wszystkich ówczesnych demokratycznych państw: „Tylko nie jętrzyć Hitlera! Dać, czego żąda, tylko go nie jętrzyć”. Ani Francja, ani inne szlachetne rządy demokratyczne nie tylko nie pomogły Republice Hiszpańskiej, ale także blokowały dostawy uzbrojenia, zakupionego przez Rząd Republikański, bo się wszyscy bali Hitlera. Bo naiwnie sądzili, że to ich przed nim uchroni.

Wojna w Hiszpanii się skończyła. Wojnę w Hiszpanii przegraliśmy. Powoli zaczęliśmy się wycofywać w kierunku granicy francuskiej. Luty, rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Idziemy z kolumnami Hiszpanów, którzy uciekają do Francji. Na wszystkich drogach idą tysiące Hiszpanów, dzieci, kobiety. I my z nimi.

Jesteśmy we Francji. Ma do nas przemówić komisarz Brygad Międzynarodowych, André Marty. Cofamy się poza granicę, aby to pożegnanie odbyło się jeszcze na ziemi hiszpańskiej.

– Weszliście do historii!

A Bucholc, taki nasz cwaniak, KZM-owiec z Powiśla, na to krzyknął: „Tak, weszliśmy, ale jak z niej wyjść?...”

Marty niebawem chwalił Polaków za męstwo, odwagę, poświęcenie. Włochów, Niemców z Brygad zmieszał z błotem.

Niesprawiedliwie. To, co powiedział nie było prawdą. Bo Niemcy dzielnie walczyli, jako żołnierze byli nienaganni.

Żandarmi francuscy ustawiają nas trójkami, prowadzą nas, tysiące ochotników z Hiszpanii i Hiszpanów do obozu jenieckiego w Saint Cyprien.

## MY, JEŃCY DEMOKRATYCZNEJ FRANCJI

*(Bożena) Wojna domowa w Hiszpanii zakończyła się w marcu 1939 roku.*

Tak. Pierwszego kwietnia 1939 roku przekroczyliśmy granicę hiszpańsko-francuską, otoczyły nas wojska kolonialne i francuscy żandarmi. Pod konwojem Senegalczyków wywieziono nas do dwóch obozów niedaleko Perpignan. Ja się znalazłem w obozie w Saint Cyprien. Ogromne obozowisko otoczone przez Senegalczyków. Ani jednego namiotu, ani jednego pomieszczenia, ani kuchni, ani izby chorych. Nic. Literalnie nic. Pustkowie. Wyglądało to zupełnie dramatycznie. A wśród nas byli chorzy, ranni, w obozie prócz międzynarodowców było bardzo wielu Hiszpanów, wiele tysięcy Hiszpanów. Powoli zaczęto przywozić deski na zbudowanie izby chorych i na kuchnię. Ale szło to niebywale ślamazarnie. A warunki w obozie były fatalne. Koczowaliśmy pod gołym niebem i jedliśmy to, co każdy wyciągnął z kieszeni. Głód był potworny. Jeszcze dla zdrowych było to jakoś do przeżycia. Ale przecież byli chorzy. Koniecznie trzeba było pomyśleć o schronieniu dla chorych i rannych, a też dla nas. Deski były złożone niedaleko poza obozem i jeden z naszych, Daniel Kraus, któremu fantazji nigdy nie brakowało, zebrał sporą grupę obozowiczów, ustawił parami, sam stanął na czele i ruszył w stronę warty senegalskiej. Komenderował: *un, deux, trois, un, deux, trois*, że niby to brygada pracy. Senegalczycy się rozstąpili. I z powrotem: „deski na plecy! *Un, deux, trois, un deux, trois*”. I tak kilka razy. I już mieliśmy deski przynajmniej na barak dla chorych.

Potem też była inna zabawna historia. Trzeba było wynieść z obozu i ukryć sztandar Brygad Międzynarodowych.

Miał go przy sobie ostatni dowódca Brygad, Heniek Toruńczyk. I znów Daniel wpadł na pomysł. W izbie chorych przyjmował francuski lekarz, ale licho wiedziało, kto on taki. Nie można go było wtajemniczyć w sprawę. Daniel czyli „Duwcio” średnio mówił po francusku, ale zahamowań w mówieniu w tym języku nie miał. Poszedł do niego i długo tłumaczył o wypadkach chorób zakaźnych w naszej grupie, a kiedy lekarz się na chwilę odwrócił, zabrał mu ze stołu opaskę Czerwonego Krzyża. Od tego momentu stał się sanitariuszem. Zgłosił do jednostki sanitarnej, że w grupie mamy chorego i jest podejrzenie cholery. Trzeba natychmiast wezwać karetkę i wywieźć go do szpitala do Perpignan. Tym chorym miał być Heniek Toruńczyk. Ułożono go na noszach, a „sanitariusz” zapakował się razem z nim do karetki. W szpitalu umieszczono Heńka w separacie, bo było przecież podejrzenie cholery. Daniel zaczął poszukiwania kogoś zaufanego. Spotkał pielęgniarkę i od słowa do słowa, okazało się, że był to komunistą, gorący sympatyk hiszpańskiej Republiki. Wtajemniczył go, że „chory” ma przy sobie sztandar Brygad Międzynarodowych, który trzeba koniecznie bezpiecznie ukryć. Pielęgniarka okazała się znakomitym powiernikiem sprawy i sztandar został przechowany przez całą wojnę. Po pewnym czasie lekarze francuscy orzekli, że chory wyzdrowiał, nie zagraża otoczeniu i Heniek wrócił do obozu. Ten „Duwcio” był naprawdę niezwykły. Ciągłe czegoś dokonywał i nas zabawiał przedziwnymi historiami. Na przykład, że uczył krowy jeździć na nartach. Bo jak był śnieg, krowom, które pilnował, nie chciało się schodzić z pagórków, więc on im zakładał narty... Było ciężko, ale myśmy się trzymali.

Z Saint Cyprien wywieźli nas do obozu w Gurs. Tam mieliśmy lepsze warunki. Były baraki, były prycze, a moja prycza była niedaleko pryczy Laszlo Rajka, późniejszego sekretarza partii komunistycznej Węgier, który dostał wyrok śmierci po stalinowskim procesie. To był tęgi umysł, a człowiek z acy i dobry kolega w obozie. Niedaleko miał też pryczę Paweł, który cudem uszedł z życiem po procesie Slanskiego i jego współtowarzyszy w Czechosłowacji w latach czterdziestych. Za czasów Dubczeka był ministrem spraw wewnętrznych, a po Dubczeku oczywiście znów poszedł w odставку. W naszym

baraku byli też dwaj bracia Tömpe. Pochodzili z węgierskiej arystokratycznej rodziny. Starszy był po wojnie ministrem rolnictwa na Węgrzech, drugi był dyplomatą, *attaché* wojskowym w Berlinie. Kiedy się dowiedział o wypadkach w Czechosłowacji w sześćdziesiątym ósmym roku, w których to wojska NRD brały udział w tłumieniu tamtejszego powstania, bez pożegnania opuścił Berlin i wrócił do Budapesztu. Miał z tego powodu nieliczne trudności, początkowo był bez pracy, ale jednak Kadar, który miał dość otwartą głowę, pozwolił zatrudnić go w jakimś wydawnictwie.

*(Bożena) Spotkaliśmy go w Budapeszcie w roku siedemdziesiątym. Wydał na twoją cześć bardzo wytworne przyjęcie.*

Z nim byliśmy naprawdę w wielkiej przyjaźni. Na tym przyjęciu jak pamiętasz, spotkałem i innych Węgrów, znajomych z Hiszpanii, którzy siedzieli w więzieniu za czasów stalinowskich, ale szczęśliwie uniknęli kary śmierci, jak to się stało z Rajkiem w latach czterdziestych i Nagy'em w pięćdziesiątych. Zaprosiłem Tömpego do Warszawy, nieraz przecież do Warszawy przyjeżdżał.

*(Bożena) Tak, pamiętam. Na pierwszy zjazd Dąbrowszczaków w Warszawie w 46 roku przyleciał do Warszawy specjalnym wojskowym samolotem.*

Ale w siedemdziesiątym roku nie chciał do Polski przyjechać. Rozbuchany w Polsce antysemityzm uznał za kompromitujący nasz kraj. Wydawało mi się wtedy, a zaznaczam było to lato roku siedemdziesiątego, że Kadar na Węgrzech lepiej sobie radzi od Gomułki w Polsce. Tak gospodarczo, jak i politycznie. Tömpe nie podzielał mego zdania. Znał lepiej sprawy, nie służył po jego linii. Tak na Węgrzech, jak i w innych krajach tego tak zwanego obozu krajów demokracji ludowej. Był zgnębiony. Jak umarł Wacek Komar, w roku 1972 zadzwoniłem do niego, żeby przyjechał na pogrzeb. Żona powiedziała, że on nie żyje. Kilka dni przedtem popełnił samobójstwo.

We Francji niemiecka okupacja wyglądała początkowo

dość łagodnie, żeby nie powiedzieć, sielankowo. Opowiadano nam, że w pobliskim miasteczku Pagné, w każdą niedzielę orkiestra wojskowa gra skoczne melodie, a żołnierze niemieccy rozdają miejscowym dzieciom cukierki. Do nas przyjeżdżali oficerowie niemieccy na werbunek na roboty do Niemiec. Nikt z nas nie miał zamiaru pracować w Niemczech, ale wyjazd do Niemiec był z pewnego punktu widzenia interesujący. Była długa debata, czy ryzykować wyjazd i uciec po drodze. Ustalono kto to zrobi. Ci, którzy uciekli we Francji, włączyli się później do francuskiego Ruchu Oporu. Dopiero w roku czterdziestym drugim zorganizowano inną grupę, która przez Niemcy miała się przedostać do Polski i włączyć do podziemnego ruchu w naszym kraju. Kilku zginęło w Niemczech, kilku zaarrestowało gestapo. Innym udało się przedostać do Polski. Tą właśnie drogą dotarli do Polski Henryk Woźniak – „Hiszpan”, Jan Śliwiński, Domański, Lange i inni jeszcze Dąbrowszczacy. Niestety wielu z nich w Polsce zginęło w akcjach bojowych.

*(Bożena) Tak, kapitan „Hiszpan” zginął na Żoliborzu w czasie Powstania Warszawskiego. Był dowódcą 3-go batalionu AL, doświadczony oficer, otaczał go mir Hiszpanii. Przyszedł do kwatery sztabowej na Krasińskiego 18, pełniłam wtedy funkcję szefa kancelarii sztabu AL. Chwilę porozmawialiśmy, wyszedł w pośpiechu, bo na jego odcinku toczyły się zacięte walki. Pamiętam to dokładnie. Nieomal po pięciu minutach przyleciał łącznik z barykady z wiadomością, że „Hiszpan” został zabity.*

Początkowo było względnie spokojnie i jak na życie obozowe prowadziliśmy dość dużą aktywność intelektualną i polityczną. Założyliśmy z Mietkiem Schleyenem szkołę. On wykładał chemię, a ja matematykę i fizykę. Zbieraliśmy się, by omawiać sprawy polityczne. Czytaliśmy miejscowe gazety, które dostarczano nam z zewnątrz, ale niewiele z nich można się było dowiedzieć.

*(Bożena) Ale wiedzieliście o pakcie Ribbentrop-Mołotow?*



To był szok. A także i to, że Związek Sowiecki zajął pół Polski. Tłumaczyliśmy sobie, że tak się stało, bo ZSSR musi się do wojny z Niemcami przygotować. Do nas dochodziły tylko strzępki wiadomości i co się za tym kryło zrozumiałem dopiero dużo później. I też to rzekome przystąpienie do wojny Francji i Anglii... Francja liczyła na łaskawość Hitlera. Ale z czasem i we Francji sytuacja polityczna zaczynała się zaostrzać. W marcu czterdziestego roku przenieśli nas do karnego obozu w Verière d'Ariège. Był głód i represje. Północna część Francji była okupowana, a w czerwcu w południowej tak zwanej „wolnej strefie” powstał kolaborancki rząd z siedzibą w Vichy. Bardzo ciężko się to na nas odbiło. Wywieźli nas do północnej Afryki, na Saharę do obozu w Dżelfie. Ale nie wszystkich. Wywieźli tych najbardziej groźnych politycznie, do których niestety i mnie zaliczono. Zaczęło się od tego, że wychodzące we Francji faszystowskie pismo *Gregoire*, rozpoczęło kampanię przeciwko byłym ochotnikom wojny domowej w Hiszpanii. Któregoś dnia rano zobaczyliśmy, że obóz jest otoczony przez zmasowane, po zęby uzbrojone oddziały wyspecjalizowanej policji francuskiej do walki z bandytyzmem i wrogimi elementami. Skuli nas i tak skutych wywieźli do portu koło Marsylii, wepchnięto na dno statków rybackich i wywieziono do Dżelfy. Inna sprawa, że ta kampania *Gregoire* nie była tak zupełnie bez powodu. Widząc, jak się rozwija sytuacja we Francji, zaczęliśmy obmyślać plan działania w wypadku zbliżania się armii niemieckiej do obozu. Plany bojowe były bardzo precyzyjne. Robimy napad na chroniącą nas żandarmerię, zdobywamy broń i uzbrojeni uciekamy z obozu. Inny wariant polegał na tym, że się uzbroimy i wtedy będziemy pertraktować z dowództwem obozu, żeby nas wypuścili bez walki, bo w wypadku wkroczenia wojsk niemieckich do obozu, groziłaby nam wszystkim śmierć. Nasze plany jakimś kanałami dotarły do rządu Vichy, do pisma *Gregoire*, które zaczęło kampanię przeciwko byłym ochotnikom z Hiszpanii, w wyniku czego rzucono nas do obozu karnego na Saharę, u stóp gór Atlasu.

(Bożena) *Mało kto o tym wie teraz we Francji. Mało kto wie, że we Francji istniały obozy.*

W obozie w Dżelfie siedzieli francuscy komuniści, których przed naszym przyjazdem ewakuowano gdzieś indziej. Na pustyni rozstawione były namioty. Było tam bardzo ciężko. Jesienią i zimą – śnieg na dworze, potwornie zimno z jednym marnym kocykiem w namiocie. Wszyscy chorowali na zapalenie pęcherza. *Gardien, je veux pisser* – rozlegało się ciągle po nocy. *Vvaa zzyy* (yydźcie,... yyydźcie...) – odpowiadali z arabskim akcentem, kiedy wreszcie zrozumieli o co nam chodzi. *Vvaa, zzyy, vvaa zzyy*.

Dżelfa. Był to kiedyś ośrodek Legii Cudzoziemskiej, Ford Cafarelli z kazamatami. Jak chciano nas ukarać, to wrzucano do karceru w kazamatach. Żyło się tam o wodzie na betonowej pryczy. Wielu z nas było karanych, ja też raz wpadłem i dostałem 48 godzin aresztu. Jeszcze mi się pejcem po twarzy dostało. Złapał mnie sam komendant obozu, major francuskiej armii kolonialnej, na kradzieży suchej trawy, z której musieliśmy wypłacać koszyki. Kradliśmy trawę, bo na jej ogniu gotowaliśmy łamaną pszenicę z daktylami, też gdzieś kradzionymi przez grupy wychodzące z obozu do pracy. Tę strawę nazywaliśmy *couscous*. To był ciężki i długi obóz. O kształceniu się nie było mowy. Brali nas na roboty poza obozem, w obozie pletliśmy kosze, robiliśmy zabawki, nie wiem dla jakich dzieci. Byliśmy tam od grudnia czterdziestego pierwszego roku do maja czterdziestego trzeciego. Głód był duży. Gdyby nie pomoc z zewnątrz, pewno byśmy tam z głodu poumierali. Przychodziły paczki od rodzin i przyjaciół. Mnie paczki przysyłał z Paryża szwagier mojej siostry, Marc Rosenfeld. Wszystko oczywiście było do podziału. Nadchodziły też paczki bezimienne od charytatywnej organizacji amerykańskiej, na czele której stał Field. Jeden z tych braci Fieldów, których oskarżono o szpiegostwo i za czasów stalinowskich wpakowano do więzienia. Jednego na Węgrzech, drugiego w Polsce.

Wojska brytyjskie wylądowały w północnej Afryce w listopadzie czterdziestego drugiego roku. W obozie entuzjazm był ogromny. Wydawało się, że to już koniec tego naszego więzienia i że zaraz wyjdziemy na wolność. Ale o zwolnieniu nas nie było mowy. Wysoki komisarz francuski północnej Afryki, Darlan, zasłużony niemiecki kolaborant, prawa ręka

Pétaina, rządził się tam tak jak rządził za czasów rządu Vichy w południowej Francji. Nie liczył się zupełnie z Aliantami.

A Aliantom jakoś zupełnie się nie spieszyło z wypuszczeniem nas z obozu. Po pewnym czasie przyjechała do nas delegacja brytyjska. Rozdali nam po jednej pomarańczy i powiedzieli, że nam bardzo współczują. Zaznajomili się z sytuacją, ale nie było mowy o zwolnieniu nas. Powiedzieli też, że jesteśmy na terenach, którymi rządzi Darlan. Wobec tego nic dla nas zrobić nie mogą! Było to jeszcze o tyle skandaliczne, że wśród nas była duża grupa Rosjan, czy innych obywateli Związku Sowieckiego, który przecież był w sojuszu z Aliantami. Także byli tam Hiszpanie wzięci poprzednio do niewoli przez Niemców. No, skandaliczne! Przez Gaullistów udało nam się przesłać do Anglii memoriał w tej sprawie, który przez jakiegoś posła z Labour Party został odczytany w Izbie Gmin. Był apel do rządu brytyjskiego o wypuszczenie nas z obozu. Jak nas później poinformowano, wywołało to w Izbie Gmin zażartą dyskusję, ale nic z tego nie wynikło. Nas nie wypuszczono, tyle tylko, że wywalczyliśmy lepsze nieco warunki. Już nie było takiego głodu, nie był karceru, swobodniej poruszaliśmy się.

Jak się nie udało pomoc Anglików – zaczęliśmy szukać dotarcia do Moskwy. Dowiedzieliśmy się o powstaniu Związku Patriotów Polskich. Nazwisko Wandy Wasilewskiej nie było nam obce, bo była znaną działaczką socjalistyczną w przedwojennej Polsce. Napisaliśmy do niej. Działaliśmy więc na prawo i lewo, walczyliśmy o wypuszczenie nas na wolność. Aż tu nagle któregoś rana zobaczyliśmy, że cały obóz otoczony jest przez uzbrojone wyborowe jednostki marokańskiej kawalerii – Spahisów w biało-czerwonych pelerynach i turbalach. Wyglądało to bardzo malowniczo, ale spektakl był mniej zabawny. Zabrali nam miski i łyżki i wywieźli nas wszystkich, cały obóz, do kazamat. To za te wolnościowe wybryki. Po kilku jednak dniach wróciliśmy do obozu. Znowu zaczęliśmy naszą działalność, reżym po trosze łagodniał, ale o wypuszczeniu nas z obozu nie było mowy. To tak trwało od października czterdziestego drugiego do maja czterdziestego trzeciego roku. Czyli Afryka była już od Niemców oswobodzona, a myśmy siedzieli w obozach. Jedna z hańb

Aliantów, o której się nie mówi, ale która powinna być znana.

*(Bożena) Ale kto ją będzie rozpowszechniał?*

W maju przyszła nagle wiadomość: do sztabu wojsk sprzymierzonych Marszałka Montgomeryego, do Kairu, przyjechała wojskowa misja sowiecka. Przysłano do nas dwóch reprezentantów na rozmowy. Jeden z nich to generał Mickiewicz. Był Litwinem. Drugi, Kostalski, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przyjechali do nas z formalnym mandatem zwolnienia z obozu tych wszystkich, którzy chcą wstąpić do Armii Polskiej formującej się na terenach ZSSR. Zaczęliśmy się wszyscy wpisywać na listy, zgłosili się też Węgrzy i sporo Hiszpanów. I dzięki temu zmienił się nasz status, staliśmy się gośćmi amerykańskiej jednostki wojskowej stacjonującej w Algierze.

Przede wszystkim ubrali nas. Dostaliśmy amerykańskie mundury wojskowe, a skarpety wełniane mam do dzisiaj. Staliśmy się więc niebywale eleganccy i czyści. Poza tym nakarmiono nas. Bardzo byliśmy wygłodzeni. Zobaczyłem wtedy jak funkcjonuje amerykańska kuchnia wojskowa. Kartofli się nie obierało, na specjalnej taśmie podjeżdżały puszki, maszyna je otwierała i obrane kartofle wpadały do kotła. Wtedy robiło to wrażenie. Ogromnie sympatycznie się nami wszystkimi zajęli, a w programie wizyty, którą zorganizowali, pokazali maszyny oraz stanowiska artyleryjskie i czołgowe. Każdy czołg i każda armata miała swoje imię. Ku naszemu zdziwieniu były to imiona rosyjskie: „Rokossowski”, „Żukow” i inne nazwiska dowódców armii czerwonej i nazwy zwycięskich bitew: „Stalingrad”, „Kowel” itd. Taki panował wtedy mir bohaterstwa żołnierza sowieckiego w amerykańskiej armii, którą trudno pojąć o indoktrynację komunistyczną.

*(Bożena) No rzeczywiście trudno. Kto dzisiaj w Polsce w to uwierzy?*

Gienek Szyr był w dobrych stosunkach z generałem Mic-

kiewiczusem i na jego polecenie poprosił mnie, żebym się skontaktował z miejscowym pastorem i rabinem Algieru. Miałem się dowiedzieć, co ci panowie myślą o ZSSR. Pastor przyjął mnie grzecznie, ale niczego się od niego nie dowiedziałem. Rabin natomiast przyjął mnie entuzjastycznie i powiedział, że za to, że uratowały się miliony Żydów od niemieckiej zagłady – za to nie mamy żadnej zapłaty, a on, rabin, gotów jest oddać swoje życie. Co się potem z nim stało – nie wiem.

Powodziło nam się znakomicie. Na naszą cześć zorganizowano koncert, na którym i my wystąpiliśmy. Śpiewaliśmy w chórze a największym powodzeniem cieszyły się rosyjskie piosenki, których nauczyliśmy się od wojennych jeńców przyprawdzonych do naszego obozu w Dżelfie. Któregoś dnia odbyła się akademie dla żołnierzy i oficerów. Dostaliśmy na nią kilka biletów. Przemawiał de Gaulle. Nie był on specjalnie lubiany przez Aliantów, nawet nie był komisarzem tego terytorium. Mówił oczywiście o bohaterstwie żołnierzy alianckich, ale także wspominał o nas, o międzynarodowcach z Hiszpanii. Na zakończenie tego wieczoru wystąpiła Josephine Backer. Co za wieczór. Oszaleliśmy z zachwytu.

Gościnną jednostkę przyszło nam opuścić. W porcie w Tunezji czekał na nas okręt brytyjski. Mieliśmy nim płynąć do Aleksandrii. Brytyjczycy wpakowali nas wszystkich, a było nas kilkuset, na dolny pokład. Spaliśmy pokotem na deskach pokładu, a w kabinach spali włoscy i niemieccy oficerowie, którzy byli jeńcami wojennymi. Nam rozdano łyżki i menażki i jedliśmy zupę z kotła. Zaś ci włoscy i niemieccy jeńcy wojenni, jedli w messie oficerskiej. Wśród nas było również wielu oficerów, tylko że oficerów hiszpańskiej armii republikańskiej. Jak widać, brytyjski „oficerski *savoir vivre*” dotyczył jedynie jeńców wrogich armii.

Okręt płynął bardzo zakamuflowany, bo na Krecie byli jeszcze Niemcy. Marynarze brytyjscy rozdali nam wszystkim kamizelki ratownicze, na wypadek gdyby nas Niemcy storpedowali i trzeba było skakać do oceanu. Było to ostrzeżenie dość dramatyczne, bo pływanie nie było moją najsilniejszą stroną. Na domiar złego rozdano nam jeszcze torebki z proszkiem na rekiny i powiedziano, że gdy w morzu zobaczymy podpływającego rekina, trzeba natychmiast wysypać proszek,

którego rekiny bardzo nie lubią. Niemcy szczęśliwie nas nie wykryli, skakać nie musieliśmy i do Aleksandrii dopłynęliśmy bez problemów. Przeolbrzymi port w Aleksandrii zrobił wielkie wrażenie. Ale długo nie było nam dane go oglądać, zdążyłem tylko zauważyć słynną latarnię morską, bo zaraz nas wyładowano z okrętu i z portu na dworzec kolejowy przeszliśmy przez całe miasto, wiwatowani przez mieszkańców. Całe oddziały przeprowadzono przez miasto.

*(Bożena) To prawie tak jak Mojżesz, który wyprowadzał Żydów z Egiptu. Tylko że Mojżesz szedł przez pustynię i nie miał takiego aplauzu.*

No prawie tak samo jak Mojżesz, bo dotarliśmy do Hajfy. Tam odnalazły mnie moje dwie siostry, których nie widziałem dwadzieścia lat. Długo przed wojną wyjechały z Tarnopola. Dzięki temu nie zostały zamordowane w getcie, w Tarnopolu, jak to się stało z najstarszym bratem i ojcem.

Przez pustynię jechaliśmy ciężarówkami, a szoferami byli żołnierze armii brytyjskiej, brodaci Sikhowie w turbanach. Droga była wyboista, pustynia miejscami ciemnoszara, miejscami prawie różowa. Bezkresna. Słońce prażyło i bardzo chciało się pić. Dostaliśmy worki z wodą. Kazano nam je wywieszać na zewnątrz ciężarówek, na słońce. Na skutek parowania woda się oziębiała i była zdatna do picia. Rozbiliśmy obozowisko w oazie i dostaliśmy wełniane koce, pod którymi się spało. W okolicy była plaga skorpionów i należało uważać, żeby się spod koca w nocy nie wysunąć. W nocy rozległ się potworny krzyk. Na szczęście byli między nami lekarze. Leon Samet przeciął choremu skórę i wyssał zakażoną krew.

W następnym obozie było tak piekielnie gorąco, że przy wejściu stała beczka z wodą, a w niej siedział zanurzony po szyję oficer brytyjski w tropikalnym hełmie na głowie. Przez beczkę przerzucona była deska, która służyła mu za biurko. W obozie służbę sprawowali Beduini. Nosili turbany i czarne, grube sukmany. Jak oni znosili to gorąco, jeden Pan Bóg raczy wiedzieć.

Między Tygrysem a Eufratem, gdzieśmy się kolejno zatrzymali, rozbite były małe namioty z gęstej bardzo siatki,

pod którymi spaliśmy. Siatka chroniła nas przed rojem kłębujących się much, których ukąszenie powodowało śpiączkę. Ale to już było niedaleko Persji.

W Persji stały wojska brytyjskie i sowieckie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem żołnierza sowieckiego. Zrobiło to na każdym z nas wrażenie. Zobaczyliśmy żołnierza, który wygrał wojnę...

*(Bożena) A wyście nie mieli takiego wrażenia, że Alianci także wygrywają wojnę?*

Wojnę w dziewięćdziesięciu procentach wygrał ZSSR. Stalingrad był punktem zwrotnym w tej wojnie. To jasne dla wszystkich. Wkład Armii Czerwonej w zwycięstwo nad Hitlerem był ogromny. Jakim to było kosztem – to już inna sprawa.

Do Teheranu dojechaliśmy pociągiem, który całymi godzinami piął się pod ogromną górę. Widok był oszałamiający. Przepiękny to był kraj. Na jakimś postoju spotkaliśmy jednostki Armii Andersa, które właśnie wyjeżdżały z Rosji. Rozmawialiśmy ze sobą. Jedni drugim się dziwili. Oni nas nie rozumieli, my – ich. My tam, oni stamtąd. To taki los Polaków i taka nasza historia. Z kolei był postój w jednostce rosyjskiej. Wyborny obiad w messie oficerskiej z oficerami o wykwinnych manierach. Jak się potem okazało – ćwiczonych odpowiednio przed służbą w Persji. No i dotarliśmy do portu w Krasnowodzku.

## LENINO

Pierwsze wrażenie, to grupa dziewczyn, „regulirowszczyc” – oczekujących na nas na przystani. Z jakim wdziękiem oddawały nam honory! Było to czarujące. Przecież byliśmy wszyscy młodzi i przez cztery lata obozów nie widzieliśmy kobiet...

Drugie wrażenie... Drugie wrażenie, to przywitanie przez Rosjan ich ziemi. Było ich kilkudziesięciu. Brali udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Opuścili nasz okręt ostatni.

Wyszli na brzeg, rzucili się na kolana i całowali ziemię. Był to widok niezwykły. Oni sami, albo może jeszcze ich rodzice, opuścili kiedyś ten kraj. Drogą przez Hiszpanię wracali do swojej *ziemi*. Wstali z klęczek zapłakani, szczęśliwi. Byli u siebie. To nie byli starzy ludzie, tacy w naszym wieku, może trochę starsi. I jak stali razem w grupie podszedł do nich oficer w czapce z zielonym otokiem. Zabrał ich wszystkich na oczekujące ich ciężarówki. Może niejeden z nas myślał: ci to mają szczęście – jadą do domu... Ale oni nie do domu jechali. Wywieziono ich do łagrów. Jeden z nich jakoś cudem przeżył. W końcu lat pięćdziesiątych niespodziewanie otrzymałem list z Kiszyjniowa na adres: Julek Hibner, Dąbrowszczacy, Warszawa. Napisał do mnie: „Ja przeżyłem ale od innych naszych, wiadomości się nie spodziewaj...”

Wtedy na tej przystani w Krasnowodzkku nie zdawaliśmy sobie sprawy z grozy sytuacji. Ale wtedy nie znaleźmy Związku Sowieckiego.

Jedyna fabryka w Krasnowodzkku była fabryką wody pitnej, przetwarzanej z wody morskiej. Ogólnie było tam bardzo ponuro. Biednie i ponuro. Skoszarowano nas w miejscowej szkole i po kolei wzywano na komisję wojskową. Szefem tej komisji był podpułkownik, skośnooki Kozak – o dziwo, dobrze mówiący po niemiecku. Zapytał co robiłem przed wyjazdem do Hiszpanii. Powiedziałem, że byłem studentem.

– A działalność polityczna? – zapytał.

– Byłem członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej.

– Pisz – powiedział do żołnierza sporządzającego protokół – należał do organizacji kontrrewolucyjnej.

Zatkało mnie, ale nic nie powiedziałem, chciałem być zakwalifikowany do wojska i niepotrzebną dyskusją mogłem tylko sobie zaszkodzić. Czym się kierował, tego do dziś nie rozumiem. Ale z wielu nas, którzy stawili się przed tą komisją, tylko kilku zostało zakwalifikowanych do wojska. Prócz mnie, pamiętam, że był Janek Dankowski, Józek Altman i jeszcze jeden, ale w tej chwili nazwisko mi uciekło z pamięci.

*(Bożena) A ci wszyscy inni twoi przyjaciele: Heniek*



*Toruńczyk, Mietek Schleyen, Duwcio Kraus, Leon Samet?...*

Oni wszyscy na razie zostali. Tak zdecydował ten pułkownik NKWD. Nawet nie chodziło o sprawność fizyczną, bo nie było żadnej komisji lekarskiej. Nas zapakowano do pociągu i wysłano do Sielc, do obozu formującej się Pierwszej Dywizji Wojska Polskiego.

Jest więc koniec sierpnia 1943 roku, jestem już w Dywizji i dostaję rozkaz, że mam być zastępcą dowódcy pułku do spraw politycznych. Nie bardzo mi to odpowiadało, przecież w Hiszpanii byłem oficerem liniowym, ale rozkaz, to rozkaz.

Dowódcą pułku był sowiecki oficer Dec, mówiący zresztą niezłe po polsku. Pijak to był straszliwy, despota nieprawdopodobny. Ja naiwnie myślałem, że stosunki między dowódcą a jego zastępcą będą takie, jakie znałem z Hiszpanii. Ale gdzie tam! On mnie ignorował, o niczym mnie nie informował, a zresztą prawie w ogóle ze mną nie rozmawiał. Ja robiłem to, co uważałem za stosowne, zgodnie z instrukcjami, które dostawałem od zastępcy dowódcy dywizji, którym był Sokorski. Wtedy robił na mnie sympatyczne wrażenie; był inteligentny, dowcipny, elokwentny.

Oficerowie i żołnierze Dywizji, Polacy, w wielu przypadkach byli to ludzie zwolnieni z łagrów. Podstawowym tematem naszych dyskusji i rozmów była Polska. Jaka ona będzie. Miała to być Polska demokratyczna, wielopartyjna. Wolna, demokratyczna Rzeczpospolita. Niezależna, ale w sojuszu z ZSSR. Takie były tezy moich pogadanek. Wiedziałem z doświadczenia co miało oznaczać państwo demokratyczne. Taka była Hiszpania. I taki obraz dawałem przyszłej Polsce. Taki obraz przekazywałem innym oficerom pułku, zastępcom dowódcy batalionów, kompanii. Bardzo wielu mi niedowierzało, ale ja w to naprawdę wtedy wierzyłem.

*(Bożena) A czy nie dochodziły do ciebie wieści, co się naprawdę działo w Związku Sowieckim?*

Prawdę mówiąc w owym czasie nie bardzo wiedziałem,

co się tam działo. Łagry, terror, głód. Byłem świeżo po obozach. A nasi podwładni... niejedno wiedzieli i widzieli – trzymali wodę w ustach... Milcząco słuchali naszych pogadanek.

Równocześnie przebiegało szkolenie wojskowe. To było oczywiście podstawowe zadanie. Dec był chamem i despotą, ale na wojsku się znał i szkolenie prowadził bardzo dobrze. Zresztą zapał żołnierzy do walki z Niemcami był przeogromny. Szkolili się wzorowo. Dla tych setek zesłańców była to przecież droga do Polski, przez front, poprzez walkę z Niemcami.

Jest już właśnie jesień 1943 roku i pułk wyrusza na front. Nie wiemy na razie dokąd, wiemy tylko, że mamy być załadowani do pociągu do Wiaźmi. Szło się po piaszczystej, trudnej drodze. Jako zastępca dowódcy pułku miałem konia. Ale z konia zszedłem i szedłem razem z żołnierzami. Droga była niełatwa i szliśmy na pierwszy bój. Nagle zauważyłem Świerczewskiego w nadjeżdżającym willisie.

*(Bożena) Znałeś go z Hiszpanii?*

W Hiszpanii go nie znałem. Ja byłem prostym szeregowcem w batalionie hiszpańskim, potem dopiero dosłużyłem się kaprała, sierżanta i oficerskich szlifów. A Świerczewski był wielkim dowódcą, dowódcą Dywizji Międzynarodowej. Spotkałem go po raz pierwszy w Sielcach, w sztabie formującej się I Dywizji. Powiedziano mu, że jestem z Brygad z Hiszpanii.

Szedłem więc razem z żołnierzami po tej niełatwej drodze na front i nagle zobaczyłem Świerczewskiego w nadjeżdżającym otwartym willisie. Rozglądał się, kogoś szukał. Początkowo nie wiedziałem kogo. Rozglądał się na prawo, na lewo, najwyraźniej kogoś szukał. Dojechał do pierwszej naszej linii, do czoła kolumny. Wyskoczył z willisa i zaczął iść koło mnie. Nie wiem jak długo, pięć, dziesięć minut. Bez słowa. Nagle stanął, objął mnie, pocałował, odwrócił się i wskoczył do swego wozu. On był generałem, ja byłem skromnym kapitanem. To było coś bardzo ludzkiego...

Załadowaliśmy się do pociągu, przeczekaaliśmy do nocy, aby za dnia nie włączyć w oczy zwiadowczym myśliwcom

i ruszyliśmy w stronę Lenino. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy, chyba niezbyt długo i wyładowaliśmy się jakieś dwa kilometry od miejsca natarcia. Mieliśmy na tym odcinku złuzować jednostkę sowiecką.

Dowódca pułku, Dec, zrobił odprawę, każdy batalion dostał bardzo szczegółową instrukcję, jaką idzie drogą, jaki odcinek obejmuje i jaki jest plan natarcia. Niemcy w jakiś sposób się dowiedzieli, że wojsko polskie objęło ten odcinek frontu, bo przez megafony zaczęli po polsku wzywać do dezercji. Mówili w znanym hitlerowskim stylu, żeby zerwać z żydokomuną i przejść na stronę Niemców. Z całego naszego wojska mało kto zwracał na to uwagę. Panował bezsprzecznie wielki duch bojowy i chęć walki z Niemcami, a nie chęć przejścia na stronę Niemców. Jednak znalazł się jeden...

Wieczorem przyszedł rozkaz, że ruszamy do ataku. Taktyka boju w Armii Czerwonej – chyba trwało to aż do końca wojny – polegała na tym, że przed głównym atakiem wydzielona jednostka udawała natarcie. Naprawdę ona atakowała, ale nie był to atak głównych sił. Nazywało się to „zwiad bojem”. Celem tego było wykrycie środków ogniowych nieprzyjaciela. Artyleria się włączała potem, kiedy gniazda były jednoznacznie wytyczone i główne siły ruszały do ataku. Była to taktyka, według mnie iluzoryczna i w pewnym sensie barbarzyńska. Wiadomo było, że jednostka wytypowana do zwiadu bojem będzie miała straszliwe straty. Szło się prawie bez przygotowania artyleryjskiego i szło się wprost na armaty, wprost na CKM-y. Pod Lenino jednostką, która została wyznaczona do zwiadu bojem był 1-szy batalion. Miał on wyruszyć o świcie. Razem z księdzem kapelanem Kupszem.

Żołnierze mieli otrzymać śniadanie o 5-ej rano. Był rozkaz, żeby to śniadanie nie było zbyt obfite, aby w wypadku rania w brzuch – nie było straszliwych komplikacji. Wyzaczyłem dyżurnych przy każdej kuchni, żeby to kontrolowali, a sam chodziłem od jednej kuchni do drugiej, żeby sprawdzić, jak to się odbywa. Przyszedłem do kuchni 2-go batalionu i tam pełnił służbę zastępca dowódcy batalionu, niejaki kapitan Bancercz. Znałem go. Był ludowcem, ale takim lipnym ludowcem, bo właściwie był z KZM-u. To, co zobaczyłem wprawiło mnie w osłupienie. Ni mniej, ni więcej

zobaczyłem, że Bancercz siedzi nad czubatym talerzem zupy z olbrzymią ilością mięsa i żre! To znaczy żre to, co miałoby zjeść dwóch, albo trzech żołnierzy. Jasna krew mnie załała, zwymyślałem go od świń, kazałem mu natychmiast opuścić kuchnię i pójść do jednostki. Powiedziałem, że konsekwencje za ten niecny czyn wyciągnięte będą później. Teraz ma iść do swojego batalionu, jesteśmy przed bitwą. Potem zrobiło mi się go nawet trochę żal, bo zrozumiałem, że on żarł ze strachu. Później już straciłem go z oczu i o sprawie nie pamiętałem.

Pierwszy batalion ruszył do boju i po pewnym czasie razem z Kupszem poszliśmy na stanowiska głównych sił, bo właśnie wtedy miały one uderzyć do zasadniczego ataku. Przyszedłem do sztabu pułku na parę minut przed ruszeniem do ataku. Ku memu zdumieniu nie było w sztabie dowódcy. Pytam dookoła oficerów, gdzie jest Dec? Nikt nie wie! Niezła historia. Pułk rusza do ataku, a nie wiadomo gdzie jest dowódca. Znowu pytam, gdzie jest dowódca i wtedy jakiś młody oficer mi mówi: ja go gdzieś widziałem, leży pijany. Istna zgroza! Pułk rusza do ataku, a dowódca leży gdzieś pijany. Na szukanie nie było czasu, wobec tego razem z kapitanem Wysockim, zastępcą dowódcy do spraw liniowych, objęliśmy dowodzenie ataku.

Pułk atakował na odcinku dwustu-trzystu metrów. Na prawym flanku był kapitan Wysocki, ja byłem po lewej stronie. Początek ataku jest bardzo prosty, zawsze tak jest. Nie trzeba się zrywać i biec pod ogniem nieprzyjaciela, bo istnieje tak zwany wał ogniowy. Artyleria ostrzeliwuje stanowiska nieprzyjaciela i wszystko, co jest przed nimi. Wojsko nacierające idzie z bronią w pogotowiu, starając się dotrzeć jak najbliżej wybuchających pocisków swojej artylerii. Wał ogniowy się przesuwa i nacierające oddziały za nim. To, co potem w książkach opisywano, że wojsko szło „jak na paradę” – nie było żadnym wyczynem z naszej strony. Tak się idzie na tym etapie walki. W tym czasie nieprzyjaciel nie strzela, trzeba się tylko podciągnąć jak najbliżej wybuchających naszych pocisków, co jest niebezpieczne, bo lecą odłamki. No i tak żeśmy nacierali, oficerowie, żołnierze, no i ja.

Tu mała dygresja. Ten, który napisał książkę o bitwie

pod Lenino – jak mu tam – Alojzy Sroga – napisał, że ja wpadłem do okopów i krzyczałem do żołnierzy: „naprzód, kurwa wasza mać”, bo nic innego nie miał do powiedzenia polskiemu żołnierzowi – oprócz tego, że była to bezczelność i łajdactwo, ale też brak ewidentnej znajomości sztuki wojennej. Nikogo nie trzeba namawiać. Był rozkaz ataku. Był wyznaczony czas ataku. Żołnierze z bagnetami do przodu szli do boju. „...nic innego nie miał do powiedzenia polskiemu żołnierzowi!”

*(Bożena) Widać z tego, że ten Sroga nie tylko nie znał się na sztuce wojennej, ale mało o tobie wiedział. Bo „kurwa twoja mać” – to w ogóle nie twój styl...*

Chciałem Srodze wytoczyć proces. Przyjaciele mocno mnie do tego namawiali. Znany adwokat podjął się obrony, zebrał kupę świadków i był pewny wygranej. Jednak na parę dni przed oznaczoną rozprawą, a było to w latach 70-tych, zadzwonił do mnie i powiedział, że z procesu musimy zrezygnować. Właśnie książka otrzymała nagrodę ministra obrony narodowej. W tej sytuacji moje szanse wygrania sprawy stały się znikome.

Więc idziemy i dotarliśmy do pierwszych okopów niemieckich. Tam stoczyliśmy walkę. Niewielu zostało Niemców żywych, trochę było rannych, reszta uciekła. Zatem pierwsze okopy zdobyto się bez większego problemu. Artyleria się posuwała, my za wałem ognia. Robiło się już trudniej. Niemcy strzelali, trzeba się było czołgać. Czołgać i wyskakiwać. Ile to trwało? Nie pamiętam. Godzinę, półtorej. I nagle zauważyłem, że z lewej strony, w odległości paru kilometrów, nadciąga kolumna niemieckich czołgów „Ferdynandów”. Powstała krytyczna sytuacja. Myśmy byli na wznoszącym się stoku wzgórza. Nie sposób się było okopywać. Czołgi nadciągające z góry zmiotłyby nas co do jednego. Trzeba było zdobyć wzgórze, okopać się i dopiero wtedy przeciwstawić się czołgom. To było w danej chwili zadanie podstawowe. Porozumieliśmy się z Wysockim. Na migi. Doskonale ześmy się rozumieli. Poszliśmy naprzód. Powoli skacząc z jednego miejsca na drugie, szliśmy do ataku. Kilku żołnierzy się

zawahało. Był to ich pierwszy bój, a sytuacja wyglądała groźnie. Ale szliśmy naprzód. I nagle zobaczyłem, dziesięć metrów ode mnie siedzi sobie spokojnie w okopie inny Wysocki, porucznik Wysocki. Podeszedłem do niego z podniesionym pistoletem i krzyknąłem: ruszaj natychmiast do swojego plutonu. Więc oczywiście wstał, gdzieś pobiegł i tyle go widzieliśmy. Jak się potem okazało, to był ten, który potem przeszedł na stronę niemiecką. Potem mówił przez radio i wzywał żołnierzy do dezercji.

Zdobyliśmy wzgórze i zaczęliśmy się okopywać. Wtedy zdarzyło się wielkie nieszczęście z kapitanem Wysockim. Trafiony został kulą i zabity na miejscu. I ja zostałem jako jedyny dowódca na tym odcinku. Na mnie leżała ta olbrzymia odpowiedzialność, żeby odbić atak czołgów. Najważniejszą bronią były rusznice przeciwczołgowe. Są to takie długie lufy z głowicami, obsługiwane przez specjalnych strzelców. Strzelanina była duża. Okopaliśmy się i czekamy na nadjeżdżających Ferdynandów. Za czołgami szła niemiecka piechota. W tym momencie zasadniczą sprawą były rusznice przeciwpancerne. Skakałem więc z jednego okopu do drugiego, żeby skontrolować ich pozycje. Przy jednym z takich skoków, skoczyłem wtedy na lewo, zostałem trafiony. Czułem, że jestem ranny, ale nic mnie nie bolało, nawet to zlekceważyłem.

Czołgi już były blisko, czułem się na tyle dobrze, że dalej dowodziłem i w pewnym momencie, kiedy czołg już był bardzo blisko, sam wzięłem od kaprała rusznicę i zacząłem strzelać. Trudno powiedzieć, kto trafił w nadchodzący czołg. Fakt, że się zapalił. Entuzjazm był ogromny. Inne czołgi się zatrzymały, Niemcy się jakby zachwiali i do nadchodzącej piechoty zaczęliśmy strzelać z karabinów maszynowych. Atak został odparty.

Wtedy wysłałem żołnierza z meldunkiem do zastępcy dowódcy dywizji, Kieniewicza. Bo bitwą pod Lenino dowodził pułkownik Bolesław Kieniewicz. Fenomenalny oficer, odważny, znający sztukę wojenną. On tylko „łaciną” wszystkich okładał. Z mieszanką polsko-rosyjską. Ale nikt mu tego nie miał za złe.

Kiedy już wysłałem meldunek do Kieniewicza, że atak

został odparty, poczułem, że się coś bardzo dziwnego dzieje. Przestałem się czegokolwiek bać. Nadleciało lotnictwo, zaczęło nas bombardować. Patrzyłem jak bomby spadają – ja już to nie po raz pierwszy widziałem. Widziałem to także w Hiszpanii. Ale jak bomby lecą, to przecież bierze strach. A teraz przypatrywałem się temu z absolutną obojętnością. Jak mi to później lekarze powiedzieli – jest to znany stan przy dużym upływie krwi. Byłem jednak przytomny i nadal dowodziłem. Sanitariusze chcieli mnie ewakuować, był przy tym porucznik Henryk Rożański, podówczas młody oficer, starszy adiutant jednego z batalionów naszego pułku, opisał to w swojej książce. Dla doświadczonego oficera, jeszcze z doświadczeniem hiszpańskim, było nie do pomyślenia, żeby w takim momencie opuścić jednostkę.

Powoli zapadał zmrok, a ja traciłem przytomność. W którym momencie całkowicie straciłem przytomność, tego nie pamiętam. Wiem tylko, że o zmroku oddziały armii czerwonej nas zluzowały, mieliśmy ogromne straty. I pamiętam, że sanitariusze nieśli mnie na kocu, a jednym z nich był Henryk Holland. Na tym mój film się urywa. Co było potem dowiedziałem się następnego dnia od lekarza, który mnie operował. Było dużo strat. Leżałem nieprzytomny na pobojowisku wśród zabitych. Uratowały mnie dwa tresowane wilczury, które potrafiły wytropić rannych wśród trupów. Ich przewodnicy, sowieccy żołnierze, przenieśli mnie do szpitala. Gdy mi powiedziano, że uratowały mnie psy, chciałem koniecznie je zobaczyć. Przeprowadzono mi je w szpitalu do łóżka. Dwa potężne wilczury.

Ranę miałem dużą, ale szczęśliwie kości całe. Lekarz powiedział, że parę tygodni muszę pozostać w szpitalu. Był to szpital na tyłach frontu. Leżeliśmy wszyscy w dużej jednej sali, a lekarz, który mną się opiekował był wielce sympatyczny i jakby wyjęty ze sztuki Czechowa. Był to pan z dużym brzuszkiem, miał bródkę, nosił binokle. Trzeciego dnia podszedł do mojego łóżka z gazetą w rękę i pyta czy to ja jestem Giubner. Mówię: nie, ja jestem Hibner. No to wyszedł. Potem przyszedł nazajutrz i znów mówi: Wy jednak Giubner. Giubner, to może po rosyjsku. Po polsku Hibner.

– A wasze imię?

- Juliusz.
- Juliusz, to charaszo. A imię ojca?
- Szymon.
- Szymon, to płocho
- A dlaczego płocho?

Bo jak by był Siemonowicz, to bym miał dla was dobrą nowinę... Podrapał się w tą swoją bródkę, spojrzął na mnie z niedowierzaniem i wyszedł. Ale potem znów wrócił z tą gazetą w rękę. Ktoś go widocznie uświadomił, że Siemonowicz i Szymon, to jedno i to samo. Oświadczył mi, że zostałem udekorowany Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego, wobec tego mam specjalne prawa. Przeniesiono mnie do separatki, a na stoliku przy łóżku postawiono mi ni mniej, ni więcej – butelkę autentycznego likieru Chartreuse.

To mi się po prostu nie mieściło w głowie. Spać nie mogłem, nie mogłem się z tym oswoić, do tego przyzwycząić. Rana bolała mnie cholernie, a byłem w jakiejś euforii. Całe życie, jak film, przechodziło przed moimi oczyma.

Pozostałem dość długo w szpitalu. Dwa miesiące. W dywizji nic o mnie nie wiedzieli. Sądono, że zostawiono mnie martwego na polu pod Lenino. Jeszcze na dodatek polska dywizja została wycofana na inny odcinek. I ponieważ słuch o mnie zaginął, Mietek Schleyen napisał nekrolog, bardzo zresztą wzruszający. Ten nekrolog dotarł do moich sióstr. Więc dla nich też umarłem. Zginąłem też dla brata Józka, który był jeszcze w Uzbekistanie. Ale ja żyłem. Ze szpitala zwolniono mnie 13 grudnia. Wsadzono na ciężarówkę i wysłano do polskiej dywizji.

*(Bożena) Tam cię chyba przyjęto entuzjastycznie...*

Tak, bardzo serdecznie mnie tam przyjęto. Zdziwiłem się tylko, że wśród witających nie było mego przyjaciela Lucka Szenwalda. Potem się zjawił i jak przystało na poetę, na mój widok się rozplakał. Potem tak koszmarnie zginął. Cysterna przywalała willisa, którym jechał.

Trochę jeszcze kulałem ale coraz bardziej stawałem się fizycznie sprawny. Zaproponowano mi, żebym został zastępcą



dowódcy dywizji. Była to dla mnie kłopotliwa propozycja, bo moim podwładnym miał być wtedy Ochab. Słyszałem o nim i miałem o nim duże mniemanie. Nominacji nie przyjąłem.

*(Bożena) Dowódcą Pierwszej Dywizji Kościuszkowskiej był Zygmunt Berling. W ogóle o nim nie mówisz. W Polsce w czasie okupacji nazywaliśmy was wszystkich „berlingowcami”. A w jaki sposób stał się on dowódcą?*

O tym w jaki sposób stał się Berling dowódcą Pierwszej Dywizji opowiedziała mi już po wojnie Janka Broniewska. Chyba było to źródło miarodajne, bo Janka była bliską przyjaciółką Wandy Wasilewskiej. Wanda sporo wiedziała. Faktycznym wnioskodawcą powstania Dywizji był Alfred Lampe. Z wielu przyczyn, ale także dlatego, że był chorowity, nie był wysuwany na pierwszoplanowe stanowiska. Ale był to jakoby znakomity umysł, twórca programu Polski wielopartyjnej. Wanda Wasilewska przekonana przez Lampego i zapalona do uformowania wojska polskiego, poszła z tą propozycją do Stalina. Stalin się zgodził, ale powiedział, że trzeba znaleźć jakiegoś dowódcę i to Polaka. Miał jakoby powiedzieć: innych oficerów to my wam damy, ale dowódcą musi być Polak.

*(Bożena) Tak powiedział Stalin?*

Tak powiedział Stalin. Na to Wanda, że trzeba by znaleźć odpowiedniego kandydata. *Podaj* – powiedział Stalin i podszedł do telefonu.

– Słuchaj Ławrenty Pawłowiczu (tak było Berii) – jest u mnie Wanda Lwowna i proponuje stworzenie polskiego wojska. Uważam, że to dobra myśl, tylko nie mamy dowódcy. Możesz coś poradzić? Czy masz na oku jakiegoś *podchadziaszczego czelowieka*? Nastąpiła cisza, potem odłożył słuchawkę i powiedział Wandzie – przyjdź jutro o 10-ej. Będziesz miała dowódcę.

Nazajutrz o 10-ej w sekretariacie Stalina siedział wychudzony osobnik. Słyszając, że Wanda z Lampem mówią po polsku, włączył się do rozmowy. Przedstawił się, że jest oficerem wojska polskiego, był w Armii Andersa, ale z Ander-

sem nie wyjechał. Został wezwany na Kreml ale nie wie w jakim celu.

Otwierają się drzwi, wchodzi Stalin i mówi: *Wot przedstawiam wam dowódcę. Pułkownik Berling.*

*(Bożena) No więc nominacji na zastępcę dowódcy dywizji nie przyjąłeś i co było potem?*

Na razie pozostawałem w Dywizji, a po pewnym czasie wezwano mnie do Moskwy, aby mi wręczyć te ordery, czyli złotą gwiazdę „gieroja” i order Lenina, bo to szło w parze. Przyjechał po mnie samochód i zawiózł mnie na Kreml. Odznaczenia miał mi wręczyć Kalinin. Po wielokrotnym sprawdzaniu przepustki jacyś oficerowie przeprowadzili mnie przez różne korytarze do sekretariatu Kalinina. Sekretariat, jak sekretariat, biurko, krzesła, portret Stalina oczywiście. Było już tam kilka osób. Obok mnie siedział jakiś starszy człowiek, okropny gaduła. Dowiedziałem się potem, że to znany partyzant z Polesia. Opowiadał, że był także partyzantem w dwudziestym roku, kiedy bił i gnał polskich panów... I nic tylko o tych polskich panach jak od niego w dupę dostawali. Siedzący tam oficerowie sowieccy, przypuszczalnie ze względu na mój polski mundur, wyraźnie byli tym zażenowani i starali się go uspokoić. Ale jak to nie pomogło, poprosili sekretarza Kalinina, żeby wpuścił partyzanta jako pierwszego. Potem mnie wezwano. Kalinin do mnie podszedł. To był stary, chory człowiek. Powiedział parę grzecznościowych słów i podał mi miękko rękę. Zresztą mnie przestrzegano, żebym zbyt jego ręki nie ścisnął. Potem wróciłem do Dywizji.

*(Bożena) I pewno wszyscy się tej złotej gwiazdce przyglądali.*

No tak, przyglądali, bo Świerczewski kazał mi ją nosić, mimo, że noszenie orderów na codzień nie było w zwyczaju polskich oficerów. Myśmy nosili baretki. Jednak Świerczewski bardzo nalegał, żebym gwiazdę przypinał do munduru, bo jak mówił „może się to przydać”. Przydawało się to na ogół jemu,

bo w trudnych frontowych sytuacjach, kiedy szedł na ciężkie rozmowy do różnych sowieckich marszałków, czy generałów, brał mnie ze sobą jako swojego adiutanta. Gwiazda „gieroja” – zawsze na nich robiła wrażenie i jemu ułatwiała rozmowy. Ale to już było potem w Drugiej Armii.

## AKADEMIA FRUNZEGO I INNE PRZYGODY

*(Bożena) Studiowałeś na Wojskowej Akademii im. Frunzego w Moskwie. Było to jeszcze w czasie wojny. Jak to się stało, że znalazłeś się w Akademii Frunzego?*

Jak to się stało? Jest to historia pełna namiętności, miłości, zemsty i krwi.

Było to na początku 1944 roku, kilka miesięcy po bitwie pod Lenino, po szpitalu i powrocie do Dywizji. Zostałem przydzielony do Batalionu Szturmowego, którym dowodził Heniek Toruńczyk, z którym wracałem razem z obozu, z Hiszpanii do Krasnowodzka. Batalion Szturmowy miał na celu przygotowanie oddziałów szturmowo-dywersyjnych i rzucanie ich na tyły niemieckiego frontu. W Batalionie prócz Polaków było kilku Hiszpanów. Jeden nazywał się Garcia (Garcyja w brzmieniu fonetycznym) – był majorem specjalistą od dynamitów. Pochodził z Asturii, był górnikiem i dobrze wiedział, co to jest dynamit i jak się z nim obchodzić. Jego pomocnikiem był Vincente, młody Hiszpan w randze sierżanta. Vincente był absolutnie znakomitym strzelcem. Zupełnie jak kowboj: błyskawicznie wyciągał pistolet, strzelał i zawsze trafiał. Kiedyś, w niedzielę rano, z ręcznikiem pod pachą szedłem do łaźni i ku mojemu zdumieniu i przerażeniu zobaczyłem rozwścieczonego Vincente, który z pistoletem w ręce goni Garcyję krzycząc: *Voy a matarte, voy a matarte* – ja cię zabiję, ja cię zabiję! Nie wiedziałem w czym rzecz, ale znając tego młodego Hiszpana, rozumiałem, że to nie przelewki. Sam wyciągnąłem pistolet i tak z wyciągniętą prawą ręką do przodu zacząłem gonić Vincente krzycząc: *Vincente te staj, te staj!* Stój Vincente, jak zrobisz coś Garcyji, będą strzelał. Wtedy on, długo się nie

zastanawiając, odwrócił się, skierował pistolet na mnie, precyzyjnie wycelował w moją wyciągniętą prawą dłoń, pistolet wypadł mi z ręki. Rękę miałem rozszarpaną. Potem strzelił do Garcyji. Zrobiło się zbiegowisko, dwaj ranni, natychmiast nadjechał ambulans, a Vincente widząc co się dzieje – palnął sobie w łeb. Wobec tego było już trzech rannych. Trzech rannych zawieźli do szpitala. Oni byli w stanie beznadziejnym. Mojemu życiu nic nie groziło, tylko, że rękę miałem rozharataną, cholerny był to ból i duży wpływ krwi. Operowali mi na dodatek rękę na żywo, jako że szpital był polowy i akurat zabrakło środków znieczulających. Zemdlałem i obudziłem się w nocy z ręką na dużej szynie. Z jednej strony leżał Garcyja, a z drugiej Vincente. Obaj rządzili. W pewnej chwili Vincente zobaczył, że się poruszam i powiedział do mnie:

– Hulio, czy możesz coś powiedzieć Garcyji?

– Mogę – powiedziałem.

– Więc mu powiedz, że go przepraszam. A wiesz dlaczego w ogóle to się stało?

– Nie wiem.

– To się stało dlatego, że wczoraj na zabawie Garcyja tańczył z moją dziewczyną i bardzo ją do siebie przytulał. Mój honor został nadszarpięty. Myślałem, że on mi podrywa narzeczoną. Więc musiałem się zemścić. Innego sposobu nie znałem. Więc powiedz Garcyji, że proszę o przebaczenie.

– Garcyja, słyszałeś, co mówił Vincente? – zapytałem.

– Słyszałem.

– Więc czy mu przebaczasz?

– Przebaczam.

– Tak, Garcyja ci przebacza – powiedziałem i zaraz potem opadłem z sił. Straciłem przytomność, a jak się o świcie obudziłem i dalej chciałem z nimi ciągnąć rozmowę, okazało się, że obaj w nocy skonali.

Ręka mi się goiła, ale długo nią dobrze nie władałem. Na front iść nie mogłem. I wtedy mi powiedziano – strzelać nie możesz, ale uczyć się przecież możesz. I posłano mnie na kurs, na Akademię Frunzego do Moskwy.

*(Bożena) A znależ rosyjski?*

Rosyjskiego nie znałem, znałem trochę ukraiński, bo w szkole w Tarnopolu i na politechnice we Lwowie miałem kolegów Ukraińców. Początkowo z rosyjskim miałem trochę kłopotów, myliłem słowa, nie tak się meldowałem, jak się należy, ale jakoś mi to uchodziło. No i uczyłem się. Coraz lepiej mi to szło i z rosyjskim sobie dawałem radę i nawet wśród tych sowieckich oficerów – kolegów z mojego kursu, stałem się prymusem, bo mi studia przed Hiszpanią dawały nad nimi przewagę. Na pierwszego września, na piątą rocznicę wybuchu wojny, szykowała się w wyzwolonym już wtedy Lublinie jakaś uroczystość i defilada wojskowa. Świerczewski mnie na tę uroczystość zaprosił i oczywiście bardzo mi się chciało do Lublina pojechać. Wtajemniczyłem w to kierownika kursu, pułkownika sowieckiego, który mi dał błogosławieństwo na drogę, ale powiedział, że oficjalnego zezwolenia na to nie dostanę.

– Jak chcesz jechać, to jedź, wsiadaj w pierwszy lepszy samolot, który leci do Lublina – tak mi powiedział. W dodatku obiecał, że jak na porannym apelu słuchaczy Akademii wywołają moje nazwisko, to on powie „obecny”.

No więc wszystko wyglądało znakomicie, kłopotów z lotnikami tam i z powrotem nie miałem, byłem w polskim mundurze z dystynkcjami majora i w dodatku litr wódki, który „otwierał” wszystkie drzwi. Na lotnisku w Lublinie oczekiwał mnie adiutant Świerczewskiego, byłem gościem Świerczewskiego, przy jego boku odbierałem defiladę wojskową, mieszkałem u niego w sztabie i tak spędziłem kilka cudownych dni. Gorzej było jak wróciłem do Moskwy. Gdy przyszedłem rano do Akademii zostałem natychmiast zaarrestowany.

Zaczęli mnie przesłuchiwać. Zapytali mnie, czy wiem, że jest wojna?

– Wiem – odpowiedziałem.

Zapytali mnie, czy wiem, że Akademia im. Frunzego jest jednostką wojskową?

– Wiem.

Zapytali mnie, gdzie byłem?

– W Lublinie.

Zapytali mnie, czy wiem, że Lublin leży poza granicami Związku Sowieckiego.

– Wiem.

– Czyli w czasie wojny – powiedzieli – oddaliliście się od swojej jednostki wojskowej i zdezerterowaliście za granicę.

Pomyślałem, że jest to dobry żart. Wprawdzie już byłem wtedy przez kilka miesięcy w Związku Sowieckim, ale tego kraju w ogóle nie znałem, nie wiedziałem jaka groza kryje się za nazwą NKWD. Moje wyobrażenie o Związku Sowieckim było dość naiwne, opierające się raczej na fantazji a nie na znajomości tego kraju. Zupełnie sobie nie zdawałem sprawy, co mi naprawdę wtedy groziło kiedy mnie zaarrestowało NKWD. A groziła mi kara śmierci. Sąd wojskowy miał się odbyć jeszcze tej nocy. Ale wtedy na myśl mi to nawet nie przychodziło.

O wszystkim dowiedziałem się następnego dnia od Mieczysława Mietkowskiego. Znałem go z Hiszpanii, był Dąbrowszczakiem, w Moskwie pracował w Związku Patriotów Polskich. Chciał się ze mną zobaczyć po powrocie z Lublina, ciekawy był jak się odbyły uroczystości, co słychać u Świerczewskiego, no po prostu ciekaw był plotek z Lublina. Dziwił się, że się sam do niego nie odzywam, zadzwonił więc z głupia frant na Akademię, prosząc, żebym się do niego zgłosił. Powiedziano mu, że major Hibner jest nieosiągalny.

Nieosiągalny w Związku Sowieckim... to dla niego zabrzmiało groźnie. Mietkowski dobrze wiedział, co może się kryć za powiedzeniem, że „ktoś jest nieosiągalny”. Mietkowski miał „nosa” na różne tego typu sprawy, więc się bardzo sytuacją zaniepokoił.

Ja wtedy siedziałem zamknięty w biurze oficera NKWD, czułem się tam dość nieswojo, nie przypuszczałem jednak, co mi nad głową wisi. Tymczasem Mietkowski zaalarmował Wandę Wasilewską, a ona ni mniej ni więcej, postanowiła natychmiast pójść do Stalina, co, jak powiadają, nie było dla niej zbyt trudne. No więc ja w tym zamkniętym pokoju jako ten błędny rycearz niczego nie rozumiejąc, a poza moimi plecami rozgrywa się wielka akcja, do której wciągnięty jest Mietkowski, Wasilewska i prawie także Stalin. Ale Wasilewska do Stalina nie dotarła.

*(Bożena) Może i lepiej, bo jeśli by się Stalin akurat zirytował...*

– Nie ma obawy, on się na Wasilewską nie irytował...

*(Bożena) Bo była taka „sexy”?*...

– Nie wiem czy była „sexy”, była dość wysoka, a Stalin był mały. Tacy panowie lubią wysokie kobiety. A poza tym imponowała mu intelektem i szlacheckim pochodzeniem. No więc Wasilewska nie dotarła do Stalina, chociaż to była późna noc, a on właśnie miał zwyczaj w nocy pracować, jak zresztą cały sztab i cała nomenklatura – tak do 3-ej, 4-ej nad ranem. To był styl Stalina. Ale tej właśnie nocy Wanda Stalina nie znalazła, nie dała jednak za wygraną i poszła do Mołotowa. Ten natychmiast gdzieś zatelefonował i powiedział Wandzie *haraszo*.

No i rzeczywiście *haraszo*, bo o 3-ej nad ranem otworzyły się drzwi i oświadczone mi, że mogę wracać do siebie, czyli do hotelu „Moskwa”, w którym mieszkałem. Byłem jedynym słuchaczem Akademii, który mieszkał poza wojskowym akademikiem.

*(Bożena) Czyli uratowała cię gwiazda „gieroja”, „nos” Mietkowskiego, Wasilewska i Mołotow. A jak wykryli całą aferę w Akademii?*

Wykryto sprawę bardzo prosto. Ten pułkownik „zrobił w portki” i doniósł, że bez zezwolenia pojechałem do Lublina. Czyli od pierwszego dnia wszystko się wydało. Jak mnie zwolniono z aresztu, komendant Akademii zwołał odprawę, zebrał wszystkich słuchaczy i wykładowców, mnie postawił na środku i oświadczył, że za karę moje nazwisko zostanie skreślone ze Złotej Księgi Prymusów Akademii (!) Potem jeszcze w osobistej rozmowie powiedział mi ów komendant, że nie mam „gonoru”. Nie bardzo początkowo go zrozumiałem, ale potem się domyśliłem, że chodziło mu o honor polskiego oficera.

W czasie mojego pobytu w Akademii miałem jeszcze

inną nieprzyjemną sprawę, ale nie związaną z NKWD, ani z żadnymi władzami. Zaraz na początku moich studiów wezwano mnie na jakieś zebranie, chyba do Związku Patriotów Polskich, a może to było czyjeś prywatne mieszkanie, nie pamiętam. Poszedłem. Prócz Bermana zastałem tam Minca, Zambrowskiego, Borkowicza, Naszkowskiego, Burgina, Sokorskiego. I zaraz się okazało, że to nie jest zebranie, tylko nieoficjalny sąd nade mną. Przewodniczył Berman. Powiedział, że w mojej pracy politycznej przed bitwą pod Lenino mówiłem żołnierzom różne głupstwa. I żeby się żołnierzom przypodobać miałem mówić, że jak przyjedziemy do Polski, będziemy wieszać komunistów na latarniach...

W pierwszej chwili po prostu zdębiałem. Patrząc na tych ludzi, przecież oni mnie wszyscy znają! A oni wściekli, spoglądają na mnie wrogo. A ja ten oskarżony. W takich chwilach umysł pracuje ze zdwojoną siłą, coś mi zaczęło świtać. Tak, wiedziałem skąd to się mogło wziąć!

Przypomniałem sobie Bancerza, kapitana Bancerza, który przed bitwą pod Lenino zżerał żołnierzom zupę. Opowiedziałem im tę całą historię, powiedziałem, że podejrzewam Bancerza, że zrobił na mnie fałszywy donos. Postanowił się na mnie mścić. Zażądałem konfrontacji. „Dajcie go tutaj – porozmawiamy! Przyprowadźcie też żołnierzy z pułku, jakichkolwiek żołnierzy, to się dowiecie, że to jest wierutne kłamstwo. Jak mogłem mówić o wieszaniu komunistów, skoro sam jestem członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej, a w obozie we Francji byłem członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Wiecie, co mówiłem żołnierzom? Mówiłem, że Polska będzie krajem demokratycznym, wolnym. To mówiłem!”

*(Bożena) Ale z ciebie był marzyciel...*

Najbardziej agresywni byli Naszkowski i Burgin. Sokorski zabrał głos: owszem – powiedział – ja o tym też słyszałem i mam do Hibnera pretensje. Pewno to powiedział w ferworze. Mnie się to wydaje prawdopodobne.

Cóż to za łajdak! Przecież on wiedział, że to kłamstwo! W dywizji był moim przełożonym, więc ta jego mowa, jak przysłówiowy gwóźdź do trumny. Była to zwyczajna podłość.



Broniłem się. Używałem, zdawało się logicznych argumentów. A tych ludzi, którzy przede mną siedzieli, nie mogłem zrozumieć. Przecież oni mnie dobrze znali! Jak mogli w ten donos uwierzyć? Jak mogli tak się nade mną znęcać? Tak nikczemnie się rozprawiać? Zażądałem konfrontacji. Ale cóż... powiedziano mi, że jest to niemożliwe...

Berman prowadził zebranie i Berman je podsumował. On mnie uratował. Widząc agresywność obecnych i ich zaślepienie zrobił ze mnie sympatycznego głupka. Lata w Hiszpanii, lata w obozie na Zachodzie... kiepskie przygotowanie polityczne... brak oceny rzeczywistości! Trzeba mu wybaczyć, bo jest młody, wykazał się w boju i temu podobne argumenty. A że Berman był z zawodu prawnikiem, wiedział jak przemawiać, jakich użyć argumentów, a głos miał głęboki... Uspokoił zebranych, opanował ich wzburzone namiętności, zawiści i doprowadził do tego, że mnie upomniano, jak niesfornego młokosa. I tak nieźle. Ale na tym się sprawa nie skończyła. Włokła się za mną. Długo po wojnie, byłem już dowódcą KBW, kiedy wezwał mnie do siebie Zambrowski do Komitetu Centralnego PZPR i oświadczył, że sprawa nie jest wyjaśniona. Zażądałem konfrontacji z Bancerczem. Do konfrontacji nie doszło. Ale wszystko już potem umilkło. Tego pułkowniczyńę nawet kiedyś przypadkowo spotkałem na jakimś zebraniu. Nic mu nie powiedziałem. Ręki mu nie podałem. No i tyle.

*(Bożena) Ktoś napisze donos i całe życie to jak smród za człowiekiem się wlecze. I już się nie wybroni. Bo rzadko kiedy powiedzą o co się ma pretensje, co on takiego fatalnego zrobił. Tobie powiedziano, że chciałeś wieszać komunistów. Więc przynajmniej mogłeś się bronić.*

## KONIEC WOJNY

*(Bożena) Jest rok 45, już prawie koniec wojny. Opowiadałeś nam nieraz, że byłeś ze Świerczewskim, kiedy przez most pontonowy na Odrze miały się przeprawiać na front sowieckie czołgi.*

No tak... Był to kwiecień 45 roku. W tym rejonie trwały ciężkie boje. Świerczewski był wtedy dowódcą Drugiej Armii Wojska Polskiego, ja byłem dowódcą 32-go pułku. Już to mówiłem przy innej okazji, że kiedy Świerczewski musiał się widzieć z marszałkiem Żukowem kazał mi przypinać gwiazdę bohatera Związku Sowieckiego i przedstawiał mnie jako swego adiutanta. Moja obecność miała łagodzić wybuchowy charakter Żukowa. Żukow był bardzo impulsywny i na wszystkich krzyczał – także na Świerczewskiego, co ten z trudem znosił. Było to po jakiejś odprawie sztabowej. Staliśmy niedaleko mostu na punkcie dowodzenia: Żukow, Świerczewski, ja i jeszcze jacyś oficerowie. Czołgi w gotowości bojowej stały wzdłuż drogi, czekając na rozkaz przeprawy. Przeprawa była niemożliwa. Most zapełniony był wozami z setkami rannych, których transportowano na tyły. Konie, ranni pieszo, ranni na wozach, wóz za wozem, nie kończący się sznur wozów załadowanych rannymi, wlokący się przeciw kierunkowi natarcia. Nie było sposobu, żeby to zatrzymać. Żukow wydał rozkaz. Czołgi ruszyły na most miażdżąc i zrzucając do rzeki wozy z rannymi.

*(Bożena) Opowiadałeś to ze zgrozą... A co na to wtedy Świerczewski?*

On znał prawa wojny. Nic nie mówił. Jedno jest pewne, że to, co zrobił Żukow, tego nie zrobiłby żaden europejski, czy amerykański oficer. Do tego trzeba być azjata. Ale być może, że gdyby tego nie zrobił, gdyby te czołgi nie ruszyły, tam na froncie zginęłoby o wiele więcej ludzi. Prawa wojny są okrutne.

*(Bożena) Pułk, którym dowodziłeś w czasie wojny nazywał się „Budziszyński”?*

Tak. 32-gi Pułk Budziszyński. W czasie wojny, co kilka dni był rozkaz naczelnego dowództwa o rozwoju sytuacji na froncie i w każdym takim rozkazie wspomniano jakie jednostki się odznaczyły w boju. W jednym z takich rozkazów, to już było niedługo przed zakończeniem wojny, wymieniono

naszą dywizję, która nazwana została Drezdeńską. Nazwy pułków pochodziły od miejsca, w którym walczyły i specjalnie odznaczyły się w boju. Nasz pułk walczył pod Budziszynem i dlatego został nazwany 32-gim Pułkiem Budziszynskim.

Rozwijająca się wtedy wielka ofensywa Armii Czerwonej z udziałem Pierwszej i Drugiej Armii Wojska Polskiego, która szła na Berlin. Dla Niemców i nie tylko dla Niemców było zrozumiałe, że od wyników tej ofensywy i od wzięcia Berlina zależy ostateczny wynik tej wojny. Niemcy ostro się bronili i powstała – z punktu widzenia wojskowego – rzecz niezwykła: Czwarta Armia Pancerna von Schörnera, która była bardziej na południu, postanowiła zaatakować jednostki Armii Czerwonej i Wojska Polskiego z boku, zmieniając front z południa na północ. Mieli nadzieję, że w ten sposób przełamają front i uratują Berlin. Zadaniem Drugiej Armii Wojska Polskiego, którą dowodził Świerczewski, a która była na południe od atakujących oddziałów, idących na Berlin – było za wszelką cenę wstrzymanie ataku niemieckiej armii von Schörnera. W tym celu trzeba było zmienić front, zrobić manewr, żeby stanąć naprzeciwko armii niemieckiej. Był to manewr niebywale ciężki, którego jednak Świerczewskiemu udało się dokonać. Stał frontem do armii niemieckiej. Tam toczyły się zaciekle walki, chodziło o nie byle jaką sprawę: o zatrzymanie Niemców i uratowanie operacji berlińskiej. Mój pułk walczył wtedy właśnie pod Budziszynem.

*(Bożena) Bardzo dramatyczny epizod tej bitwy opisałeś kiedyś w liście do Uli, kiedy była na studiach w Yorku.*

## LIST DO ULI

Warszawa, październik 69

Cześć Miła,

Opiszę trochę niecodzienną historię, która mi się zdarzyła około 10 dni temu. Otrzymałem niedawno krótki, ale bardzo

uprzejmy list od nieznanego pana Ch. z prośbą o spotkanie w dowolnym miejscu i czasie, w bardzo dla tego pana ważnej sprawie. Z treści listu wynikało jednak, że nieznajomy był żołnierzem mego pułku w czasie wojny. Listownie uzgodniliśmy miejsce i czas *rendez-vous*. O oznaczonej godzinie wchodzę do prawie pustej kawiarni (nieznajomy powiedział, że mnie pozna), wstaje jakiś facet bardzo elegancko ubrany, blisko dwumetrowy olbrzym (z rozmowy dowiedziałem się, że ma metr dziewięćdziesiąt sześć!), wyraźnie onieśmielony, wita się i robi to wszystko dobre wrażenie, mimo, że rozpoczął od... meldowania się po wojskowemu.

Zaczyna się zdawkowa rozmowa, obserwuję faceta i chcę odgadnąć, czego on ode mnie może chcieć? Delikatnie zaczynam mówić, że od blisko dziesięciu lat jestem osobą raczej prywatną i moje możliwości załatwienia czegokolwiek są raczej ograniczone. Mój rozmówca jakby nie rozumiał mojej uwagi, mówi, że o wszystkim wie – najlepszy dowód tytuł naukowy przy moim nazwisku na kopercie. Zażenowany zaczyna tłumaczyć, że nie idzie mu o żadną interwencję, dobrze mu się powodzi, ma bardzo dobre mieszkanie, samochód, pracę. Krótka chwila zakłopotania i mój olbrzym w widoczny sposób przełamując jakieś opory – pyta: czy pamięta pan dzień 24 kwietnia 1945 roku i Malkwitz? Odpowiadam (niezbyt pewnie) – 24 kwietnia... był to dziewiąty dzień natarcia, 15-go forsowaliśmy Nysę, a Malkwitz, to chyba jakaś miejscowość blisko Budziszyna, ale nic poza tym...

– A czy zauważył pan, że list do pana podpisałem jako Ch. a zameldowałem się jako podporucznik Leszczyński? Nazywałem się wtedy Leszczyński. Przypomnę panu: sztab pułku w Malkwitz, okrążenie, kapitan Jeziorański, pluton sztabowy i ja jego dowódca, podporucznik Leszczyński.

Przerywam – tak pamiętam, teraz wszystko sobie przypominam.

– Czy rzeczywiście wszystko sobie pan przypomina? O mnie też pan pamięta?

Znowu chwila milczenia. Nie rozumiem o co mu chodzi. Ten dziwny olbrzym siedzi przede mną zdrtwiałą. Jest nie-ludzką zdenerwowany. Robi się niesamowicie. Muszę przerwać męczącą ciszę.

– To było blisko dwadzieścia pięć lat temu, pan miał chyba dwadzieścia lat...

– Dziewiętnaście.

– Spróbujmy wspólnie odtworzyć sytuację – powiedziałem.

– Właśnie o to mi chodzi. Pamiętam, jak 24 kwietnia, tę datę dobrze pamiętam, sztab stanął w Malkwitz. Pan gdzieś zniknął i zobaczyłem pana dopiero 25-go o świcie.

– Zgadza się, udałem się do sztabu dywizji, aby uzyskać zgodę na przeniesienie sztabu pułku. Malkwitz było niewygodne i niebezpieczne, można je było łatwo zaatakować. Niestety, zgody nie uzyskałem. Po krótkiej inspekcji w niektórych jednostkach pułku, przed północą wróciłem do sztabu. Nad ranem, ledwie widniało, sztab został ostrzelany z niemieckich CKM-ów ustawionych na pobliskich wzgórzach. Sztab został okrążony i odcięty. Najgorsze obawy stały się rzeczywistością.

– My, młodzi oficerowie, nie od razu zorientowaliśmy się, co się stało. Pan zrozumiał co się stało, my jeszcze nie. Zwołał pan naradę oficerów. Poinformował nas pan o sytuacji. Była ona ciężka, a mogła się stać katastrofalna, jeśli się nie wyrzuci Niemców z obydwu wzgórz. A mogły to zrobić tylko pododdziały pułku od nas odcięte. Połączenia radiowego nie było. Radiostacje miały do nas dotrzeć wczesnym rankiem.

– Tak – powiedziałem – sytuacja rzeczywiście była prawie beznadziejna. Trzeba było przedrzeć się do jednostek pułku. W naszej sytuacji mógł to zrobić tylko ktoś w pojedynkę. I to natychmiast, póki jeszcze ciemno. Przedarcie się było bardzo trudne, właściwie nieprawdopodobne, ale pierwszy miał największą szansę, aby się wydostać. Proponuję by dać tę szansę szefowi sztabu, kapitanowi Jezierskiemu. Był z nas najstarszy, miał dwoje dzieci, a my wszyscy byliśmy kawalerami. Jezierski początkowo odmówił, nie chcąc korzystać z przywilejów, ale w końcu się zdecydował. Wyskoczył, zaczął się czołgać, ale fizycznie był niesprawny. Przy kolejnym skoku został trafiony, najpierw w nogi, potem w brzuch. Było to około piętnastu metrów od nas, ale o powrocie nie było mowy. Miał zdruzgotane nogi. Zaczął się koszmarać. Jezierski bardzo powoli, wyraźnie przezwyciężając ból,

odpina kaburę, wyciąga pistolet...

– Resztę ja przypomnę. Pan wrzasnął: „kapitanie! NIE! Idę do pana”. Jezierski to chyba usłyszał, bo znieruchomiał. Ale wtedy nie zważając się – ja chyba byłem pierwszy, a może porucznik K., nie wiem, rzuciliśmy się obydwaj na pana, wykręciliśmy panu ręce i obezwładnili. Wszyscy byliśmy w koszmarnym szoku. Wtedy padł strzał. Jezierski się dobił.

– Zrozumiałem, że po śmierci kapitana Jezierskiego nikomu nie mogę, a raczej nie powinienem dać rozkazu przedarcia się, zwłaszcza, że już robiło się prawie jasno. Na ochotnika nikt się nie zgłosił. Zdecydowałem więc, że sam spróbuję. Możliwie spokojnie wydałem polecenie mojemu zastępcy i wyskoczyłem.

– Widzieliśmy to doskonale. Obserwowaliśmy pana, każdy pana ruch, skok, wszystko, aż pan nie zniknął za jakimś pagórkem. Jak pan te kilkadziesiąt metrów przeszedł pod takim ogniem – nie mogliśmy zrozumieć. Ale wiedzieliśmy, że do naszych pozycji było jeszcze kilkadziesiąt metrów. Na razie ocenialiśmy, że jeśli pan dojdzie, to odsiecz przyjdzie w ciągu trzech godzin, ale minęły trzy, cztery, cztery i pół – odsieczy nie było. Początkowo Niemcy tylko nas ostrzeliwali, potem przypuścili pierwszy szturm. Odbiliśmy, ale już nie mieliśmy zbyt dużo amunicji, ani żywności. Dochodziła już piąta godzina czekania, byli ranni... Nie wiedzieliśmy czy pan żyje, czy dotarł pan do naszych pozycji...

– Ja sam nie wiem jak mi się udało dotrzeć do naszych pozycji. Już byłem o krok od naszego okopu, ale wystarczyła chwila nieuwagi, czy odprężenia, mój nieprecyzyjny skok i zostałem ranny, gdy przewalałem się przez nasyp naszego okopu. Rana nie była ciężka, opatrzył mnie sanitariusz i leżąc na noszach zacząłem organizować odsiecz. Wysłałem oficera do dywizji po wóz pancerny. Po godzinie wrócił, ale bez wozu. Pojechałem jeepem na noszach do dywizji. Dostałem wóz pancerny z sowieckim lejtenantem. Tymczasem Niemcy ruszyli do ataku na szerokim froncie. Było późno. Minęło chyba jakieś pięć i pół godziny, może sześć... wydawało się, że jeszcze nie za późno...

– To nie do wiary, bo myśmy czekali ponad pięć godzin i wszystko wydawało się beznadziejne. Straty były coraz

większe, amunicja się kończyła. Byliśmy już pewni, że pan nie dotarł, a więc odsiecz nie nadejdzie. Jeszcze jeden atak odparliśmy, nowi ranni, nowi zabici... słychać było czołgi. Najpierw była rozpacz, potem tylko apatia. Nikt z oficerów nie wydaje rozkazów, wszyscy czekają na koniec. I wtedy ja się decyduję. Z rozerwaną białą koszulą wychodzę naprzeciw czołgom. Poddajemy się. Niemcy nie strzelają. Poszliśmy wszyscy do niewoli. Zagnali nas na zachód od Łaby i tam mniej więcej po dziesięciu dniach wyzwolili nas Amerykanie. Po kilku miesiącach wróciłem do kraju. Studia na politechnice i jednoczesna praca nie powiodły się. Zacząłem pracować jako nauczyciel, dziś jestem dyrektorem zespołu szkół technicznych. Lubię moją pracę, dobrze zarabiam, dostatnio żyję, ale od dwudziestu pięciu lat nie mogę sobie znaleźć miejsca, nie wiem co się ze mną dzieje. Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy miałem moralne prawo i prawo formalne poddać się i poddać tę całą trzydziestoosobową załogę. Pośród oficerów byłem tam najmłodszy stopniem. Nikt z nich tego nie zrobił, tylko ja to zrobiłem. Chłodno rozumując, dalsza obrona była beznadziejna, a koniec wojny oczywisty, bliski. Ale czy to rozumowanie nie pokrywa mojego zwykłego tchórzostwa? Czy nie oszukuję siebie i innych mówiąc, że postąpiłem mądrze, słusznie i bez fałszywego, a więc głupiego patosu? Czy jestem tchórzem, łajdakiem, a może właśnie wykazałem swoistą odwagę i siłę woli, ratując życie innych, kosztem mego sumienia i honoru? Jak właściwie miałem postąpić. Od dwudziestu pięciu lat chcę pana o to zapytać. Od dwudziestu pięciu lat śledzę każdy pana ruch, znam wszystkie kolejne adresy. Pisałem do pana wielokrotnie, ale wszystkie listy darłem. Bałem się pańskiej oceny, pańskiego wyroku. Niech mi pan powie szczerze, jak powinienem był postąpić? Ale niech mnie pan nie pociesza! Proszę o prawdę!

Przede mną siedział mój olbrzym blady, niespokojny, przerażony: czekał na wyrok, na mój wyrok. W ciągu niewielu sekund miałem rozstrzygnąć, jak naprawdę ten chłopak miał podówczas postąpić? A jeśli mój pogląd będzie potępiający, czy i jak mu to powiedzieć? Patrząc na mego rozmówcę, wiedziałem, że muszę mu pomóc, ale musiało to być przekonujące. No i tak mu powiedziałem:

– Ja, jako dowódca pułku, broniłbym się do końca... – Patrzę na niego. Jest zdruzgotany. Ale mi wierzy, to bardzo wiele. Więc kontynuuję: – Ale gdybym miał dziewiętnaście lat, byłbym młodym oficerem i nie miałbym możliwości zrobienia czegoś korzystnego dla naszej sytuacji na froncie i to wtedy, gdy wojna się kończyła, to chyba bym zrobił to samo, co pan.

Jeszcze nie wiem, jak ostatecznie przyjmie on moje rozgrzeszenie, ale sprawa jest przesądzona. Olbrzym powoli zaczyna tajać. Myślę, że byłoby tanio i głupio gdyby się rozpląkał. Ale on wytrzymuje, powoli przychodzi do siebie.

Opowiadam co z kolei ze mną się działo. – Wrócił wóz pancerny z moim lejtenantem. Odsiecz dotarła, ale już nikogo nie było, więc się wycofała. Niemcy atakowali na całej linii frontu. Otrzymawszy smutny meldunek pojechałem sanitarką do polowego szpitala, aby opatryć sobie ranę. Po jakiejś pół godzinie rozpoczął się nowy niemiecki atak. Szum, wrzask, niemieckie czołgi nie dalej, jak o jakiś kilometr. W ciągu paru minut szpital się zwinął, ale beze mnie, bo ja unieruchomiony na noszach zostałem na jakimś podwórku. I nagle – jak na westernie, z przejeżdżającego samochodu pancernego wyskoczył mój lejtenant z odsieczy i wraz z żołnierzem załadowali mnie z noszami na samochód i gazu!... A reszta już była zwyczajna: nasze kontruderzenie i po trzynastu dniach koniec wojny.

Koniec opowiadania. Całuję.

---

*(Bożena) A kiedy zostałeś dowódcą 32-go pułku?*

– To było tak: Druga Armia szła wtedy na front, a ja byłem zastępą dowódcy 34-go pułku. Byliśmy gdzieś pod Poznaniem. W tym czasie w 32-gim pułku nastąpiła masowa dezercja, zdezercerował prawie cały batalion. Było to groźne. A stało się prawdopodobnie dlatego, że dowódcą był oficer sowiecki i nie znał w ogóle polskiego, mówił tylko po ro-



syjsku i ani oficerowie, ani żołnierze go nie rozumieli. Mogła to być jedna z przyczyn tej masowej dezercji. Były też znacznie ważniejsze przyczyny o charakterze politycznym, a może spowodowane zwyczajnym tchórzostwem, trudno mi w tej chwili ocenić. Świerczewski wezwał mnie wtedy do siebie, do sztabu Drugiej Armii i zawiadomił, że jedziemy do 32-go pułku. Dowiedziałem się, że zostałem mianowany dowódcą tego pułku. Przyjechaliśmy na miejsce, żołnierze, oficerowie czekali już na nas, uformowani w czworobok kompaniami i batalionami. Świerczewski przemówił, a miał dar wielkiego mówcy, przy czym mimo wielu lat spędzonych w Związku Sowieckim – mówił piękną polszczyzną – raczej po rosyjsku mówił z polskim akcentem, a po polsku znakomicie. Przedstawił mnie jako nowego dowódcę. Przywitałem się z pułkiem, i jak mi potem opowiadali oficerowie – zrobiło to wrażenie... Usłyszeli język polski, przemawiał do nich Polak. Sądziłem bowiem, jak mi to potem mówili, „że jeden Ruski odszedł, drugi Ruski przyjdzie”. Byłem zresztą w naszym wojsku jedynym dowódcą pułku Polakiem nie wywodzącym się z armii czerwonej. Że moje przyście do pułku zrobiło wrażenie – dowiedziałem się wiele lat później, bo w roku siedemdziesiątym. Wtedy to, na dwudziestą piątą rocznicę forsowania Nysy, kapitan Zwoliński, który był jednym z ostatnich prywatnych właścicieli aptek w Polsce, a równocześnie przewodniczącym miejscowego ZBOWiD-u w Żelechowie, urządził wielki bankiet. W miasteczku rozwieszono były transparenty na moją cześć, a na uroczystość zjechali się byli oficerowie 32-go pułku z różnych stron Polski i to z żonami. Zwoliński witając mnie wygłosił rodzaj przemówienia. Opowiadał jak to po zdjęciu tamtego dowódcy, ja przyjechałem i o tym pierwszym spotkaniu z pułkiem mówił tak ciepło i z takim przejściem: „Polak do nas przyjechał”... że wprowadził w stan patriotycznego wzruszenia obecne tam panie, które nieomalże zaczęły płakać...

*(Bożena) A wtedy, kiedy objąłeś dowództwo tego pułku nie miałeś wielu trudności?*

Nie tak bardzo. Jakoś niebawem zdobyłem sobie zaufanie

żołnierzy i oficerów. Wszyscy oficerowie zachowywali się w sposób znakomity.

*(Bożena) A co się stało z batalionem, który zdezerterował?*

Zrobiono pościg. Wielu podoficerów i żołnierzy powróciło do pułku i walczyło do końca. Prowadzących zatrzymano i odbył się nad nimi sąd. Jest o tym w ostatnich dokumentach Żenczykowskiego.

*(Bożena) Ale wróćmy jeszcze na chwilę do tego, co opisałeś w liście do Uli, to znaczy do bitwy pod Budziszynem. Po tej okropnie trudnej ofensywie już był właściwie koniec wojny?*

To już był koniec wojny, ale nie dla wszystkich. U nas jeszcze trwały boje. Myśmy wstrzymali natarcie, a potem zaczęliśmy Niemców ścigać, z tym, że mój pułk skończył wojnę jako ostatni z całej armii. U nas jeszcze trwały boje, a ja słuchałem nadanych przez radiostację wojskową rozmów, jakie się toczyły między dowództwem sowieckim i niemieckim. Rozmowy toczyły się po niemiecku. Wojna się skończyła – to było wstrząsające! Usłyszałem rzecznika Armii Czerwonej, który w imieniu marszałka Żukowa wzywał marszałka von Keitla do poddania się i spotkania, celem zawieszenia broni. Rozmowy trwały przez półtora dnia. Dla nas wojna się skończyła nie 8-go, a dopiero 12-go maja. Byliśmy wtedy pod Dreznem. Mieliśmy sporo jeńców wojennych, których odprowadzano do dywizji. W jakimś momencie zameldowano mi, że jeden z jeńców koniecznie domaga się spotkania z dowódcą pułku. Kazałem go przyprowadzić do sztabu. Zameldował się po niemiecku młody, czy ja wiem, trzydziestoparoletni rosły kapitan Wehrmachtu. Przeszedł zaraz na rosyjski, a mówił po rosyjsku bezbłędnie, zresztą tak, jak po niemiecku. Poprosił, żeby zawiadomić sztab armii sowieckiej, że taki to a taki – tu podał swój kryptonim – jest w naszych rękach. Już po godzinie czy dwóch przyleciał do nas Kukuruźnik z jakimś pułkownikiem na pokładzie. Spot-

kanie pułkownika z niemieckim kapitanem było wstrząsające. Był to prawdopodobnie jakiś bardzo ważny agent wywiadu. Ja się potem dowiedziałem, że był to jeden z tych nadwoźzańskich Niemców, który jako młody chłopak wysłany został do Niemiec, tam zaciągnięty został do Wehrmachtu i dośłużył się kapitana i służył sowieckiemu wywiadowi.

*(Bożena) Jak wiadomo losy wojennych „asów wywiadu” w ZSSR bywały rozmaite. Nie miało się do nich zaufania. Nie wiadomo, czy jak ten kapitan wrócił do Moskwy, to go nie zlikwidowano...*

Być może. Różnie się tam pod tym względem działo, ale też miałem inną historię z Niemcem. Na kilka tygodni przed końcem wojny, ścigając Niemców natrafiłem na olbrzymi park samochodowy. Było bardzo dużo samochodów ciężarowych i kilka osobowych. Ja wybrałem sobie opła Kapitana, ale najważniejsze, że zebrałem tyle samochodów ciężarowych, że w ciągu jednego dnia z pułku piechoty przeistoczyliśmy się w pułk zmotoryzowany. Nie tylko, że udało mi się posadzić na samochody wszystkich żołnierzy, ale też kuchnie, zapasy i część koni. Tylko problem był taki, że nie mieliśmy kierowców. Rozwiązałem to w sposób niebywale prosty. Wśród jeńców niemieckich było wielu szoferów, a także zawodowych kierowców. Tych wszystkich jeńców posadziłem do kierownicy, a do każdego kierowcy niemieckiego przydzieliłem naszego żołnierza na szkolenie. Dla siebie znalazłem szofera, zdaje mi się, że Hans miał na imię. Już było po wojnie, jechaliśmy na Rzeszowszczyznę i byliśmy niedaleko Nowego Targu. Hans „wślawił” się tym, że mnie ostrzegł przed wybraną przeze mnie drogą na wschód Polski. Mieliśmy przejechać przez most, teraz już nie pamiętam dokładnie w którym miejscu. Powiedział mi, że most ten jest zerwany, sam to widział, kiedy był tam z niemiecką armią. Ta wiadomość była oczywiście dla nas bardzo ważna, bo idąc tamtędy musielibyśmy zawracać w połowie drogi. Potem, już na Rzeszowszczyźnie dostaliśmy rozkaz, aby odesłać wszystkich jeńców niemieckich na wyznaczone punkty zbiorcze. Tych jeńców była masa w każdym pułku, służyli jako kucharze, szoferzy.

Ja się do tego mojego Hansa przywiązałem i żał mi go było odsyłać do obozu. Powiedziałem mu: weź sobie wałówkę, idź na zachód i szukaj swoich dróg. Wtedy, na pożegnanie, ku mojemu zdziwieniu, mój szofer stanął przede mną na baczność i zameldował – oczywiście po niemiecku, że musi mi powiedzieć prawdę o sobie. Jest on co prawda szoferem, ale także jest oficerem i uważa za swój punkt honoru, żeby mi o tym powiedzieć. Okazało się, że był on szoferem von Schörnera, dowódcy tej pancernej armii SS, którą myśmy rozbili. Musiałem szybko zdecydować czy go posłać do punktu zbiorczego, czy go puścić. Ale go puściłem. Udałem, że nie rozumiałem, co mi powiedział.

## ŚWIERCZEWSKI

*(Bożena) W twoich wszystkich opowiadaniach przewija się postać Świerczewskiego. Chciałabym, żebyś mi o nim coś więcej powiedział. Pamiętasz, myśmy się spotkali w sekretariacie Świerczewskiego, to już oczywiście było po wojnie, chyba w czterdziestym szóstym roku. Zналиśmy się przedtem, widywaliśmy się u Hanki i Jurka Morawskich i na jakichś oficjalnych zebraniach. Żadnemu z nas wtedy do głowy nie przychodziło, że dwa lata później będziemy małżeństwem. Wchodzę do sekretariatu Świerczewskiego, a przyszedłam tam w sprawie pomocy wojska dla organizacji Złotu Młodzieży, a tu niespodziewanie widzę pułkownika Hibnera, który siedzi na koszu od śmieci. To właśnie było naprawdę zabawne. Ty mi mówisz, że możesz mi ten kosz odstąpić, bo żadnego krzesła w tym sekretariacie nie ma. Co prawda zerwał się jakiś wojskowy zza biurka, ale zaraz wszedł Świerczewski. Łysy, okrągły, uśmiechnięty generał. Powiedział do ciebie: wybacz Julek, wiem, że byłeś pierwszy, ale rozumiesz, że dziewczyny mają zawsze pierwszeństwo...*

Tak, dobrze to pamiętam, to było w czterdziestym szóstym roku. Byłem wtedy dowódcą pułku, który stał w Sanoku. Zostałem wezwany do Świerczewskiego w dosyć

delikatnej sprawie. – Ty nicponiu – powiedział na przywitanie – coś ty tam narozrabiał! Donos na ciebie przyszedł, że za wódkę zwalniasz ludzi do cywila. I tu śmiejąc się podałeś mi do przeczytania list podpisany przez oficera informacji, jakiegoś sowieckiego oficera.

*(Bożena) No, Świerczewski wiedział jaki z ciebie pijak...*

Tak, pod tym względem, to on kompana ze mnie nie miał... Raz, na froncie zmusił mnie do wypicia. To było po jakiejś odprawie w jego sztabie. Broniełem się jak mogłem, ale on nalegał. Potem myślałem, że już umieram. Wezwałem lekarza.

*(Bożena) Wiem, bo mi opowiadał o tym znajomy lekarz, który w czasie wojny był w służbie zdrowia w Drugiej Armii. Śmiał się z tego umierania, bo po prostu miałeś kaca.*

Ale wtedy, kiedy był ten donos o zwalnianiu do cywila, to już było po wojnie i pułk mój stał w Sanoku. Prawda jest taka, że rzeczywiście trochę starszych wiekiem zwalniałem do cywila, co pewnego służbowego oficera informacji nieco zdeenerwowało. A wódkę, to już on dodał od siebie. Pan Bóg z nim, rozbawiło to tylko Świerczewskiego, który podarł ten list na kawałki i wrzucił go do kosza. Ja zaś miałem okazję, żeby na chwilę odetchnąć, przyjechać do Warszawy i spotkać się z bratem i ze znajomymi.

*(Bożena) Od wojny siedziałeś w Sanoku?*

Tak od wojny! Ponad rok! Ciężki kawałek chleba. A najbliższe towarzystwo, to oficerowie z pułku, aptekarz, ksiądz z pobliskiej parafii. I wciąż w jakimś sensie wojna... Zaraz po zakończeniu działań wojennych na południową część województwa rzeszowskiego została skierowana cała nasza dywizja, a więc i mój 32-gi pułk piechoty. W tej części kraju polskiej władzy nie było. Działały tam oddziały zbrojne UPA, władzę

w rękę miały sotnie banderowskie, które terroryzowały ludność, a przede wszystkim ludność ukraińską. Nie umiem powiedzieć w jakim stopniu, czy dobrowolnie, czy pod przymusem, ludność ukraińska im służyła. Z całą pewnością dostarczała im żywności. Żywiła ich – to już na pewno. Strach tam było ludziom żyć. Było też kilka oddziałów polskich występujących zbrojnie przeciwko nowej władzy. Jeden z nich, jak się okazało, działał ściśle z UPA.

*(Bożena) A jak zginął Świerczewski? Było to w czterdziestym siódmym roku. Stałam na Okęciu w kolumnie młodzieży. Nadleciał samolot, wyniesiono trumnę ze zwłokami Świerczewskiego. Marsz żałobny. Prostopadle do naszej kolumny staliście wy, Dąbrowszczacy. Zobaczyłam, że niektórzy z was płakali. Głupio zginął... Było to ukarowane? Przypadkowe?*

W sprawie śmierci Świerczewskiego mam zdanie wyrobione. Tak, były różne domniemania, mówiło się nawet o prowokacji. Mówiono, że maczał w tym palce Spychalski, było to jednym z aktów oskarżenia, kiedy go zamknięto za odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne. Byłem nawet w tej sprawie wzywany do wiceministra bezpieczeństwa. Ale już wtedy miałem na ten temat wyrobione zdanie. A potem, może to już było w początku lat pięćdziesiątych, zaprosił nas oboje, jak pamiętasz, Jerzy Borejsza, który pisał scenariusz do filmu o Świerczewskim. Wydawało mi się, że dobrze się rozumiemy, że go przekonałem. Wykazywałem na faktach, że nie było tam żadnej zdrady, ani prowokacji, a już na pewno nie ze strony Spychalskiego. Ale moje argumenty na nic się nie zdały i nie wiem czy to była wina Borejszy, ale film się ukazał. Był haniebny. Wyszomirski grał Świerczewskiego. Jakoby najbardziej był do niego podobny. Jak pięść do nosa. Ogolono mu głowę. A kto grał Spychalskiego? Czy nie Wyrzykowski?

Po zamordowaniu Świerczewskiego stworzono tak zwaną operację „Wisła”, której dowódcą był Mossor, a ja jego zastępcą. Zgrupowano wtedy na Rzeszowszczyźnie wiele dywizji. Ja znałem te tereny i mnie przydzielono najtrudniejszy rejon, najbardziej wysunięty przyczółek, który z jednej strony

graniczył z Czechosłowacją, a z drugiej z ZSSR. Tam było największe zgrupowanie UPA. W jednej z potyczek wzięliśmy do niewoli kilkunastu upowców z sotni Hrynia, która, jak przypuszczaliśmy, była tą, która brała udział w strzelaninie, kiedy zginął Świerczewski. Od nich, od tych wziętych do niewoli, dowiedzieliśmy się dokładnie jak to było. Sotnie UPA w rejonie Baligrodu grasowały bezustannie. I tam każdy konwój wojskowy był narażony na zasadzkę. Wojsko jechało zwykle w zakrytych samochodach, a przed konwojem jechała zawsze kolumna zwiadowcza, która badała teren. Tych środków ostrożności kiedy jechał Świerczewski nie zastosowano, może dlatego, że przypuszczano, że teren nie jest aż tak groźny. Upowcy zrobili zasadzkę, zobaczyli konwój, ale nie mieli pojęcia, kto w nim jedzie. Skąd ktokolwiek mógł to wiedzieć, że akurat tego dnia Świerczewski sobie upodoba ten właśnie teren na inspekcję. Była to droga pomiędzy wzgórzami. Upowcy otworzyli ogień. Świerczewski wtedy wyskoczył i zgodnie ze swoim stylem – zamiast się położyć na ziemi w czasie takiej strzelaniny – zaczął dowodzić, stojąc na środku drogi. Był więc znakomitym celem. Jedna z kul go trafiła. Opowiadał mi potem Gerhard, który był moim następcą w 32-gim pułku, kiedy ja odszedłem do KBW. Był wtedy razem ze Świerczewskim na inspekcji. Zarówno Gerhard, jak i pułkownik Więckowski, widząc co się dzieje, rzucili się na ziemię i błagali Świerczewskiego, żeby zrobił to samo. Ale on uparcie stał. Dostał kulę w pierś i zginął. Wszystkie domniemanie, że był to zamach – są fałszywe. Nikt prócz samego Świerczewskiego nie mógł wiedzieć, gdzie danego dnia on pojedzie. Podjął tę decyzję w ostatniej chwili.

*(Bożena) Potem była akcja „Wisła”. Odwet za śmierć Świerczewskiego.*

Tak, dowodził nią generał Mossor w sposób bezwzględny. Miałem z nim różne bardzo przykre rozmowy, ale on przeważnie krzyczał i robił swoje. Walka z uzbrojonymi oddziałami, to była jedna rzecz. Była to wojna domowa. A ludność ukraińska tam zamieszkała, to była inna sprawa.

Ta ludność znalazła się w tragicznej pułapce. I za bandy UPA ciężko zapłaciła.

*(Bożena) A gdyby Świerczewski dożył do okresu naszej Odwilży – Października 56, kiedy nastąpił rozdział między ówczesną władzą a społeczeństwem i dużą częścią PZPR – po której stronie stanąłby Świerczewski?*

Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć. Świerczewski nigdy nie był skłonny do zwierzeń na tematy polityczne. Nigdy nie mówił, co sądzi o Związku Sowieckim, o kolektywizacji, o egzekucjach, o egzekucjach oficerów. Nawet gdy pośrednio starano się skłonić go do takiej rozmowy. Miał chyba złamany grzbiet, jak większość, a zresztą prawie wszyscy sowieccy oficerowie.

*(Bożena) Sowieccy oficerowie?*

Tak, Świerczewski był sowieckim oficerem, służył w Armii Czerwonej. Jako młody chłopak pracował w fabryce Gerlacha w Warszawie. W czasie pierwszej wojny z całą fabryką został ewakuowany do Rosji. Ale był to człowiek sercem i duszą związany z Polską, z polską kulturą, polskimi tradycjami. Czuł się Polakiem i był Polakiem. Przypuszczam, że gdyby dożył czasów, kiedy Rokossowskiemu i innym oficerom, a może także i jemu, kazano opuścić Polskę – palnąłby sobie w łeb.

*(Bożena) Byłeś pod dużym jego urokiem. Jest Październik 56. Ty z innymi wyższymi oficerami, z wojskiem, którym dowodziłeś, szykowałeś się do odparcia sowieckich czołgów, które szły na Warszawę. Wyobraźmy sobie, że Świerczewski macha ci palcem przed nosem i mówi: Julek!!!... I co ty wtedy?*

Nie ulega wątpliwości, że bym go nie posłuchał.

*(Bożena) Po raz pierwszy.*

Po raz pierwszy.



## HIBNEROWSKIE ODCHYLENIE

*(Bożena) Kiedyśmy się spotkali na koncercie symfonicznym w Rzymie, już byłeś na stałe w Warszawie. Który to był rok?*

Było to w roku czterdziestym siódmym. Ale już rok wcześniej zostałem mianowany zastępcą dowódcy KBW. Przenieśliśmy się więc nareszcie do Warszawy. Zabrałem ze sobą mojego wojennego adiutanta Antosia Bryczkowskiego, który był do mnie ogromnie przywiązany, a naraził się tym, że stłukł mi płytę z cudownym flamenco. A mówiłem „pilnuj tej płyty jak oka w głowie”, a on ją właśnie stłukł. Początkowo mieszkaliśmy na Chocimskiej, a potem dostałem mieszkanie na Sandomierskiej. Przydzielono mi samochód chevrolet z szoferem Adamczykiem, z którym mogłem ćwiczyć mój francuski, bo on był repatriantem z Francji. Warszawa była wtedy w ruinach, ale już były jakieś kina, teatr, koncerty symfoniczne...

*(Bożena) Zagadnęłam cię o te koncerty, bo to nasze takie dobre wspomnienie i początek wspólnego życia, a właściwie chciałabym rozmowę pokierować do spraw Października 56. Powiedz mi, jak to należy rozumieć, że właśnie KBW, czy ogólnie Wojska Wewnętrzne, którymi ty dowodziłeś, odegrały tak pozytywną rolę w Październiku 56? Dlaczego właśnie ta formacja stanęła po stronie Października?*

Chyba wszystko razem się na to nałożyło. Nasz dom, nasi przyjaciele, ale i to, że uważałem, iż w wojsku powinny istnieć jakieś demokratyczne zasady. Hiszpańskie doświadczenia na to się złożyły. A poza tym, nie byłem takim zwariowanym wojskowym. W duszy byłem fizykiem. Zawsze liczyłem, że uda mi się jeszcze zająć fizyką. W końcu udało mi się to zrobić, choć dość późno. Na razie musiałem czytać wieczorami raporty o kuchniach wojskowych...

*(Bożena) Ale też, jak dobrze pamiętam, poza tymi kuchniami studiowałeś mechanikę kwantową Diraca... Czy to był rok czterdziesty dziewiąty, kiedy zostałeś generałem? A ja – panią generałową... Można było pęknąć ze śmiechu, byłam wtedy studentką na politechnice i na generałową, jak Bóg miły, nie wyglądałam. I takie zabawne historie z tego potem wynikały. No więc dostałeś nominację na generała, spędzaliśmy wtedy wakacje z Bibrowskimi, naszymi bliskimi przyjaciółmi w Jastrzębiej Górze. Otrzymałeś list z Warszawy z wiadomością o nominacji. To właściwie było bardzo niespodziewane. Miałeś wtedy trzydzieści siedem lat.*

No rzeczywiście. Byłem już wtedy dowódcą KBW. Moim bezpośrednim przełożonym był Konrad Świetlik, który prawdę powiedziawszy na wojsku się nie znał. Z różnych przyczyn byłem właściwie niezależny. Przede wszystkim dlatego, że mnie kompletnie ignorował Rokossowski. Zaczęło się właściwie od jakiegoś niesympatycznego stosunku Bieruta do mnie. Jak posłano w odstawkę Rolę-Żymińskiego i Rokossowski przyjechał do Polski, na stanowisko ministra obrony narodowej, Bierut wydał przyjęcie na cześć nowego marszałka. Zaprosił wszystkich generałów, prócz mnie. Trochę to było dziwne. Raz tylko spotkałem Rokossowskiego służbowo w Wyższej Szkole Wojskowej w Rembertowie. Mieliśmy tam kilku absolwentów i jeden z nich otrzymał Złoty Medal na zakończenie szkoły, więc tam pojechałem. Rokossowski zachowywał się w stosunku do mnie w sposób nijaki, ani dobry, ani zły. Ja jemu nie podlegałem, byłoby jedynie rzeczą normalną, żeby mnie zapraszał na niektóre ważne odprawy, dotyczące obronności kraju, ale tego nie robił. Może on, który był niebywale odważnym żołnierzem, był tchórzliwym człowiekiem, nie chciał mieć nic wspólnego z kimś, kto miał za sobą przeszłość hiszpańską? Przecież wielu jego znajomych, którzy brali udział w wojnie w Hiszpanii było podejrzanych o szpiegostwo.

*(Bożena) Z drugiej strony, ta niezależność od Rokossowskiego dała ci dużą swobodę. Pozbywałeś się sowieckich oficerów, nawet byliśmy na takim jednym pożeg-*

naniu jakiegoś pułkownika, który wydał bardzo duże przyjęcie na pożegnanie i nas zaprosił.

Od dawna się ich pozbywałem. Odsyłałem ich do domu. Zupełnie bezkonfliktowo. Była to operacja delikatna, ale systematyczna. Więc jak doszło do 56 roku, ale nawet dużo wcześniej, w KBW i WOP-ie byli tylko polscy oficerowie.

*(Bożena) I nie było reperkusji z tego powodu, że pozbywasz się sowieckich oficerów? A polscy oficerowie, tacy bardziej twardzi, nie mieli o to „ideologicznych” pretensji?*

Nie było żadnych reperkusji, ani żadnych pretensji. Przeprowadzałem to pod różnymi pretekstami i powoli, acz skutecznie. A polscy oficerowie, nawet ci twardzi, nie mieli pretensji, bo otwierały się dla nich kariery. Co ciekawe, w Ministerstwie Bezpieczeństwa, a potem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych też mi tego nie zarzucali. Pewno i oni po cichu byli zadowoleni, że im mniej, tym lepiej. A przy tym, to nie oni, ale ja to robiłem i w dodatku bezbolesnie. Oni się zresztą zbytnio do mnie nie wtrącali. Nie znali się na wojsku, w jakimś sensie miałem *carte blanche*. Informowałem oczywiście o ważniejszych sprawach, oni byli raczej zadowoleni, że z wojskiem, którym dowodziłem, mają spokój, mieli inne sprawy na głowie. No więc ja robiłem, co uważałem za słuszne.

*(Bożena) A ci wszyscy sowieccy doradcy, którzy byli w bezpieczeństwie?*

Nie wiem co oni mówili czy myśleli. Niewątpliwie chroniła mnie ta gwiazda „gieroja”.

*(Bożena) Pamiętam jak mi opowiadałeś, o jakiejś bardzo ważnej dyrektywie „02”, czy jak się ona nazywała...*

Właśnie „02”. Wprowadziłem ją, kiedy byłem jeszcze dowódcą KBW. Chodziło o rzecz niezwykle istotną i bardzo

niepokojącą. W każdym wojsku, kiedy władza nie jest odpowiednio kontrolowana, może nastąpić niebezpieczne zjawisko, które w żargonie wojskowym nazywa się zupactwem. Polega ono na metodach łamania godności osobistej podwładnego. Z meldunków Prokuratury Generalnej (otrzymywałem odpisy tych meldunków) wynikało, że w wojsku w ogóle, a więc i w wojsku, które mnie podlegało, było wiele samobójstw. Przygniatająca ilość samobójstw była wśród żołnierzy. Kaprale, podoficerowie i niektórzy oficerowie, chcąc wymusić posłuszeństwo znęcali się nad żołnierzami. Przy czym znęcali się w sposób karygodny. Zażądałem dokładnych meldunków w tej sprawie i postanowiłem twardo, że muszę to w KBW zlikwidować. Postanowiłem wprowadzić dosyć zasadniczą zmianę do życia wewnętrznego i do procesu wychowania żołnierza i stosunków między podwładnymi i przełożonymi w KBW. Opracowałem dyrektywę „02”.

*(Bożena) Dlaczego akurat „02”?*

Bo istniała już „01”, a to był ciąg dalszy. Wprowadziłem następujący zwyczaj. W pierwszym tygodniu przybycia rekrutów do oddziałów, dowódcy kompanii w obecności dowódców plutonów i podoficerów, mieli uświadomić żołnierzy, że służą w wojsku ludowym, i że oni, żołnierze, mają prawo przeciwstawić się, kiedy ktoś się nad nimi będzie znęcać. To znaczy, na przykład: jeśli żołnierz otrzyma rozkaz czołgania się w błocie, lub innego upokorzenia – może tego nie wykonać zgodnie z dyrektywą „02”. Sprawa była delikatna, bo w ten sposób dawało się żołnierzowi prawo niewykonywania pewnych rozkazów. Podniosły się głosy krytyki wśród mojej kadry oficerskiej, początkowo dość trudno było mi mój sztab do tego przekonać. Krzywili się bardzo. Wreszcie ich przekonałem, ale po sześciu miesiącach, po nowym naborze nie było ani jednego samobójstwa w KBW. W tym czasie w wojskach MON było wiele samobójstw. Prokuratura Generalna przysłała mi list z zapytaniem co się stało, że w KBW nie ma samobójstw? Odpowiedziałem i wysłałem im tekst dyrektywy „02”. W wojsku, którym dowodziłem nie było więc dyscypliny sowieckiej, opartej na teorii Suworowa o bezwzględnej

dyscyplinie. Niestety, jak się zwolniłem z wojska, na dowódcę wojsk wewnętrznych, przyszły różne kolejno typy, potem był Pietrzak i wiem, że w latach sześćdziesiątych został wydany rozkaz, aby zlikwidować dyrektywę „02” uważając ją za „hibnerowskie odchylenie”.

## NOTATKI

(Ze znalezionych zapisków Julka)

Jest to próba, bardzo trudna próba odpowiedzi na pytanie: czy byłem stalinowcem? A jeśli byłem, to jak to jest możliwe, że nim byłem. To może wydawać się nie tylko pretenjonalne, ale wręcz wykrętne. Można przecież na takie pytanie odpowiedzieć kilkoma, czy kilkunastoma zdaniami. Wszystko, co jednak próbowałem formułować, podobnie jak wszystko, co usłyszałem od byłych komunistów („byłych” w sensie dawnej aktywności w partii), ludzie niewątpliwie uczciwych i szczerych, uważam za powierzchowne. Mało tego, każda bezpośrednia odpowiedź na takie pytanie, krótsza czy dłuższa, musi być powierzchowna. Ci, którzy ten problem „czują”, a więc gotowi się ze mną zgodzić, mogą z kolei, nie bez pewnej racji, uznać, że pośrednia wypowiedź, jeśli ma być przekonująca, powinna przede wszystkim opisać skomplikowany proces psychologiczno-moralny, ideologiczny, proces społeczno-polityczny zbliżania się do komunizmu, później zaślubienia, często dosłownie na śmierć i życie. Ale był to dramat, często dramat osobisty, który jednocześnie był pasjonującym odkryciem i przeżyciem i najczęściej stawał się treścią życia.

Marzec 1953 – umiera Stalin. Byłem wstrząśnięty. Jest sprawą bezsporną, że jak wielu z nas nie wiedziałem, nie rozumiałem kim i czym naprawdę był Stalin. Miewałem też różne wątpliwości typu ideologicznego i dotyczące bezpośredniej stosowanej władzy w naszym kraju. Niektóre opiszę, ale będę z uporem unikał wyolbrzymiania tych wątpliwości, by nie szukać sztucznego moralnego alibi – alibi przed samym sobą.

Spotkałem w początku lat 50-tych w Zakopanem Lunę Brystigier. Była dyrektorem departamentu politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa. Znałem ją powierzchownie, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że była bardzo inteligentna, bystra, czytana. Starsza ode mnie, pełna wdzięku, z resztkami dawnej dużej urody. Zapytałem ją w czasie jakiegoś spaceru: „czy jest prawdą, że aresztujecie ludzi, o których wiecie, że są niewinni?”.

– Jest to prawda i nieprawda. Prawdą jest, że niektórzy aresztowani są przekonani, że są niewinni, bo nigdy świadomie nie związali się z wrogami Polski Ludowej, czy z wrogami ruchu robotniczego. Ale mogli być związani z różnymi wywiadami, czy ośrodkami wrogimi, sami o tym nie wiedząc. Na przykład K. pracował w Kominternie i przyjaźnił się z M., przedstawicielem Niemieckiej Komunistycznej Partii, KPD. M. po wielu latach został zdemaskowany jako trockista. Skąd możemy być pewni, że K. jest w porządku (zrozumiałem, że przykład nie był zmyślony, że chodziło o Wacka Komara, który został stosunkowo niedawno zaaresztowany). Mogą być przypadki jeszcze bardziej skomplikowane.

Na to powiedziałem, że jeśli tak, to i ją może to osiągnąć a także i mnie. Byłem dwa lata w Hiszpanii i liczo wie, kogo tam mogłem spotkać, już nie mówiąc o ponad czteroletnim siedzeniu w obozach we Francji i w Afryce kontrolowanych częściowo przez francuski kontrwywiad – *Deuxième Bureau*.

– W pewnym stopniu i ciebie i mnie to dotyczy...

Nietęgą musiałem mieć minę, bo zaczęła mnie jakby uspokajać mówiąc półstówkami i w sposób zawoalowany, że w wielu przypadkach istnieją dodatkowe informacje pochodzące z samego „jądra wrogich ugrupowań”.

– Wpływy Stalina są tak olbrzymie – kontynuowała edukację – że jest wielu, którzy albo z przekonania, albo żeby się zabezpieczyć na przyszłość, współpracują, donoszą.

Na moją skromną uwagę, że może być to kanał potwornej dezinformacji, otrzymałem odpowiedź, że nie ze Stalinem takie sztuki. Na zakończenie naszej rozmowy dowiedziałem się, że przy wszystkich pozorach mojej bystrości nie nadawałbym się do pracy w organach bezpieczeństwa. Wykazuję brak

dialektycznego rozumowania i inteligencją mięczykowatość. Opinia ta mnie początkowo nieco zaszokowała, ale potem, jak się nad tą całą rozmową zastanawiałem, doszedłem do wniosku, że zostałem zaszczycony wysokiej klasy komplemtem.

Podobną rozmowę miałem z ówczesnym ministrem bezpieczeństwa Stanisławem Radkiewiczem. Skorzystałem z okazji jakiejś służbowej wizyty i zapytałem za co właściwie zaarrestowano Wacka Komara? Wacka znałem wówczas tylko pobieżnie, co wyraźnie podkreśliłem w rozmowie. Wyraziłem jednak pogląd, że zarzuty mogą polegać na dużym nieporozumieniu. Nie zostałem i „nie zostanę” – jak powiedział Radkiewicz, poinformowany, dlaczego Wacka zaarrestowano. Ale też dodał, że jeśli jest aresztowany, to znaczy, że jest winny. Na moje argumenty, że historia zna wiele przypadków bezpodstawnych oskarżeń i nawet wyroków, na co istnieje określenie *justizmord*, okazało się, że mówię o rzeczach, o których nie mam pojęcia.

– Lepiej takimi sprawami nie zwracaj sobie głowy – powiedział. – Wczoraj zaarrestowano Wacka, a jutro, kto wie może i ciebie...

– Za co? – zapytałem.

– Za co – powiedział głosem, w którym wyczułem szczyptę ironii – mówi się, albo się nie mówi, po aresztowaniu, a nie przed...

Pomówienia o rewizjonizm zaczęły się bodaj po śmierci Stalina. Wiele spraw wyszło wtedy na jaw, szczególnie po referacie Chruszczowa, którego tekst niby był tajny, a który oficjalnie i nieoficjalnie docierał do wszystkich, którzy chcieli się z nim zaznajomić. Nastąpiły początkowe procesy prób destalinizacji. Umarł Bierut, sekretarzem PZPR został Edward Ochab. Działalność Ochaba można scharakteryzować jako umiarkowaną, na tym w tamtych czasach polegała jego mądrość.

Pojęcie rewizjonizmu wymyślono po to, aby w sposób pejoratywny określić tych, którzy chcą rewidować – jak oni mówili – marksizm, ale mieli na myśli system, to znaczy system totalitarny, system rządzenia, kierowania gospodarką i kierowania całością życia społeczeństwa. Ten ożywczy ruch

intelektualny rozprzestrzeniać się zaczął w środowiskach twórczych i uniwersyteckich, a także wśród pewnej grupy aparatu partyjnego. Czuję się właściwie zażenowany, żeby powiedzieć tak trywialną rzecz, że każda ideologia, każdy sposób myślenia wymaga krytycznego spojrzenia, odrzucania stereotypowych myśli i idei. Jest to oczywiste. Nie jest rzeczą przypadku, że nikt z przywódców Partii u nas, czy w ZSSR nigdy nie zdefiniował co to jest ten rewizjonizm, którego się tak bali i zwalczali go. Każda bowiem próba zdefiniowania rewizjonizmu, musiała być tylko jakimś innym rodzajem rewizjonizmu. Ale nie miałem okazji nigdy natrafić na antyrewizjonistę na wysokim intelektualnym poziomie. Jedynym wyjątkiem był Eugeniusz Szyr. Ale jest to postać na tyle ciekawa i w pewnym sensie skomplikowana, że warto o niej pomówić osobno i zrobić to przy odpowiedniej okazji.

Dekompozycja systemu odbywała się na różnych płaszczynach, ale jej głównym elementem był powolny początkowo, ale z czasem coraz wyraźniejszy rozkład aparatu bezpieczeństwa. W opinii publicznej, a więc w opinii tej części społeczeństwa, która popierała przemiany społeczne i gospodarcze, i w opinii sporej części aktywu partyjnego służba bezpieczeństwa stała się synonimem bezprawia, terroru i zbrodni.

Po śmierci Stalina następują pewne zmiany, początkowo mało widoczne, ale na przełomie roku 1954-55 stają się bardziej powszechne. Wychodzą z więzień niewinni ludzie oskarżeni o szpiegostwo lub o wrogi stosunek do panującego systemu. Między innymi bliscy nasi przyjaciele.

Wyszedł z więzienia Julio (nazywany przez nas z hiszpańska „Hulio”) – Wiktor Taubenfliegel. O nim można by książkę napisać. Julio był synem rabina z małego miasteczka w Poznańskim. W latach trzydziestych wyjechał na studia medyczne do Czechosłowacji. Julio, bokser-amator, atletycznej budowy „młody tur”, staje się tam przywódcą antyhitlerowskiej bojówki. Jego działalność przybiera ostre formy i po jednej szczególnie krwawej bójce (którą nazwał „jatką”) zwiewa do Włoch na uniwersytet do Sieny. Jako nowo upieczony lekarz jedzie do Hiszpanii do Brygad Międzynarodowych. Po zakończeniu wojny na wiosnę trzydziestego dziewiątego roku, wraz z grupą lekarzy, pod auspicjami Między-



narodowego Czerwonego Krzyża wysłany zostaje do Chin, które walczą z Japonią. W armii chińskiej brak lekarzy. Ale w Chinach jest dla Julia za spokojnie, więc zaciąga się do armii amerykańskiej. W randze kapitana wojuje z Japończykami w dżunglach Birmy. Operuje rannych, ale też w wolnych chwilach poluje na tygrysy, lub dusicieli-boa. Julio wraca po wojnie do Polski z pięcioma tysiącami dolarów, stanowiącymi odprawę w armii amerykańskiej. Oddaje to do skarbu państwa, bo Polska jest biedna. Jedzie do Gdańska, gdzie dostaje pracę w klinice chirurgicznej Akademii Medycznej. W pięćdziesiątym roku aresztują go. Oskarżony jest o szpiegostwo na rzecz Amerykanów i Czankaj-Szeka. Przewożą go do więzienia, do Warszawy. Tam zaczyna się przesłuchanie. Oficer śledczy każe mu powiedzieć zyciorys. Mówi zyciorys. Następnego dnia znów go wyprowadzają z celi na przesłuchanie. Oficer każe mu powiedzieć zyciorys. Powtarza zyciorys. Kiedy trzeciego dnia oficer śledczy zapytał o zyciorys, Julio zerwał się z krzesła, złapał je w dwie ręce i wrzasnął – jak mi jeszcze raz, ty gnoju, będziesz kazał mówić zyciorys, to ci tym krzesłem łeb rozbiję...

Po pięciu latach wyszedł z więzienia i wrócił do pracy do kliniki Akademii Medycznej w Trójmieście. Był docentem, znakomitym chirurgiem. Koledzy, pacjenci szanowali go i lubili, choć język miał ostry. Popularny był w Trójmieście, gdzie organizował miejskie przychodnie lekarskie. Otrzymał rekompensatę finansową za lata więzienia w Polsce i kupił sobie samochód. Któregoś dnia wezwano go do Komisji Kontroli Partii. Siedzi Pierwszy Sekretarz, Komendant Milicji, Szef Urzędu Bezpieczeństwa. Pytają skąd wziął pieniądze na kupno samochodu?...

– Skąd??? – zagrzmyał. – Idźcie we Wrzeszczu na ulicę Prózną, na rogu jest sklep komisowy. Kupcie sobie pastę do zębów Colgate, rozumiecie, C o l g a t e, umyjcie sobie zęby i... pocałujcie mnie w dupę. – Wstaje, odwraca się i wychodzi.

Kiedy w roku sześćdziesiątym ósmym zaczęła się antysemicka heca, Julia też to dotknęło i wraz ze swoim synem Jurkiem (potem też dołączyła do nich Ewa, jego córka) postanowił wyjechać z Polski. Jechał do Kanady. Dostał

dokument podróży (paszportów takim się nie dawało), a na drogę pięć dolarów. Ostatnie dni mieszkał u nas na Chopina. Odprowadzaliśmy go z Bożeną do pociągu na Dworzec Gdański. Stał w oknie pociągu i płakał. Ten twardy tur.

Wychodzi z więzienia Stasiak Flato. Nazywaliśmy go „Fu”. Należał do najlepszego gatunku ludzi. Był dobry, mądry, szlachetny. Z ludzi, których znałem, tylko Mietek Szleyen był podobny.

Poznałem Staśka pod koniec wojny w Hiszpanii; ten znakomity lekarz okazał się nie mniej znakomitym oficerem sztabowym i dzielnym żołnierzem. Podobnie jak Julio Taubenfliegel z obozu z Saint-Cyprien wysłany został do Chin na wojnę.

Był głównym organizatorem Służby Zdrowia przy naczelnym dowództwie Armii Chińskiej w Czung-Kungu. Względnie szybko opanował język. Poznał Czuen-Laja, który był szefem ósmej armii przy rządzie Czankaj-Szeka, a zarazem Naczelnym Dowódcą Armii Chińskiej w Czung-Kungu. Zaprzyjaźnił się z nim. Toczyła się wojna przeciw Japonii i mimo wspólnego narodowego frontu i wspólnych walk, zdarzało się, że policja Czankaj-Szeka porywała komunistów i... żywcem ich zakopywała. Któregoś dnia Stasiak przypadkowo usłyszał rozmowę dwóch osobników, którzy planowali porwanie sekretarza Czuen-Laja. Upowiedział o tym Czu. Korzystając ze statusu niezależnego organizatora służby zdrowia, ukrył sekretarza w bagażniku swego samochodu i wywiózł w bezpieczne miejsce.

Z Chin wrócił Stasiak po wojnie do Polski, był pułkownikiem, zastępcą Wacka Komara w wywiadzie wojskowym. W roku pięćdziesiątym zaaresztowano go na Okęciu, po podróży służbowej do Stanów Zjednoczonych. Kiedy siedział w więzieniu akurat w tym czasie Czuen-Laj był z wizytą w Polsce i pytał Bieruta gdzie jest Fu-la-to? Na to Bierut miał odpowiedzieć, że Flato jest w Moskwie w ważnej i delikatnej misji...

Miałem możliwość poznać uratowanego sekretarza Czuen-Laja, bo w roku pięćdziesiątym piątym przyjechał do Warszawy na stanowisko Ambasadora Chin Ludowych. Fu już

był na wolności, ale nie chciał mu się narzucać. Wymyśliłem taki kawał. Był pierwszy maja, przed Pałacem Kultury miała się odbyć defilada. Trybuny już się zapełniły, na głównej stali dostojnicy państwowi, partyjni, na bocznej trybunie – dyplomaci. Tuż przed rozpoczęciem defilady przed godziną dziesiątą, wraz ze Staśkiem wolno przeszliśmy przed boczną trybuną. W pierwszym rzędzie stał chiński ambasador, tenże sekretarz Czu. Gdy zauważył Staśka, zbiegł z trybuny i łamiąc konwenanse, na oczach wszystkich, rozcałował się z nim...

Fu, podobnie jak Wacek, był ciężko przesłuchiwany w więzieniu: po czterdzieści osiem godzin pod reflektorami. Nie załamał się, ale wyszedł z więzienia chory na serce. Jeszcze początkowo nie wiadomo było, co z nim zrobić, pracował w Państwowym Instytucie Higieny. Po pewnym czasie zorientowawszy się, że można go wykorzystać w służbie dyplomatycznej, pojechał na placówkę do Chin. Ale go stamtąd odwołano, pewno go dosięgnęła ręka Moczara. Zmarł na początku lat siedemdziesiątych.

Wypuszczono Wacka Komara. W Hiszpanii był znanym, a nawet więcej, sławnym dowódcą 129 Brygady Międzynarodowej, w której skład wchodził batalion jugosłowiański. Jako dowódca był uważany za małego Czapajewa z powodu swojej energii, fantazji i rubaszności. Przed wyjazdem do Hiszpanii działał w Niemczech w antyhitlerowskim ruchu wraz ze znanym działaczem komunistycznym, Bułgarem, Georgy’im Dimitrowem (niesłusznie oskarżonym o podpalenie Reichstagu). Wacka zaarrestowano i oskarżono między innymi za podejrzaną (?) działalność w Niemczech przed dojściem Hitlera do władzy. Wyszedł z mocno nadszarpniętym zdrowiem. Długi czas po wyjściu z więzienia nie był rehabilitowany. Wreszcie dostał pracę. Był dyrektorem małej fabryki tranzystorów na Marymoncie. Aż do czasu, kiedy stał się Dowódcą Wojsk Wewnętrznych.

## POZNAŃ I JAK WACEK KOMAR STAŁ SIĘ DOWÓDCĄ WOJSK WEWNĘTRZNYCH

*(Bożena) Wojska Wewnętrzne miały tak zwaną „dobrą kartę”. Byłeś dowódcą KBW, a potem dowódcą Wojsk Wewnętrznych.*

Tak. Na początku roku pięćdziesiątego piątego zaczęły zachodzić poważne zmiany w Służbie Bezpieczeństwa. Postanowiono wtedy stworzyć dowództwo podległych jednostek wojskowych: Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP) i Służby Łączności. Razem nazwano to Wojskami Wewnętrznymi. Podlegały one Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Mnie mianowano dowódcą Wojsk Wewnętrznych. Już opowiadałem, że będąc dowódcą KBW przeprowadziłem w podległym mi wojsku poważne zmiany. Jeszcze sobie i taki fakt przypominam. W którymś tam roku Rokossowski w jednostkach jemu podległych, to znaczy w Ministerstwie Obrony Narodowej, wprowadził trzyletnią służbę wojskową, uzasadniając koniecznością opanowania nowoczesnej techniki. Ja się temu sprzeciwiłem i obstawałem przy służbie dwuletniej. W raporcie napisałem, że w KBW nie ma konieczności opanowania nowoczesnej techniki, a w ogóle trzyletnia służba jest znęcaniem się nad żołnierzami i ich rodzinami. Wezwano mnie do Prezydenta Bieruta, do Belwederu. Był Berman, Radkiewicz i nie pamiętam, kto jeszcze. Wszedł Bierut i ze wszystkimi się przywitał, tylko nie ze mną. Bierut krzychał: „To wy się znacie lepiej na wojsku niż Marszałek Rokossowski!”. I potem nagle wyszedł. Wtedy powiedziałem pozostałym, że podaję się do dymisji, zajmę się fizyką, a ktoś inny niech dowodzi KBW. Nazajutrz zawiadomiono mnie, że służba w KBW trwać będzie dwa lata.

Wojska Ochrony Pogranicza odziedziczyłem wraz z jego dowódcą, sowieckim pułkownikiem i nie od razu mogłem tam wiele zmienić. Ale trzeba powiedzieć, że już na przejściach granicznych atmosfera nieco się „uczłowieczyła”. Po niedługim czasie dowódcą został nasz pułkownik Dostojewski

i wtedy można było i tam dokonać wielu zmian. Był to już czas „odwilży” i ze strony władz odczuwałem wyraźne poparcie. Nie powiem, żeby to było specjalnie nagłośniane, ale wokół wojsk, którymi dowodziłem atmosfera była bardzo sprzyjająca. Nie wiem, czy gdziekolwiek zachowały się jakieś dokumenty na temat Wojsk Wewnętrznych tego lub późniejszego okresu. Mogę tylko to powiedzieć, że Wojska Wewnętrzne nigdy nie wystąpiły przeciwko tłumowi, nigdy nie wystąpiły czynnie przeciwko robotnikom, co w odniesieniu do organizacji wojskowej, stworzonej w systemie stalinowskim, było jednak niezwykle.

*(Bożena) A Poznań? Pomawiano o to KBW. Jak to właściwie było? Byliśmy wtedy na wakacjach w Czechosłowacji z Wackiem Komarem i Hanką Morawską. Włóczyliśmy się po różnych miastach, łaziliśmy po górach i grotach, oglądaliśmy kościoły, a że w każdej publicznej toalecie wisiał portret Stalina, więc nabijaliśmy się z Pepiczków. Przez radio usłyszeliśmy, że w Poznaniu doszło do rozruchów, są zabici.*

No i zaraz wróciliśmy do Warszawy. Dowiedziałem się szczegółów od Musia, który był wtedy dowódcą KBW.

Zacząło się wszystko od załogi fabryki Cegielskiego. Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego wydało zarządzenie, które faktycznie miało obniżyć płace. Robotnicy zaczęli się przeciwko temu buntować. Minister przemysłu do nich pojechał, bardzo niezręcznie się tam zachował, ale to był już tylko przysłowiowy gwóźdź do trumny.

*(Bożena) Opowiadał nam o tym Jurek Morawski, dobrze znał Poznań. Przez dwa lata tam pracował. Ale w czasie wypadków poznańskich był już sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR.*

Pamiętam nasze rozmowy. Dużo wcześniej, przed wypadkami oceniał on, że sytuacja w fabryce Cegielskiego jest zapalna. Odwrotnie niż w latach zaraz po wojnie, kiedy robotnicy byli przychylni nowej władzy. Tak oceniał. Poznań

zawsze był solidny. Robotnicy tamtejsi rzeczowi, stara gospodarna klasa robotnicza. Nadzieje, że w ich życiu coś się zmieni na lepsze spełżyły na niczym, okazało się że gospodarka jest nieudolna. Poczuli się zawiedzeni, okłamani. No i zaczęło się. Początkowo względnie spokojnie. W jakimś momencie, szef sztabu pułku KBW w Poznaniu, nazwisko do dziś pamiętam – Pocięgiel, zameldował Musiowi, że tłum ruszył na więzienie. Pocięgiel zapytał co robić? Strzelać? Na to Muś: „do tłumy KBW strzelać nie będzie!” Takie samo stanowisko zajął szef sztabu KBW, pułkownik Koniński, kiedy otrzymał telefon z Poznania. I KBW nie strzelało. Tłum zdobył więzienie, rozdano znalezione tam broń. W Poznaniu stała dywizja wojska podległa Ministerstwu Obrony Narodowej. Rozpoczęła się strzelanina. Do Poznania ruszyły dodatkowe dywizje wojska. W sposób niezwykle krwawy zajścia poznańskie zostały stłumione.

*(Bożena) Stosunkowo niedawno, w którąś tam rocznicę Poznania, ukazał się w Polityce artykuł generała Musia. Między innymi pisze on, że kiedy na zebraniu kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych omawiane były przyczyny zajść poznańskich, tyś bardzo się postawił i zaprzeczył, że miałyby to być manipulowana przez imperialistów kontrrewolucja.*

Było to tak:

Co prawda byłem dowódcą Wojsk Wewnętrznych, ale nie należałem do ścisłego kolegium tego Ministerstwa. Ale na to zebranie zostałem zaproszony. Referował sprawę wice-minister Alster. Powtórzył oficjalną wersję, że zajścia sprowokowane były przez imperialistycznych agentów. I taką rezolucję przyjęli. Ja się temu sprzeciwiłem w sposób kategoryczny i postawiłem *votum separatum*. – Gdyby to byli agenci – mówiłem – którzy chcieli wywołać bunt, to pierwszym krokiem działania takich agentów, byłoby przecięcie napowietrznych drutów telefonicznych wysokiej częstotliwości. Jeśli tego nie zrobili, to znaczy są kompletnymi idiotami, co jest mało prawdopodobne. Nie żadna agentura. Było to wywołane przez samych robotników na skutek niezado-

wolenia. Protest przeciwko głupim decyzjom rządu.

Okazuje się, że zachował się protokół z tego zebrania MSW i były oficer KBW pracujący nad historią KBW znalazł to w archiwum. Ale o tym w swojej książce nie napisał...

*(Bożena) Poznań był w czerwcu. Potem wybuchł nasz Październik 56. Niedługo przedtem Wacek Komar został Dowódcą Wojsk Wewnętrznych. Pomówmy więc chwilę o Wacku Komarze. Przesiedział w więzieniu cztery, czy nawet pięć lat. Wyszedł zniszczony fizycznie, zdegradowany ze stopnia generała, okropnie zgnębiony.*

Wacka aresztowano w gabinecie Rokossowskiego. Był wtedy głównym kwatermistrzem wojska polskiego. Został wezwany służbowo i idąc na pierwsze piętro do gabinetu ministra obrony narodowej po drodze spotkał szefa sztabu wojska, generała Korczyca. Korczyk nagle objął Wacka i rozcałował się z nim. Ten niespodziewany przyptyw czułości nieco Wacka zaniepokoił. Czyżby Korczyk był chory? W adiutanturze meldują, że marszałek czeka w gabinecie. Wchodzi Wacek do gabinetu, ale marszałka tam nie ma. Chce wyjść, ale nagle wyskakują uzbrojeni oficerowie, wykręcają mu ręce i zakładają kajdanki.

*(Bożena) Tak, pamiętam, jak to opowiadał. Myślał, że jest zamach stanu w Polsce. Niczego nie był w stanie zrozumieć.*

Początkowo nie rozumiał. Potem zrozumiał, że jest oskarżony o trockizm, o podejrzaną działalność w Niemczech przed dojściem Hitlera do władzy. O podejrzaną działalność w Hiszpanii w czasie wojny domowej i kontakty z Hiszpanami, a nawet z wywiadem greckim przeciwko Komunistycznej Partii Grecji. To ostatnie na skutek wysyłania potajemnie okrętów do Grecji, w latach czterdziestych, kiedy wygasła tam powstanie. Wywiózł wtedy setki rannych do Polski. Wielki ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny stworzył dla nich w Międzywodziu. O całe swoje życie był podejrzany. Wyszedł z więzienia w 55 roku, zupełnie zrujnowany. Potem jeszcze

wiele miesięcy czekał na pełną rehabilitację, na powrót do wojska, a dowódcą Wojsk Wewnętrznych Wacek został w sposób niezwykły.

Latem pięćdziesiątego roku byłem na inspekcji w województwie krakowskim. Już było dobrze po południu, kiedy koło Nowego Targu zatrzymał mnie zmotoryzowany patrol milicji z jakimś majorem na czele. Stwierdziwszy, że ja to ja i że właśnie mnie wszędzie milicja szuka, powiedział, że premier Cyrankiewicz czeka na mnie w swoim gabinecie i prosi, żebym jak najprędzej się tam zameldowałem. Zaniepokoiłem się. Co u licha się stało? Czyżby znowu jakieś wydarzenia? Po pięciogodzinnej popisowej jeździe Adamczyka, a wtedy miałem Citroëna, trochę przed północą znalazłem się w Urzędzie Rady Ministrów. W gabinecie prócz premiera zastałem też Mazura, który był sekretarzem KC i wciąż szarą eminencją. Ukrainiec, były marynarz, bolszewik floty bałtyckiej w czasie rewolucji. Przysłany do KPZU zamaskował się we Lwowie jako żydowski kupiec. Nauczył się polskiego, ale też jidish. Był na pewno bezpośrednim okiem i uchem Moskwy. Bezsparnie bystry i inteligentny, a przy tym elegancki, pełen dobrych manier.

Cyran wyłożył sprawę. Jutro rano Mazur na czele delegacji jedzie do Belgradu, aby wreszcie zażegnać konflikt, który zaistniał w epoce stalinowskiej. Aby nie było kłopotliwej sytuacji, trzeba natychmiast uregulować sytuację Wacka Komara. Musi być opublikowany komunikat o powrocie Wacka do wojska. – Rozumiesz, co znaczy dla Jugosłowian nazwisko Komar – mówi mi Cyrankiewicz. Prawie wszyscy obecni przywódcy byli jego podwładnymi w brygadzie jugosłowiańskiej w Hiszpanii. Będą o niego pytali. Degradacja Wacka ze stopnia generała okazała się bezprawna – ciągnął dalej – ale Rokossowski nie zgadza się, żeby wrócił do wojska. Co zrobić? Czy zgodzisz się, żeby on był dowódcą KBW, lub WOP-u?

Na to nie mogłem się zgodzić, bo przecież nie było powodu zwalniać Musia lub Dostojewskiego. Zaproponowałem więc, żeby poszedł na moje miejsce, żeby stał się dowódcą Wojsk Wewnętrznych. Moje stanowisko przyjęli z aprobatą, lecz ja naiwnie myślałem, że znaczyłoby to moje zwolnienie



z wojska. „W tym barszczu – powiedziałem im – nie ma miejsca na dwa grzyby”.

Jednak oni uznali, że Wacek przesiedział się sporo w więzieniu, nie był nigdy oficerem liniowym i że muszę zostać, żeby go wprowadzić w sprawę. W tym celu mnie mianują wiceministrem spraw wewnętrznych. Ale tylko na sześć miesięcy – o to poprosiłem.

Tak się zaczęła nasza prawie czteroletnia współpraca. Nie wiedziałem, kiedy stawiałem warunek „sześć miesięcy”, że przyjdzie Październik 56 i moje sześć miesięcy znacznie się przedłuży.

Wacek był jedynym znanym mi człowiekiem na wysokim stanowisku wojskowym bez formalnego wykształcenia wojskowego, ani żadnego innego, ale z najlepszymi plebejskimi cechami charakteru i umysłu. Był inteligentny, bystry, bezgranicznie prawy i lojalny, pełen poczucia humoru i naturalnej ludowej rubasznosci. Bez widocznych kompleksów antiinteligentkich, co dowodziło jego bezspornej mądrości.

## CZOŁGI NA WARSZAWĘ

*(Bożena) Był marzec pięćdziesiątego szóstego roku kiedy Chruszczow na dwudziestym zjeździe KPZR wygłosił referat o zbrodniach Stalina. Zaraz po zjeździe umarł w Moskwie Bierut, uczestniczył w obradach wraz z polską delegacją. Oczywiście w Polsce się mówiło, że go tam otruto, albo, że umarł z przerażenia, kiedy usłyszał prawdę o Stalinie. Starzy komuniści coś niecoś o tym wiedzieli, ale moje pokolenie? Ja nawet nie wiedziałam, że przywódców Komunistycznej Partii Polski zamordowano w ZSSR w latach trzydziestych. A ty wiedziałeś?*

Tak, chyba się o tym dowiedziałem w obozie. Nic wtedy z tego nie rozumiałem. Zbyt mało było danych...

*(Bożena) Ale mieliśmy mówić o Październiku 56...*

Odwilż zaczęła się w pięćdziesiątym piątym roku. Ludzie

wychodzili z więzień. Wyszedł Marian Spychalski. Gomułka wyszedł na wolność. Wypuszczono wielu innych niewinnych ludzi. Nastąpił niewątpliwy kryzys władzy. Sytuacja wymagała radykalnych zmian w systemie rządzenia, w partii, w bezpieczeństwie.

*(Bożena) Pamiętasz nasze niedziele spędzane u Morawskich w Konstancinie? To było lato, początek jesieni pięćdziesiątego szóstego roku. Przyjeżdżali tam Matwinowie, Jurek Albrecht, czasem Starewicz. Ola Kozłowska. Pamiętam dobrze, jak dyskutowano kto i kiedy pojedzie do Gomułki na pierwsze rozmowy. Wcale to nie było takie oczywiste. Natolińczycy już się wokół tego zakręcili, a nasi się wahali. Bardzo się wahali. Zнали Gomułkę z okupacji, z pierwszych lat powojennych. Mówili, że jest on wielkim despotą. „Satrapa, prawdziwy satrapa” – tak Ola mówiła „satrapa”, dokładnie to pamiętam. A w ogóle ściany tam drżały. Co się tam nie wygadywało! Rozbierało się PZPR na czynniki pierwsze. Szkoda, że nie notowałam tego wszystkiego. Przecież to był załęczek tak zwanego trendu „młodych sekretarzy”. Jurek, Hanka Morawska, oni szli najdalej w swoich ocenach.*

Jurka znam od dawna. Poznałem go w Warszawie, zanim jeszcze pojechałem do Hiszpanii. Zawsze uważałem, że jest to człowiek wielkiej kultury, inteligencji, bystrości umysłu. Te jego cechy sprawiały, że Jurek mógłby stać się mężem stanu wielkiego kalibru. Wtedy, w pięćdziesiątym szóstym roku, Jurek był jeszcze za młody, by stanąć na czele PZPR. Zresztą ten numer by nie przeszedł. Gomułka był jedynym możliwym rozwiązaniem.

*(Bożena) Jurek opowiadał nam plotki z Biura Politycznego. Ochab miał powiedzieć, „że jeżeli rewizjoniści tyle będą żądać i tak rozrabiać, to zobaczymy czołgi pod Warszawą...” Uważaliśmy, że Ochabowi coś się majaczy. Bardzo żeśmy się z tego śmiali. A jednak?... To już było w połowie października, przyszedłeś do naszego domu na Chopina i powiedziałeś, że coś się dziwnego szykuje...*

Było to tak. Zameldował mi oficer KBW, że na lotnisku wojskowym koło Kielc wylądował samolot z wyższymi oficerami sowieckimi. Lotnisko było nieczynne, niedaleko oddział KBW miał ćwiczenia. Janek Frey-Bielecki, ówczesny zastępca dowódcy wojsk lotniczych, często do nas wtedy przychodził. Opowiedział mi, że do wojskowego hotelu na ulicę Szucha przyjechała duża grupa wyższych oficerów sowieckich. Zobaczyła to z okna mieszkania jego żona. Skojarzyliśmy te dwa fakty. Bardzo nas to zaniepokoiło. Coś się złego szykuje... Ale co? Miało rozpocząć obrady plenum KC, spodziewano się wielkich zmian personalnych. Czyżby przylecieli, żeby do tych zmian nie dopuścić? Zrobić zamach stanu? O przyjeździe tych oficerów zawiadomiłem Jurka Morawskiego i Cyrankiewicza. Mogło to być osiemnastego października. O tym już wiedzieli moi podwładni, generał Muś i pułkownik Dostojewski, oczywiście Wacek Komar. Postanowiłem zawiadomić też dowódcę milicji, generała Dobieszaka.

*(Bożena) Dobieszak wam sprzyjał?*

Uzgodniłem z Dobieszakiem, że tworzymy w całym kraju sieć kontroli milicyjno-wojskowej. Milicja miała gęstą siatkę organizacyjną. Chodziło o obserwację ruchu wojsk, a szczególnie wojsk sowieckich. Działać trzeba było szybko. Już nadchodziły pierwsze meldunki, że ruszyły oddziały pancerne z Legnicy i ze Szczecina. Początkowo kolumny z Legnicy skierowały się na zachód i południowy zachód. Tego manewru nie rozumieliśmy, ale potem już było jasne, że zrobili to po to, aby obydwie kolumny w tym samym czasie dotarły do Warszawy. Tak – kierowali się na Warszawę. Meldunki o każdym ruchu wojsk nadawane były do Komendy Milicji i od KBW. WOP otrzymał zadanie nieprzepuszczania czołgów przez granicę. Szło się na całego. Byłem w ścisłym kontakcie i z Jurkiem Morawskim i z Cyrankiewiczem. Przyszło mi do głowy, że do Warszawy przyjedzie Chruszczow, po to, aby nie dopuścić do zmian na Plenum, czy nawet sprowokować zamach stanu. Ci wyżsi oficerowie, to sztab. Groźnie to wyglądało. Zasugerowałem wtedy Cyrankiewiczowi, że jeżeli

rzeczywiście miałby Chruszczow przyjechać, to może by dla równowagi zaprosić Tito i Mao Tsetunga. Ale uznano, że nie miałyby to sensu. Bo może w ogóle Chruszczow nie przyjedzie... Ale okazało się, że miałem intuicję. W dniu, kiedy się zaczęło Plenum, wylądowali w Warszawie Chruszczow, Mikojan, Mołotow, Kaganowicz, Żukow. Plenum zostało przerwane, a delegacja sowiecka tymczasem pojechała do ambasady i miała być zaproszona do Belwederu na rozmowy. Wtedy ustaliliśmy z Wackiem, że on pójdzie natychmiast do Ochaba, aby uzyskać zgodę na założenie łączności z Belwederem. Chodziło o to, żebyśmy mogli Ochabowi (był wtedy Pierwszym Sekretarzem PZPR) podawać meldunki o ruchu czołgów. Wacek uzyskał zgodę Ochaba, żeby założyć w Belwederze specjalną sieć łączności. Szybko zainstalowaliśmy telefony, nie było to trudne, bo za łączność w ministerstwie ja odpowiadałem. Dowodziłem personelem technicznym, miałem odpowiedni tabor techniczny. W pokoju obok sali obrad miał dyżurować Zbyszek Paszkowski, który był wtedy Sekretarzem Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa. „Stasio-Nosek” z waszego AL.

*(Bożena) Tak, produkował granaty, a w czasie Powstania Warszawskiego walczył na Przyczółku Czerniakowskim.*

Znakomity, bystry, inteligentny facet. Mieliśmy mu podawać informacje o ruchu wojsk, a on z kolei miał o tym na bieżąco informować Ochaba. I tak było.

*(Bożena) A co się działo z Jankiem Freyem w tym czasie?*

W tym czasie, a może nieco wcześniej, Freya-Bieleckiego wysłano do eskadry do Poznania. Nie pamiętam, czy karnie, bo on się ciągle narażał „górze”, czy z powodów czysto wojskowych. Ale byłem z nim w stałym kontakcie, także w ścisłym kontakcie byliśmy z kontradmirałem Wiśniewskim, dowódcą marynarki wojennej. Musiowi dałem rozkaz absolutnego zatrzymania czołgów, jeśli by próbowały wjechać do Warszawy.

*(Bożena) Bramy koszar KBW były otwarte, wojsko na ciężarówkach w pogotowiu. Ty ze słuchawką w ręku, odbierasz meldunki. Przed tobą na biurku mapa. Powiedziałeś sobie: jeśli czołgi sowieckie przekroczą taki to a taki punkt, dajesz rozkaz: Ruszamy. I jak to wtedy nam opowiadałeś: „na całe szczęście do tego miejsca nie doszli”. Jakie to miało być miejsce?*

Pamiętam dokładnie, chodziło o most Poniatowskiego. Dostaliśmy meldunki, że na Saskiej Kępie już widziano „regulirowaczyków”, a czołgi zatrzymały się niedaleko Żerania.

*(Bożena) Staszewski, ówczesny sekretarz PZPR Warszawy, mówił, że KBW miało rozdać broń robotnikom...*

Ja naprawdę nie wiem, dlaczego Staszewski mógł sobie taką rzecz wymyślić. Po co mu to właściwie było? Dobrą rolę odegrał on w październiku i takie brednie potem opowiadał. Nie było mowy o rozdawaniu broni cywilom. Do czego by to doszło? Do rozruchów ulicznych? W tym czasie odbywał się Zjazd Dąbrowszczaków w Warszawie. Nie mogłem w nim cały czas uczestniczyć, ale wpadłem tam na krótko. Zabrałem głos, opowiedziałem, jaka jest sytuacja. Podniosły się głosy, żeby rozdać broń. Dąbrowszczacy chcą stanąć w obronie Warszawy. Powiedziałem, że w żadnym wypadku broni rozdawać nie będziemy. Doszło do przykrew konfuzji; jeden z Dąbrowszczaków, agresywnie przeciwko mnie wystąpił i krzyczał, że zaraz tu przyjedzie ciężarówka z bronią i czy ja chcę, czy nie chcę, broń będzie rozdana. Niczego takiego nie było.

*(Bożena) Byliście w stanie obronić Warszawę?*

Nasze działanie miało przede wszystkim na celu obronić Belweder, Urząd Rady Ministrów, gdzie się odbywały obrady Plenum. Chodziło o to, żeby nie dopuścić do zerwania obrad, do aresztowań. Otrzymałem wiadomość, że Witaszewski, który był wtedy szefem Zarządu Politycznego wojska szykuje zamach stanu, aby nie dopuścić do zmian personalnych na Plenum. Wtedy rozlokowaliśmy stuosobową grupę office-

rów KBW w podziemiach Urzędu Rady Ministrów. Mieli zareagować w razie jakichś niepożądanych działań zewnętrznych. Ale do tego szczęśliwie nie doszło. Najbliższe jednostki, którymi dysponowaliśmy, to brygada w Górze Kalwarii. Poleciałem Musiowi, żeby część tego wojska, zwłaszcza zmotoryzowane grupy fizylierów, motocyklistów z karabinami maszynowymi, ściągnąć do Warszawy. W Warszawie był też pułk ochrony Rządu, saperzy, wartownicy, ale nie były to jednostki bojowe. Byliśmy gotowi do działania, wtedy, kiedy to by się okazało konieczne. Mieliśmy około czterech tysięcy żołnierzy, trzy i pół tysiąca. Trzeba jeszcze dodać, że część wojsk pancernych polskich na rozkaz Rokossowskiego dołączyła do kolumn sowieckich. Jest to fakt bezsporny!

*(Bożena) O tym się wtedy nie wiedziało! Natomiast pamiętam, że do nas do domu przychodzili jacyś oficerowie z MON-u i z tobą konspirowali.*

Tak, to prawda. W ogóle uważaliśmy, że jeśli by do czegoś doszło, sporo oddziałów z MON-u podległych Rokossowskiemu przeszłoby na naszą stronę.

Obserwowaliśmy ruchy czołgów, było jasne, że czołgi idą na Warszawę. I dokładne meldunki przekazywaliśmy Zbyszkowi Paszkowskiemu, a Paszkowski co pół godziny podawał Ochabowi kartki z meldunkami o pozycjach czołgów. Ochab pytał Żukowa i Rokossowskiego, co to oznacza? Oni na to, że są to normalne wojskowe manewry...

*(Bożena) Dostajecie meldunki z całego kraju. Jesteś w stałym kontakcie z Dobieszakiem, z Freyem-Bieleckim...*

Frey był bardzo bojowy. Nie był moim podwładnym, ale mi o wszystkim meldował. Ni mniej ni więcej, ale część eskadry była załadowana bombami i gotowa do ataku. Radziłem, żeby był bardzo ostrożny. Kontradmiral Wiśniewski był w pogotowiu. Kiedy kilka okrętów zbliżyło się do wód terytorialnych, dał znak sygnałami: „Nie zbliżać się. Nie macie prawa do przekroczenia wód terytorialnych!” Wobec tego się zatrzymali. Dwie strażnice WOP-u zatrzymały czołgi.

*(Bożena) A co by było, gdyby doszło do konfrontacji? Gdyby się te czołgi nie zatrzymały na moście Poniatowskiego?*

Byłoby źle. Ale innego wyjścia nie było.

*(Bożena) Czyli wojna nerwów. Obrona moralna. Chruszczow zrozumiał, że ma twarde orzech do zgryzienia. Pułkownik Kukliński, który zwiął z Polski w czasie stanu wojennego w osiemdziesiątym pierwszym roku napisał, że może by do stanu wojennego w Polsce nie doszło, gdyby Jaruzelski miał tę odwagę, którą miał Gomułka i Ochab. To powiedział Kukliński. Oni prócz odwagi mieli też poczucie, że są na bieżąco informowani i mają wsparcie wojskowe.*

Dochodzimy do pytania, na które należy odpowiedzieć. W jaki sposób postawa Wojsk Wewnętrznych wpłynęła na decyzję Chruszczowa, że czołgi się wycofały, a delegacja sowiecka odjechała? Oczywiście na to pytanie nie można jednoznacznie odpowiedzieć. Ale uważam, że naszymi informacjami dodawaliśmy siły Ochabowi. Miał w ręku fakty, miał argumenty. Chruszczow zrozumiał, że za Ochabem i Gomułką stoi poważna część wojska. Chruszczow nie mógł nie wiedzieć, że Wojska Wewnętrzne są w pogotowiu. Na bieżąco nadchodziły meldunki o ruchu kolumn sowieckich. Chruszczow po prostu się zląkł, zrozumiał, że tak łatwo mu ten numer nie przejdzie. A zapewne nie chciał dopuścić do konfrontacji zbrojnej. I w związku z tym sądzę, że nie będzie przesadą powiedzieć, że w takim a nie innym zakończeniu tego bardzo poważnego konfliktu, który nie wiadomo, jak by się rozwinął, udział Wojsk Wewnętrznych jest bezsporny.

*(Bożena) Trochę to dziwne, że intelektualiści, historycy, politycy, oceniając Październik 56 opisują przede wszystkim polityczną, czy fabularną stronę tej niewątpliwej rewolucji, a nie biorą pod uwagę znaczenia wojskowego. Gdyby tego nie było, to wiece na Politechnice Warszawskiej zostałyby rozgromione, tak jak to było później w sześćdziesiątym ósmym roku, czy w roku siedemdziesiątym na Wybrzeżu.*

## POLITECHNIKA WARSZAWSKA ROK 1956

Bożena Puchalska (*Wiadomości Kulturalne*, nr 42, 1996)

Niespodziewanie zadzwonił do mnie sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR Zdzich Kaczmarek: przyjdź natychmiast na Politechnikę, coś się tu szykuje! Były to czasy gorące. Wypadki, referat Chruszczowa obnażający część prawdy o ZSSR; wypuszczanie z więzień niewinnie oskarżonych ludzi i to wielu moich bliskich i bliskich przyjaciół mojego męża, Julka Hibnera. Wszędzie wrzało. Umarł Bierut, Ochab został sekretarzem Partii, Jurek Morawski wrócił do łask i w czasie spotkań niedzielnych opowiadał nam z czym się zgadza, a z czym się nie zgadza z Ochabem i w ogóle z władzą. No więc wrzało. Wszystko to sprawiało, że właściwie bywałam na Politechnice rzadko, może wyłącznie tylko na moich zajęciach ze studentami. Pracownia mikroskopii elektronowej, za którą w katedrze fizyki byłam odpowiedzialna, stała odłogiem, a ja oddana byłam całkowicie temu, cośmy nazywali O d n o w ą . Naprawdę wtedy wierzyliśmy, że potrafimy przełamać zasklepiące umysły partyjnej konserwy i stworzyć nowy model socjalizmu.

No więc przyszłam na wezwanie Zdzicha Kaczmarka, było to chyba w połowie października i wpadłam na zebranie egzekutywy komitetu partyjnego. Nie należałam do egzekutywy, ale łączyła mnie przyjaźń ze Zdzichem i dawne wspólne wzmaganie o dobro Politechniki. Obecny był Staszewski, sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR i przewodniczący uczelnianego zarządu ZMP, kolega P. Kolega P. ogromnie się awanturował, że musi zorganizować wiec na Politechnice. Na Uniwersytecie codziennie odbywają się wiece, my nie możemy pozostać w tyle – mówił. Studenci się tego domagają. Na nic się zdały argumenty Staszewskiego, który mówił, że nauczeni wypadkami w Poznaniu, powinniśmy unikać wielkich akcji, które mogą się krwawo skończyć.

Już nazajutrz odbyło się dość gwałtowne zebranie, zorganizowane przez ZMP w małej auli gmachu głównego Politechniki. Zaczęło się od razu ostro. Cudem uniknął pobicia



Bogu ducha winny student, o którym mówiono, że jest synem Kłosiewicza, ówczesnego sekretarza związków zawodowych. Był kompletnie zaszczyty przez grupę studentów. Na zebranie zaproszeni byli ludzie z Uniwersytetu Warszawskiego i do rozegzaltowanych uczestników przemawiał Jacek Kuroń, którego wygwizdano. Potem mówił Krzysz Pomian, też go wygwizdano, ale mimo to, wybrano przewodniczącym następnego wiecu, który miał się odbyć nazajutrz, już nie w tej małej auli, ale w dużej auli Politechniki.

Nazajutrz od rana byliśmy na uczelni, my z Politechniki i grupa z Uniwersytetu. Główna aula była radiofonizowana i na wprost wejścia stało małe podium z mikrofonem. Wiadomość rozeszła się po Warszawie i do bram Politechniki zaczął walić tłum. Wystraszony portier chciał zamknąć bramy gmachu głównego. Wprost przeciwnie, trzeba je było zostawić otwarte, żeby tłum nie zbierał się na ulicy. Obawialiśmy się prowokacji. Wiadomo już było, że do Warszawy przyjechała z ZSSR nie proszona grupa wyższych oficerów. Było to złowieszcze. Miało się odbyć plenum Komitetu Centralnego PZPR, spodziewano się zmian w jego kierownictwie, do czego Chruszczow, który także przyleciał do Warszawy, nie chciał dopuścić. A w ogóle polska odwilż przez towarzyszy sowieckich była źle widziana. Nasz ruch odnowy nazywali kontrrewolucją. Delegacja z Moskwy przyjechała, a równocześnie ruszyły w stronę Warszawy czołgi. O prowokację nie było trudno.

Tego dnia i w czasie następnych dni nieustającego wiecowania już tak żeśmy się usprawnili, że kiedy pierwsze grupy podchodziły do placu przed Politechniką, instalowało się natychmiast mikrofony, uruchamiało głośniki, otwierało się bramy gmachu głównego, aby tylko nie dopuścić do zamieszek ulicznych. Tłumy waliły do auli, my byliśmy lekko przerażeni narastającą falą społeczną, której temperatura z dnia na dzień się podnosiła. Przy jakimś błędzie z naszej strony, czy ze strony ówczesnych władz, milicji, bezpieczeństwa, wojska – mogło się groźnie zakończyć. Wtedy ja, lub ktokolwiek inny dzwonił na Żerań do Goździka: Przyjeżdżajcie natychmiast! Żerań był wtedy naszą opoką. Goździk i Żerań. Robotnicy z Żerania stali zwykle na krużganku z prawej strony dużej auli.

Braliśmy wspólną odpowiedzialność za to, co się działo. Wszyscy chcieli zmian i odnowy, ale jednocześnie obawialiśmy się prowokacji.

Aula wrzała. Było to piękne i groźne. Politechnika stała się wielką masową trybuną polityczną. Każdy mógł przyjść, każdy mógł przemawiać. A zbierała się tam „cała Warszawa”: studenci, naukowcy, dziennikarze, robotnicy, ludzie kultury. Wszyscy. Wydawało się nieraz, że tłum się wyleje na ulice. Mówcy domagali się zmian. Sala gorąco aprobowała. Co chwila żądano uchwalenia innej rezolucji. – Ma być orzeł z koroną! – ktoś zawołał. – Uchwalić! Rezolucja! Niech będzie orzeł z koroną. – Romek Zimand i Heniek Gawlik byli absolutnie genialni. Nieocenione nasze „biuro prasowe”. Natychmiast mam napisaną rezolucję o orle z koroną. Wpadam na dół, podaję kartkę mówcy. Sala bije brawo. Ktoś niezwykle głośno domaga się przyjazdu do Polski generała Andersa. – Romek, Heniek, piszcie szybko rezolucję o Andersie! – Tłum się uspokaja. Ale nie na długo. Przemawia robotnik z Huty Warszawa, demagogicznie, prowokacyjnie. Wzywa robotników do większych akcji. Tłum faluje. Jest niedobrze. Potrzeba dobrego mówcy. – Dam każdemu 500 złotych – mówi podniecony Krzysz Pomian – kto mi powie, o czym mam teraz mówić... – Wchodzi na trybunę. Rozładowuje napięcie.

Goździk był mówcą znakomitym. A przy tym był to człowiek czarowny. Najbardziej rozgrzankowana aula się uspokajała. Mówił świetnie. Był autentycznym trybunem ludowym. Ale byli inni, którzy się do mikrofonu dorywali. Jedni mądrze mówili, inni głupstwa pletli. Pewien dzielny partyzant z AL chciał ogłosić, że uruchomi wszystkie syreny w Warszawie na jakiś alarm. Tylko tego było potrzeba! W ostatniej chwili zepchnęłam go ze stopni trybuny. Kto prowokował, a kto powtarzał ploty? Ktoś histerycznie wrzasnął: Generał Frey-Bielecki zaaresztowany! Nieprawda – mówi Heniek Gawlik, który jest przy mikrofonie. Prawda! Prawda! – krzyczą. Biegnę do telefonu. Dzwonię do Julka: Czy Frey jest zaaresztowany? – Bzdura – mówi Julek – przed chwilą z nim rozmawiałem. Jest w Poznaniu ze swoją eskadrą lotniczą. Pytał o ruch czołgów, chce być w pogotowiu. Kartka dla

Heńka Gawlika: Frey-Bielecki jest zdrow i cały. Jest w Poznaniu. A tu znowu jakiś alarmujący głos: – Czołgi sowieckie wjeżdżają do Warszawy. Zdenerwowanie. Ja do telefonu: – Co z czołgami? – pytam. – Czy to prawda, że wjeżdżają do Warszawy? Nieprawda – mówi Julek. Zatrzymały się koło Żerania.

Już żeśmy tak cztery chyba dni wiecowali, może był to już dwudziesty października i po kolejnej rezolucji o dalszym wiecowaniu, znalazłam się wreszcie w domu. Wieczorem zadzwonił ktoś z Komitetu Warszawskiego PZPR i powiedział, że tej nocy mają być aresztowania organizatorów wieców na Politechnice. Miałam nie nocować w domu. Wydzwoniłam moją kumę, Jankę Ludawską, żeby do mnie przysłała, no i tak czekałyśmy we dwie, co to będzie. W pokoju obok spała moja mała Ula. Około północy wpadł na chwilę Julek. Bardzo zdenerwowany. Powiedział, że rozmowy w Belwederze między Chruszczowem a Biurem Politycznym są zaciekle i wygląda na to, że nie dochodzą tam do porozumienia. Poinformował go o tym pułkownik Zbyszek Paszkowski, który jako oficer z ochrony Belwederu siedzi przy telefonie obok sali obrad. Opowiadam Julkowi, że na Politechnice mówi się o stawianiu barykad wokół Warszawy. Możliwe – śmieje się Julek – w takiej sytuacji znajdziemy się razem na jednej barykadzie... Na to Janka: Przypnij sobie przynajmniej do munduru swoją gwiazdę bohatera Związku Sowieckiego, żeby ruscy czołgiści wiedzieli do kogo strzelają...

Wreszcie nad ranem w Belwederze doszło do porozumienia. Chruszczow, Kaganowicz, Mikojan, Mołotow opuścili Warszawę. Czołgi rozpoczęły odwrót do swoich baz. Jakaś polowa kuchnia zawieruszyła się tylko na Woli. Chruszczow wyraził zgodę, żeby pierwszym sekretarzem partii został Gomułka.

Ale wiece na Politechnice trwały nadal. Temperatura nie opadała, a nawet można powiedzieć, że się podniosła. Wiecowicze bardzo hucznie przyjęli wiadomość o Gomułce. Chcieli, aby ich reprezentant wystąpił na plenum Komitetu Centralnego PZPR, które właśnie obradowało. – Niech wiedzą, co myślą studenci, jakich domagają się zmian! Jesteśmy za odnową – wołał z trybuny rozgorączkowany szczupły stu-

dent z wąsikiem. – Wybrać delegację! Przegłosować! Rezolucja!

Goździk i inni mówcy starali się przekonać salę, że zmiany nastąpią, że delegacja z wiecu na Politechnice może być bardzo istotna, ale nie należy przeszkadzać w obradach. Sala wrzała. No więc była kolejna rezolucja. W myśl rezolucji odpowiedź z Komitetu Centralnego miała być nie później, jak następnego dnia rano. – Rano wszyscy przychodzą na wiec – rozkazał student z wąsikiem. Nie ma odpowiedzi z KC, wszyscy idą pod gmach KC!!! Brawa! Brawa!

Wbrew temu, co myśleli wiecownicy, plenum partii nie obradowało w gmachu KC na Nowym Świecie, a w Urzędzie Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich. Już nie pamiętam, jak się tam dostałam. Poprosiłam kogoś, żeby wywołał Jurka Morawskiego w bardzo pilnej sprawie. Wyszedł Jurek i rozmawialiśmy w małym korytarzyku obok sali obrad. Powiedział mi, żebym mu głowy delegacją z Politechniki nie zawracała, kiedy na plenum decydują się bardzo istotne sprawy o przyszłości naszego kraju. Chyba go zwymyślałam, pamiętam, że mu powiedziałam, że w ogóle oni wszyscy nie mają pojęcia o nastrojach ludzi. Następnego dnia już było wiadomo, że Gomułka przyjmie delegację. Student z wąsikiem był jej przewodniczącym. Ale jak wszedł na to spotkanie, miał nietęgą minę. Przeraził się swojej misji.

Tego dnia w czasie trwania wiecu środkiem auli wkroczyła grupa oficerów KBW z pułkownikiem Konińskim na czele. Kto ich wezwał? Struchlałam. Dosłownie struchlałam. Co będzie? Ale ku mojemu zdumieniu sala urządziła im wielką owację. – Niech żyje KBW! – krzyczeli. Pułkownik Koniński wszedł na mównicę i palnął płomienne przemówienie, był to mówca z bożej łaski. Mówił o potrzebie odnowy. Jak by się to nie wydawało dziwne i jak by to potem różni politycy chcieli zakłamać i dla siebie zdyskontować – KBW było październikowe.

Wydawało się, że już koniec z wiecami. Mikrofony, głośniki pochowano w magazynie, drzwi do gmachu głównego zostały zamknięte. To już był 24 października. Gomułka był sekretarzem KC. Trwał wiec na placu Defilad przed Pałacem Kultury. Do zebranych tłumów przemawiał

Gomułka. Przemówienie było zbyt krótkie. Wiec prędko się zakończył, a wielotysięczne tłumy zebrane na placu oczekiwały czegoś więcej. Zadzwoiła do mnie Helena Jaworska, przewodnicząca Związku Młodzieży Polskiej, ZMP. Okropnie była zdenerwowana i powiedziała, że z placu Defilad uformował się duży pochód i ruszył na sowiecką ambasadę. Hasła i wrogie okrzyki. Prowokacja? Głupota? Prosiła, żeby natychmiast otworzyć bramy Politechniki, bo ludzie z zarządu ZMP i redakcji *Sztandaru Młodych* już są na czele tego tłumy i postarają się go skierować na Politechnikę.

Więc wszystko od nowa. Zawiadamiamy Rektorat, szukamy portiera, aby otworzył drzwi do hallu gmachu głównego. Mikrofon, głośniki. Hall gmachu głównego szybko się zapełnia, a ku mojemu zdziwieniu stwierdzam, że lokal komitetu partyjnego jest zamieniony na tymczasowy mamer, czyli areszt. W charakterze więźniów widzę dobrze mi znanych kolegów z ZMP i ze *Sztandaru Młodych*, co mnie mówiąc szczerze dobrze ubawiło. Pytam bezpieczeniaka, który ich pilnował, dlaczego są zaaresztowani? Okazuje się, że uznano całą czołówkę pochodu za prowodyrów marszu na ambasadę. Zaraz ich zwolniono.

W pierwszych dniach listopada ponownie zapełniła się aula Politechniki. Był wiec przeciwko wkroczeniu wojsk sowieckich do Budapesztu, wiec solidaryzujący się z Węgry. Niedługo potem w dużym audytorium na Wydziale Chemii, odbyło się zebranie partyjne całej Politechniki. Około tysiąca osób na sali, a może i więcej. Były bardzo mocne wystąpienia. Wielu mówców potępiało wiece na Politechnice, a nas, którzy brali udział w wiecach, nazywano rewizjonistami, co miało być oskarżające. Kolega P. oskarżał Staszewskiego, że dla osobistych celów podjudzał Politechnikę do robienia wieców (!). Wiało betonem partyjnym. Natolińcy mieli na Politechnice duże wpływy.

A w Warszawie jeszcze długo się mówiło o wiecach na Politechnice. Październik na Politechnice!! Odnowa. I była odnowa. Październik 56 zapoczątkował nową erę w Polsce.

## GOMUŁKA I INNI

(Z notatek Julka)

Październik 56. Delegacja sowiecka z Chruszczowem opuściła Warszawę, czołgi zawróciły do swoich baz. Duże wytchnienie. Jednak napięcie nie ustaje. Wczoraj Gomułka przemawiał do blisko pół miliona ludzi na placu przed Pałacem Kultury. Akcenty jego przemówienia nieco inne niż te wygłoszone tydzień temu na Ósmym Plenum. Ale uspokajanie umysłów jest bezpośrednią koniecznością. Trzeba wszystko utrzymać w rozsądnych granicach. Jak dotychczas wszystko idzie nieźle. W zakładach pracy, na uczelniach, głównie na Politechnice, na ulicy, w domach prywatnych gorączka granicząca z entuzjazmem. Stało się coś wielkiego. I wielka Nadzieja. Podobne nastroje w podległym mi wojsku. Świadomość, że w dramatycznych chwilach KBW i WOP były po stronie ludzi, razem z narodem, oddaje nam wszystkim dużo otuchy, nas uskrzydla. Ale jest i działa „konserwa” partyjna – Natolin i każda prowokacja jest możliwa. Wiadomo, że na Węgrzech są wielkie demonstracje, istnieje rodzaj sprzężenia zwrotnego z Węgrami.

Jestem u siebie w pracy. Dzwoni telefon, okazuje się, że dzwonią z gabinetu pierwszego sekretarza PZPR, Gomułki. Proszę, żebym natychmiast przyjechał do Komitetu Centralnego, Gomułka chce się ze mną widzieć. Myślę, że zrobiono mi dobry kawał. Sprawdzam i dzwonię do sekretariatu Gomułki, ale jednak nie kawał. Ktoś bardzo zdenerwowany potwierdza zaproszenie. Wsiadam do samochodu, w kilka minut jestem na miejscu. W sekretariacie nastrój bardzo nerwowy, natychmiast wprowadzają mnie do gabinetu Gomułki. Na biurku pełno papierów. Nieład. Gomułka ciężko wstaje na powitanie, wyraźnie jest zmęczony. Pot mu spływa z twarzy i nawet go nie ociera. Prosi żebym usiadł i wręcza mi zieloną kartkę. Jest to depesza od ambasadora Willmana z Budapesztu. Przed kilkoma godzinami czołgi sowieckie otworzyły ogień do demonstrantów. Są zabici i ranni.

– Czy rozumiecie co się stało? – pyta roztrzęsionym głosem Gomułka.

– Rozumiem.

– Czy wiecie, co by było, gdyby się to u nas stało?

– Wiem.

– Otóż, jeśli by się TO stało, naszemu krajowi groziłaby pełna zagłada. Zgadzaście się ze mną?

– Tak.

– Nie możemy do tego dopuścić. Czy wiecie jaka jest sytuacja w MON-ie, w wojskach podległych marszałkowi Rokossowskiemu?

– Z tego, co wiem – mówię – w jednostkach MON-u są powszechne elementy rozkładu. Brak elementarnej dyscypliny. Rozkazy nie są wykonywane. Im wyższy szczebel je wydaje. Przyczyny są jasne.

– Co macie na myśli?

– Nie chcą słuchać radzieckich oficerów, którzy są na wysokich szczeblach dowodzenia.

– A czy możecie ocenić sytuację w milicji?

– Tylko ogólnie. Nie umiem ocenić organizacji i metod dowodzenia. W ostatnich tygodniach w oczach opinii publicznej milicja była neutralna. Ale nie ma ona żadnego autorytetu w społeczeństwie, a czasem jest nawet przedmiotem kpin.

– Ale przecież nie ma tam radzieckich oficerów?

– Nie ma. Co z tego? Może się mylę, ale sądzę, że na milicję nie można poważnie liczyć.

– A teraz pytanie najważniejsze. Czy jest to prawda, że w wojskach, którymi wy dowodzicie nie ma radzieckich oficerów?

– Prawda.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– Pytanie drugie: Czy wobec tego wasze jednostki wykonają wszystkie rozkazy?

– Moje rozkazy. Tak.

– A gdyby się zaczęły rozruchy?

– Nie wydam rozkazu, żeby podległe mi wojsko strzelało do tłumów, niezależnie od tego, jak się ten tłum zachowa...

Chwila milczenia.

– Zrobicie, jak uważacie – mówi ciężko. – Nie widzę, jak można będzie opanować sytuację, gdyby...

– Opanowywaliśmy już ją ostatnio niejednokrotnie bez użycia broni. Przed Komitetem Centralnym, kiedy tłum się tam zebrał, przed Ambasadą Radziecką i nie tylko. Istnieje mit niebieskich otoków. Ludzie nam ufają.

– Nadchodzą bardzo ciężkie dni, musimy być do tego przygotowani.

– Tak, ale...

– Ale zrobicie, jak uważacie. Waszemu ministrowi o rozmowie nie musicie mówić. Sam mu powiem.

Znów chwila ciszy. Wydaje mi się, że jeszcze chce mi coś powiedzieć, coś jeszcze wyjaśnić... Szuka jakichś myśli. Powoli wstaje, żegna się i chyba w tym uścisku dłoni była jakaś nieuchwytna serdeczność. Był bardzo ludzki, na pewno szczerzy, słaby wobec sytuacji, nawet bezsilny. Myślałem, że taka obnażona słabość może być znamieniem Wielkości. Miałem przed sobą człowieka, który ociera się o Historię i tę Historię kształtuje. Nie wiedziałem, że w tym człowieku zwycięży małość, małostkowość, że ten człowiek szukał będzie sojuszników, nie takich jak ja, ale pochlebców, sługusów i apologetów i to według własnego wyboru. Nie wiedziałem, że ten człowiek nie potrafi chwilowej słabości i bezradności, niezawinionej, stworzonej przez niezwykle okoliczności, ale przede mną ujawnionej, przyjął po ludzku. Przyjął to jako upokorzenie i żeby to upokorzenie zrekompensować, okaże się mściwy i najogólniej mówiąc – dla mnie bardzo nieprzychylny. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero później. Wtedy z jego gabinetu wyszedłem pod dużym wrażeniem tego człowieka.

Zaraz po wyjeździe „gości” zorganizowałem naradę starszych oficerów, którzy wyraźnie stali po stronie Października. Byli to Komar, Muś, Frey-Bielecki, Duszyński, Fonkowicz, Mankiewicz, Heinrich i dwaj pułkownicy z Zarządu Politycznego Wojska, którzy się ze mną dyskretnie kontaktowali.

Może tu słowo o Freyu-Bieleckim, z którym się ogrom-



nie wtedy zaprzyjaźniłem. Był zastępcą dowódcy Wojsk Lotniczych, generała Turkiela, pierwszym polskim pilotem, który latał na ponaddzwiękowych myśliwcach. Też znakomitym narciarzem. Pochodził z Łodzi, z rodziny o koligacjach niemieckich. Stąd jego prawdziwe nazwisko, Frey. Szlachetny i odważny, lojalny niezwykle. Rozumieliśmy się doskonale. Można powiedzieć byliśmy na tej samej „długości fali”. Niemal we wszystkim byliśmy zgodni: z oceną partii, wojsk i koniecznością zmian. Zdawało nam się, teraz to widać, jakże naiwnie, że po udanych rozmowach w Belwederze, można by wyjść z projektem o wycofaniu wojsk ZSSR z Polski. Tak też uważali inni wyżsi oficerowie, których zaprosiłem na naradę. Postanowiliśmy rozpocząć rozmowy na ten temat z przedstawicielami nowo wybranych władz partyjnych. No i te rozmowy zaczęliśmy prowadzić, ale niedługo potem zostały one przerwane. Gomułka zakazał dalszych rozmów. Rozeszła się wiadomość, prawdopodobnie kolportowana przez Moczarą i Korczyńskiego, że jest pucz generałów: Hibnera, Komara i Freya-Bieleckiego. Chcą zerwać Układ Warszawski.

Korczyński był na śmierć i życie oddany Gomułce. Dobrze go znałem, bo po wojnie w Hiszpanii byliśmy razem w obozie w jednym baraku. Sympatyczny i bojowy był to chłopak. Był jednym z tych przerzuconych w czasie okupacji do Polski i w partyzantce AL stał się dowódcą dużych oddziałów na Lubelszczyźnie. Różne o nim krążą pogłoski. Na przykład te, że dawał wyroki na Żydów w czasie okupacji. Może to i prawda. Ale nie dlatego, że byli Żydami, ale że rekwirowali żywność u chłopów. Grzegorz był znany z tego, że był człowiekiem bezwzględny. Powinien był się zastanowić, że tych biednych, wygłodzonych Żydów, którzy uciekli z getta, należało srodze ukarać, a nie rozstrzeliwać.

A Moczar? Nie chcę wchodzić w meandry psychologii Moczarą. Według mnie był to od początku do końca zbir. Sądzę, że się różnym instancjom wysługiwał i wierutne kłamstwa mówił. Ale, że Gomułka w to wszystko wierzył? To raczej jest godne potępienia. Przecież w czasie rozmów w Belwederze widział, że Ochab otrzymywał meldunki, pokazywał je Żukowowi, a Żukow nie zaprzeczał. Mówił, że to zwykłe wojskowe manewry... I Gomułka wierzył Moczarowi,

że rewizjoniści wszystko to sobie wymyślili, że chcieli doprowadzić do konfliktu polsko-sowieckiego. Gomułka naprawdę uwierzył, że nie było żadnych czołgów pod Warszawą. Zdumiewające!

Odbyła się narada aktywu sił zbrojnych w sprawie Rokossowskiego. Siedziałem w prezydium koło Spychalskiego i Gomułka. Słyszałem ich rozmowy. Gomułka starał się przekonać Spychalskiego, który był wiceministrem obrony narodowej (a zaprzysięgał się latem w Juracie, że zajmie się tylko i wyłącznie architekturą i na dowód tego nosił w kieszonce koszuli kreślarski ołówek), że Rokossowski w dalszym ciągu powinien być ministrem obrony narodowej. A wtedy sytuacja w wojsku była fatalna. Panował kompletny rozkład. Nie wykonywano rozkazów, oficerom sowieckim nie oddawano honorów, były wypadki wywożenia ich na taczakach. Rokossowski był i go nie było. Nie pokazywał się. W takiej sytuacji Gomułka starał się przekonać zebranych, że Racja Stanu wymaga, żeby Rokossowski nadal sprawował swoje funkcje. Przeciw temu, znakomite, odważne przemówienie miał Janek Frey-Bielecki. Jak na niego, przemówienie umiarkowane, ale odważne i logiczne. Był to apel do kierownictwa, aby jak najprędzej odwołano Rokossowskiego, bo stan obecny prowadzi do absolutnej dekompozycji wojska. Ja także zabrałem głos oddając Rokossowskiemu hołd jako znakomitemu dowódcy z czasów wojny, i temu, który w walny sposób przyczynił się do rozgromienia armii niemieckiej. Powiedziałem, że nie jest to równoznaczne ze sprawowaniem funkcji ministra obrony narodowej. I że powinien odejść. Jedyny, który poparł Gomułkę był generał Owczynnikow, dowódca Wojskowej Akademii Technicznej. Gomułka próbował ratować sytuację. Ale zorientował się, że jest to niemożliwe i zrezygnował. Był to więc jeden z nielicznych wypadków, kiedy wycofał się ze swojego stanowiska.

Tego samego dnia zaprosiłem Cyrankiewicza do domu na herbatę. Był też Janek Frey. Opowiadaliśmy mu o zebraniu w sprawie odwołania Rokossowskiego, no i rozmawiało się na temat przyszłego ministra obrony narodowej. Janek, ni mniej ni więcej powiedział, że ja nim powinienem zostać. Było to z jego strony bardzo sympatyczne, ale nie miało

żadnego sensu, oczywiście z różnych względów w ogóle nie mogło wchodzić w rachubę. Zasugerowałem Spychalskiego, a na wiceministra – Janusza Zarzyckiego, znakomitego, inteligentnego człowieka (zabawne, bo też architekta), który wraz z innymi „gomułkowcami” z okresu okupacji był przez dłuższy czas odsunięty.

Nie wiem, jaki zaistniał mechanizm, czy był to właśnie mój pomysł, czy także ktoś inny to zaproponował, ale faktem jest, że nazajutrz obie te nominacje zostały ogłoszone.

Kilka miesięcy później Cyrankiewicz do mnie zatelefonował i powiedział, żebym przyszedł do Sejmu. Będzie miał *exposé*, które może mnie zainteresować. Było to sławne, historyczne *exposé* Cyrankiewicza. Nie zawsze potem (ani przedtem) odznaczał się taką odwagą. Powiedział, że na Warszawę wśród czołgów sowieckich, szły na rozkaz marszałka Rokossowskiego czołgi polskie. W związku z tym rozważa się sprawę postawienia marszałka Rokossowskiego przed Trybunałem Stanu. Po posiedzeniu Sejmu pogratulowałem Cyranowi tego *exposé*. Uznałem, że w jakimś stopniu zrehabilitował się za to haniebne przemówienie po Poznaniu, o odcinaniu rąk.

Potem byłem bardzo ciekawy, co się na ten temat zachowało w archiwach Sejmu. Już nie pamiętam kiedy to było, poszedłem do archiwum, odnalazłem diariusz *exposé* Cyrankiewicza. Fragment o czołgach i Trybunale Stanu został wycięty.

W okresie przed Październikiem i w jakiś czas jeszcze później, utrzymywałem, a raczej utrzymywaliśmy razem z Bożeną, bo był w tym też element prywatny, bliskie stosunki z Cyrankiewiczem i Krystyną Łempską. Zadzierzgnięcie naszych kontaktów towarzyskich zawdzięczaliśmy wspólnemu przyjacielowi. Heinza Dürmayera znałem z obozu we Francji, w Verrières d'Ariège, byliśmy w jednym baraku numer osiem, w którym był także Węgier, Laszlo Rajk. Heinz był Austriakiem, we wczesnych latach trzydziestych był korporantem, ważnym działaczem korporacji. Pamiątką z tych czasów była blizna na prawym policzku. Później jednak Heinz zerwał z tym ruchem studenckim, związał się z Schutz-bundem (socjalistami) i w trzydziestym szóstym roku przyjechał do

Hiszpanii. Był z nami w obozie. Z obozu zwiął, wrócił do Austrii. Gestapo go przychwyciło i wylądował w Oświęcimiu. Tam razem z Cyrankiewiczem i Pepé Kutinem byli założycielami podziemnego ruchu oporu.

Heinz był częstym gościem Cyrana w Polsce, ale z pewnych względów Cyrankiewicz nie gościł go u siebie w domu, Dürmayer zatrzymywał się u nas na ulicy Chopina. Stał się więc pomostem między nami i Cyranem. Jego pobyty zawsze były związane z sympatycznymi spotkaniami u Krystyny Tempskiej, poza Warszawą, w pałacyku w Natolinie, gdzie prócz najbliższych przyjaciół Cyrankiewicza, Lucka Motyki, Włodka Reczka, spotykaliśmy często Jaroszewiczów i wiele osób ze świata artystycznego. Było to zawsze bardzo sympatyczne i bardzo zabawne.

Cyrankiewicz jest w pewnym stopniu jedną z najbardziej dramatycznych postaci życia politycznego PRL. Człowiek niebywale inteligentny, błyskotliwy, z wielką ogładą, kulturą, znakomity mówca – jego tekst mówiony, niemalże bez poprawek nadawał się do druku – i do tego czarujący facet z cudownym poczuciem humoru. Otóż jego wielkim atutem było to, że miał niekłamaną socjalistyczną PPS-owską przeszłość. I w układzie wschód – zachód mógł odegrać jakąś rolę. Rozumiał wiele, a może nawet i wszystko rozumiał, poszedł jednak na pełną współpracę z komunistami, na pełną akceptację dominacji sowieckiej. Zabrakło mu charakteru. Łatwo był manipulowany i przez Bieruta, i przez Gomułkę, co wyszło jeszcze raz na jaw w grudniu siedemdziesiątego roku w jego przemówieniu o huligaństwie robotników Trójmiasta. Kiedy telewizja nadawała to przemówienie, byliśmy z Bożeną na kolacji u Eryków Lipińskich. Słuchaliśmy tego przemówienia własnym uszom nie wierząc. W jakimś sensie było to nawet bardziej haniebne od Poznania. Uległ. Nie miał charakteru.

Na początku listopada pięćdziesiątego szóstego roku, w Sali Kongresowej odbywa się zebranie aktywu partyjnego. Spotykamy roztrzęsionego Witka Woroszyłskiego, który właśnie wrócił z Budapesztu. Opowiada o wypadkach. O czołgach sowieckich, o setkach zabitych. Na sali tłum. Przemawia Gomułka. Niedwuznacznie daje sygnał do odwrotu. Jego analiza Października 56 jest mętna. Właściwie wszystko przekreślił.

Ot, takie sobie opowiadanie o – można by pomyśleć – mało ważnych wydarzeniach: „Mówi się, że byli tam jacyś Natolińczycy... jacyś Puławszczanie...” i cały autentyczny ruch rewizjonistyczny pomieszał mu się z Puławszczakami, to znaczy z ludźmi, którzy mieszkali na ulicy Puławskiej dwadzieścia sześć. Byli to przeważnie inteligenci, zajmujący wysokie stanowiska w hierarchii partyjnej. Można ich było określić jako „centrystów” w partii, na pewno nie twardogłowych, ale obawiających się aktywności rewizjonistów, którzy swoim działaniem mogą wywołać gniew Moskwy. Ale „Puławska” jako grupa faktycznie nie istniała, był to wymysł Natolińczyków i Moczara, aby zdewaluować, osłabić prawdziwy ferment, który w partii zaistniał.

Natolińczycy stanowili grupę frakcyjną, trzymającą się twardo „Wielkiego Brata”. Grupa ta rozrosła się w antyinteligentcki i antysemitowski ruch moczarowski, mający swoje apogeum w roku 1968. A Gomułka, powoli, ale konsekwentnie stawał po stronie Moczara. Czy był on antysemitą? Gomułka był przede wszystkim człowiekiem o głębokim kompleksie antyinteligentckim. Wielu inteligentów w kierownictwie partii to byli Żydzi. I w związku z tym, jedno łączyło się z drugim.

Jak to się stało, że uniknęliśmy tragedii węgierskiej? Nie chcę przeceniać roli, jaką odegrały w Październiku Wojska Wewnętrzne. Ale też nie chcę jej nie docenić. Wojska Wewnętrzne w Polsce i na Węgrzech odegrały różne, przeciwstawne role. W Polsce odeszły od schematu stalinowskiego, stanęły po stronie zmian, przyłączyły się do masowego ruchu. Zaś na Węgrzech były ostoją i podporą neostalinowskiej polityki. Czołgi sowieckie wjechały do Budapesztu, Nagy został zaarrestowany. Wstrząśnięty tą wiadomością Gomułka miał wykrzykiwać „mordercy, mordercy!” Co z tego? Niedługo potem w Gdańsku, Gomułka publicznie aprobuje komunikat sowiecki. Po raz pierwszy pokazuje na czym będzie polegać gomułkowska koncepcja polskiej Racji Stanu. Czy Gomułka jako jedyny przywódca z obozu krajów Demokracji Ludowej oficjalnie nazywanego socjalistycznym, który uzyskał prawdziwe nie manipulowane poparcie większości narodu – mógł „zbawić” Polskę? Co mógł zrobić, aby utrzymać, wzmocnić i rozszerzyć zdobytą częściowo wolność?

Aprobata tego komunikatu była pierwszym aktem samobójstwa politycznego i moralnego Gomułki, które w pełni miało się potwierdzić w grudniu siedemdziesiątego roku w czasie krwawych zajęć w Gdańsku i Gdyni.

## ODEJŚCIE

*(Bożena) Uważasz, że przemówienie Gomułki w listopadzie w Sali Kongresowej było pierwszym sygnałem do odwrotu, odejścia od Października? Czy sądzisz, że to się już wtedy zaczęło?*

Nie, to był pierwszy sygnał, odejście od Października następowało powoli, ale systematycznie. Początkowo jeszcze dobre wiatry wiały.

*(Bożena) Także w twoich rejonach?*

Jak najbardziej. Wacek Komar stał się z czasem rzeczywistym dowódcą Wojsk Wewnętrznych. Jego podwładnymi byli dowódca KBW, Muś i dowódca WOP, Dostojewski. Wojsko cieszyło się popularnością wśród ludności bo wiedziało jaką odegrało rolę w Październiku. Wprowadzaliśmy dalsze reformy do wojska i do podległej mi służby łączności. Stosunki z Ministerstwem Obrony Narodowej uległy radykalnej zmianie. Rokossowski wyjechał, Marian Spychalski był ministrem, a Janusz Zarzycki wiceministrem. Ze Spychalskim grywałem w tenisa, co prawda jak zaczęły wiać złe wiatry, on z tego się wycofał. Janusz natomiast nigdy z niczego się nie wycofał. Ani z postawy politycznej, ani z naszej przyjaźni.

*(Bożena) Byliście razem w Moskwie z misją wojskową.*

To było w czerwcu 1957 roku. Wieloosobowej delegacji rządowej przewodniczył Janusz Zarzycki, a ja byłem jego zastępcą. Mieliśmy omówić szereg spraw dotyczących pobytu wojsk sowieckich w Polsce. W wyniku czego została podpisana umowa między rządem PRL a rządem ZSSR o liczeb-

ności, rozmieszczeniu i trybie ruchów wojsk ZSSR tymczasowo stacjonujących w Polsce. Już wtedy prowadziło się takie rozmowy, mało kto o tym wie, albo nie chce wiedzieć... Powinny się były zachować dokumenty w tej sprawie. Właśnie przy określeniu „tymczasowo” wybuchła awantura. Przewodniczącym ze strony sowieckiej był marszałek Malinowski. Ponieważ i Janusz i ja stawialiśmy się dość ostro w tej sprawie, Malinowski się wściekł i na kilka dni zerwał rozmowy. Na zakończenie był bankiet. Malinowski przyszedł na chwilę, wygłosił bardzo nieprzyjemny toast i sobie poszedł.

*(Bożena) I ty i Janusz srogo żeście za to zapłacili. Ale nie tak od razu. Jeszcze na razie tak bardzo się do was nie zabrali.*

I tak i nie. Pamiętasz, że w *Żołnierzu Wolności* ocenizowali przemówienie marszałka Koniewa, które wygłosił w rocznicę bitwy pod Lenino? W przemówieniu wspomniał o mnie. Tego fragmentu nie wydrukowano.

*(Bożena) Bardzo cię Julek przepraszam, ale przypomnij sobie coś ty zrobił. Przecież ciebie na tę akademię zaproszono, zaproszono cię do prezydium. A tyś tam nie poszedł. Oglądaliśmy razem telewizyjny dziennik wieczorny, podali sprawozdanie z tej akademii. Stół prezydialny, siedzi Gomułka, Spychalski, pełno innych wyższych oficerów, członków rządu, przemawia marszałek Koniew. Mówi o bitwie pod Lenino, mówi o tobie. Siedzący w prezydium rozglądają się, gdzie jest generał Hibner? A w prezydium w pierwszym rzędzie puste miejsce... Generał Hibner jest w domu i ogląda telewizję... Pytam się ciebie dlaczego nie poszedłeś na tę akademię? A ty na to, że był to protest... Wystąpiłeś o awans dla Wacka Komara do stopnia generała dywizji, a Wacek nominacji nie dostał. Więc jako protest nie poszedłeś na tę akademię.*

Właśnie...

*(Bożena) A może marszałek Koniew pragnął uścisnąć*

*ci dłoń, jako byłemu adiutantowi Świerczewskiego?...*

No może... A redaktor *Żołnierza Wolności* nie powinien był cenzurować przemówienia Koniewa.

*(Bożena) Spokojna głowa, na własną rękę tego nie zrobił...*

Zapewne. Ale widzisz, że Gomułka już wtedy zastopował nominację Wacka, zresztą, jak mi to potem opowiadano i moją. Było bardzo dużo innych nominacji, my pozostawaliśmy generałami pierwszego stopnia, to znaczy generałami brygady. I w ogóle robiło się coraz ciaśniej. Odsuwano ludzi Października, brali górę Natolińscy, Moczar miał coraz większe wpływy. Obsadzał stanowiska swoimi ludźmi. A Gomułka mu ulegał. „Dogmatyzm to katar, rewizjonizm to gruźlica” – wygłaszał Gomułka i z całą ostrością i konsekwencją zaczął „gruźlicę” tępić. Zaczął się atak na dziennikarzy, na literatów, w ogóle na intelektualistów, a już najbardziej Gomułka się wziął na Leszka Kołakowskiego. Poradziłem mu, żeby postarał się o rozmowę z Gomułką, sądziłem, że może to rozładować niepotrzebne napięcie. Zrobił to. Gomułka go przyjął, ale jak mi potem Leszek opowiadał nic z tego nie wynikło, bo Gomułka cały czas krzyczał.

Dla mnie przysłowiową kroplą goryczy była nominacja zagorzałego przeciwnika Października, Witaszewskiego – „gazrurki” (zwanego tak, bo jeszcze przed Październikiem mówił o rozgromieniu intelektualistów za pomocą gazrurek) na kierownika wydziału administracyjnego w Komitecie Centralnym PZPR. Oznaczało to zaprzestanie reform w administracji, w bezpieczeństwie, w wojsku. To już był jednoznaczny odwrót od Października. Wtedy postanowiłem odejść od wojska, od polityki, od rządzenia, zabrać się wreszcie do fizyki. Pod koniec pięćdziesiątego dziewiątego roku napisałem list do premiera Cyrankiewicza z prośbą o dymisję. Przez cztery miesiące nie dawał odpowiedzi, nie telefonował. Ten niby przyjaciel... Było to ogromnie denerwujące. Wreszcie przysłał list: „z dniem 30 kwietnia 1960 roku zwalniam obywatela z funkcji wiceministra spraw wewnętrznych”. Nie



był nawet uprzejmy napisać, że zwalnia tego obywatela na własną prośbę. Na tyle odwagi już mu nie starczyło.

*(Bożena) Pewno tak mu kazali. A w ogóle cholera ich tam – „na górze” wzięła, że sam się podałeś do dymisji. Przedtem takich przypadków na twoim szczeblu nie było. Wściekli się.*

No wściekli się. Postanowiłem pożegnać się z moim przełożonym, ministrem Wicha. Na spotkanie poszedł ze mną Wacek Komar. Mówił, że mogę się tam zdenerwować.

*(Bożena) Ongiś Wicha był ci bardzo życzliwy.*

Ongiś. Tym razem ni mniej ni więcej oświadczył mi, że towarzysz Gomułka powiedział, żebym był zadowolony, że nie wyciągnięto w stosunku do mnie żadnych konsekwencji za plotki, które rozsiewałem o czołgach, które szły na Warszawę.

*(Bożena) Zofia Gomułkowa, którą kiedyś oprowadzałam po Paryżu, w pięćdziesiątym ósmym roku też mi to powiedziała: „Ktoś wymyślił, że były jakieś czołgi pod Warszawą. A Mietek (Moczar) wszędzie jeździł i powiedział Wiesławowi (Gomułce), że żadnego czołgu nie widział...” Staralam się ją wyprowadzić z błędu, ale tylko na mnie warczała. Ciekawe, że przy tej rozmowie była obecna Michalina Tatarkówna i nie odezwała się. A przecież to ona alarmowała z Łodzi: „Co robić? Czołgi pod Łodzią! Ludzie płaczą!” Wszyscy się tego Gomuły bali.*

No właśnie. Jak mi to Wicha powiedział, okropnie się zdenerwowałem i powiedziałem mu, że powtarza kłamstwa. Gomułka dobrze wie, co było. Wszyscy kłamią. Wacek w końcu też stracił panowanie. „Słuchaj Władek – krzyknął – jak będziesz powtarzał takie bzdury, to cię za jaja powiesimy!”

*(Bożena) To podobne do Wacka. Wtedy mi o tym incydencie nie opowiadałeś. No i zabrałeś się do fizyki.*

Jak wiesz to stara sprawa. Już właściwie w pięćdziesiątym czwartym roku uznałem, że mam dość wojska. Zapisalem się przecież wtedy, dzięki twojemu profesorowi Szczeniowskiemu, na kurs eksternistyczny na uniwersytet w Poznaniu. No, a potem był Październik i sprawa się odwlekła.

*(Bożena) Ale wreszcie się zwolniłeś. Wymknąłeś im się...*

Niezupełnie. Mszczono się. Zewsząd zniknęło moje nazwisko. Nie byłem w ogóle w Hiszpanii. W bitwie pod Lenino byłem lekko ranny, nie wiadomo dlaczego zostałem odznaczony. Rozsiewano plotki, że historia o moim dowodzeniu pod Lenino była nieprawdziwa, koloryzowana. Jeszcze potem mówiono, że odesłałem odznaczenia do Moskwy. Kiedy zająłem się pracą naukową, o tych bardzo przykrych dla mnie insynuacjach właściwie zapomniałem. Najgorzej mnie dotknęło to, że po kilku latach pracy w Instytucie Badań Jądrowych, z tej pracy mnie usunięto. Więc jak widzisz, jednak im nie umknąłem... Od siedemdziesiątego piątego roku już fizyką się nie zajmuję...

## FIZYKA

Opracowując te rozmowy zdałam sobie sprawę, że obraz Julka jest niepełny. Nie ma tu Julka-fizyka. Profesor Aleksander Zawadzki, który przez ostatnie lata życia mieszkał w Paryżu, był w Polsce Julka przełożonym, promotorem jego pracy doktorskiej. Poprosiłam, żeby coś o nim napisał. Obiecywał, obiecywał, ale nie mógł się zabrać, bardzo chorował. I już nie napisze bo zmarł niedawno. Kiedyś tylko mi powiedział: „Czy zdaje sobie pani sprawę jakim wybitnym, utalentowanym fizykiem był Juliusz?”

Tak, ja sobie dobrze z tego zdawałam sprawę. On był fizykiem z prawdziwego zdarzenia. Adiutanci, szoferzy, podwładni, wojsko, to wszystko już było poza nim. Była fizyka. Generalski mundur złożyło się do walizki na antresolę, ze służbowego samochodu zszedł na rower i na nim rano jeździł

na tenisa. Dopiero później dochrapaliśmy się naszego Citroëna „Deux Chevaux”. Zaliczono mu lata studiów, które odbył na politechnice we Lwowie, w jakimś niebywałym tempie zrobił magisterium i obronił pracę doktorską. Potem już była praca naukowa, wykłady. Pracował w Łodzi. Jeździł tam pociągami w poniedziałek, do domu, do Warszawy wracał w piątek, żeby zdążyć na koncert w Filharmonii. Soboty i niedziele były nasze. Był człowiekiem szczęśliwym.

Zastanawiałam się do kogo mogłabym się zwrócić, żeby o Julku–fizyku coś opowiedział. Zatelefonowałam do Jerzego Gawina, jego dawnego kolegi z czasów łódzkich. Chętnie zgodził się na rozmowę. Pojechałam więc do Łodzi, do Zakładu Fizyki Promieniowania Kosmicznego. W budynku IBJ (Instytut Badań Jądrowych), na pierwszym piętrze w pokoju nr 28 oczekiwał mnie profesor Jerzy Gawin.

Jerzy Gawin: Miło mi panią gościć w pokoju, w którym pracowaliśmy razem z panem Juliuszem – mówi na przywitaniu. – To było moje biurko, a to pana Juliusza. Właściwie nic się w tym pokoju od tamtego czasu nie zmieniło. Bardzo nam się dobrze razem pracowało. Przez cały czas byłem pana Juliusza najbliższym współpracownikiem.

*Bożena: – Od samego początku?*

J.G.: – Niezupełnie. Kiedy w roku 1960-tym pan Juliusz przyszedł do naszego Zakładu, rozbudowywaliśmy naziemną aparaturę doświadczalną. Ja byłem w tych pracach bardzo zaangażowany. Pan Juliusz natomiast kończył studia. Brakowało mu do magisterium kilku egzaminów i odrobienia pracowni, ale bardzo szybko, chyba w rok się z tym uporał. Gwoli ścisłości, trzeba powiedzieć, że na początku, nawet sam Zawadzki trochę był nieufny w stosunku do Juliusza. Głównie dlatego, że przyszedł człowiek już niemłody, chce pracować naukowo... nie wiadomo, czy to kaprys, czy sprawa poważna. U Zawadzkiego trzeba się było wykazać. Wtedy dopiero nabierał zaufania. Szybko się jednak przekonał, że ma do czynienia z człowiekiem o wielkich zadatkach na naukowca. I pan Juliusz został włączony do ścisłej grupy

profesora, a odgrywał tam rolę niepoślednią. Wie pani, on był, można powiedzieć... z nas najmłodszy.

*B.: – Najmłodszy?*

J.G.: – Tak. Najwięcej entuzjazmu, inicjatywy, pomysłów. I jeszcze w dodatku miał ogromne doświadczenie życiowe. Przed nami piętrzyły się zawsze trudności organizacyjne, zdawało by się nie do pokonania. Dla niego wszystko wydawało się łatwe. Początkowo gnieździliśmy się wszyscy razem w jednym niewielkim pomieszczeniu. Był to gabinet Zawadzkiego. Miałem tam swoje biurko, było biurko doktora Firkowskiego i wstawiono biurko dla pana Juliusza. Wszystko to działo się w jednym pokoju. Profesor przyjmował swoich gości, prowadził egzaminy, dyskusje, a my, asystenci także przyjmowaliśmy tam swoich petentów. Budynek, w którym obecnie się znajdujemy powstał tylko i wyłącznie z jego, to znaczy Juliusza inicjatywy.

Zaczęło się od pomysłu budowy bunkra. Miało tam powstać nasze podziemne laboratorium doświadczalne. Zdawało nam się, że możemy to wykonać za niewielkie pieniądze własnym sumptem, on że tylko przy pomocy saperów. Potem jednak okazało się, że budowa bunkra musi być zatwierdzona przez władze miejskie i wykonana przez fachowców, musi być powierzona przedsiębiorstwu budowlanemu. Jeśli tak, to za jednym zamachem postawmy nad bunkrem mały pawilon na biura – powiedział na zebraniu Juliusz i mocno się przy tym upierał. Ile to było starań o fundusze, zgody różnych instytucji, zdobywania materiałów! Budynek naszego zakładu i podziemne laboratorium to zasługa pana Juliusza. Czterdzieści dwa metry kwadratowe powierzchni czynnej detektora mionów, to znaczy powierzchni, na której każdy padający mion (cząstka elementarna o krótkim okresie życia) jest zarejestrowany. Była to wtedy największa tego rodzaju aparatura na świecie! Czterdzieści dwa metry kwadratowe pod ziemią i dwadzieścia jeden na ziemi.

*B.: – Mielście w rezultacie dwa laboratoria pomiarowe.*

J.G.: – Tak, to było bardzo istotne dla naszej pracy. Zajmujemy się badaniami oddziaływań cząstek promieniowania kosmicznego o bardzo wysokiej energii, to znaczy cząstek, które docierają do nas z przestrzeni kosmicznej. Rejestrujemy te cząstki za pomocą liczników Geigera-Müllera rozstawionych na dużej powierzchni. Im większa powierzchnia, tym lepiej.

B.: – „Lepiej”, bo więcej macie pomiarów...

J.G.: – Oczywiście. Do ziemi docierają setki tysięcy cząstek. Są to elektrony i fotony, ale także cząstki o bardzo dużej energii: miony i hadrony. Powstają one na skutek reakcji jądrowych w atmosferze ziemskiej. Chcemy wiedzieć skąd cząstki pierwotne do nas docierają, jaka jest geneza ich powstania. Czy powstają na skutek wybuchu gwiazd? Śmierci gwiazd? Zderzeń ciał kosmicznych? W jaki sposób osiągają tak wielkie energie? Czyli ogólnie rzecz biorąc, nasze badania prowadzą do zrozumienia jak powstała materia, jak powstał wszechświat.

B.: – *Jak wiadomo, tym się także zajmują fizycy badający cząstki elementarne w wielkich akceleratorach.*

J.G.: – To są tak zwani „jądrowcy”. My jesteśmy „kosmikami”. Badamy cząstki kosmiczne o znacznie większej energii aniżeli te wytwarzane w akceleratorach. Dlatego właśnie tak istotne było dla nas stworzenie tego laboratorium podziemnego. Do detektorów naziemnych docierają cząstki różne i te o stosunkowo mniejszej energii i te o bardzo dużej energii. Warstwa ziemi i beton bunkra stanowią rodzaj filtru. Następuje naturalna selekcja. Pod ziemię przedostać się mogą tylko cząstki o bardzo wysokiej energii. Właśnie te nas interesują.

B.: – *I to był wasz wspólny temat badań.*

J.G.: – Jeden z wielu wspólnych tematów. Bardzo dobrze nam się razem pracowało. Istniała między nami pewnego rodzaju symbioza. Ja, jak powiedziałem, zajmowałem się stroną

doświadczalną. Juliusz natomiast stroną teoretyczną. Jak zawsze miał niezwykle pomysły, nawet czasem się nie chciało wierzyć, jak wielką miał on intuicję naukową. Na podstawie naszych doświadczalnych rezultatów podjął się obróbki matematycznej dotyczącej składowej hadronowej. Nikt nie wierzył, że się to uda. Jemu się udało. Profesor Zawadzki był pełen podziwu. Trudna teoria, skomplikowana matematyka. Był to temat jego pracy doktorskiej. Bronił ją na początku sześćdziesiątego czwartego roku.

*B.: – Niech mi pan powie, proszę, jak ja mam napisać dla ludzi, którzy w ogóle nie znają fizyki, co to jest składowa hadronowa?*

J.G.: – To tak w skrócie: Poza cząstkami natury elektromagnetycznej (elektronami, fotonami) i mionami istnieją cząstki oddziałujące ze składnikami jądra atomowego, czyli hadrony.

*B.: – Poprzestaniemy chyba na tym wyjaśnieniu. Przecież nie miejsce tu na wykład z fizyki. Ale jesteśmy na etapie doktoratu.*

J.G.: – Broniliśmy doktoratów tego samego dnia. I Juliusz i ja. Mieliśmy straszne perypetie. Przed obroną, która zapowiedziana była na godzinę drugą po południu, mieliśmy jeszcze zdać egzamin z filozofii. Na ten egzamin umówiliśmy się z profesorem Gregorowiczem na godzinę dwunastą. Piętnaście po dwunastej, a Gregorowicza wciąż nie ma. My zdenerwowani. Jest telefon do dziekanatu: Gregorowicz miał zawał, pogotowie go zawiozło do szpitala. Szybko zaczęto szukać zastępcy, znalazł się docent Pawłowski. Pomimo tego całego zamieszania i zdenerwowania, egzamin poszedł nam dobrze. Dostaliśmy powyżej czwórki.

*B.: – Powyżej czwórki... (bardzo mnie to ubawiło).*

J.G.: – A zaraz potem odbył się egzamin z fizyki i po egzaminie poszliśmy do dużej sali na obronę. Ja miałem okropną

tremę. Myślałem, że dla pana Juliusza to łatwa sprawa, bo już niejeden egzamin w swoim życiu zdawał. Tymczasem, jak mi potem powiedział, i dla niego było to przeżycie, była to obiektywna kontrola jego możliwości, jego wiedzy. Ale obydwóm nam dobrze poszło. Zawadzki był bardzo zadowolony. Gratulował nam.

*B.: – Spoczęliście na laurach?*

J.G.: – Ależ skąd... Nieomalże natychmiast po doktoracie przystąpiliśmy do pracy. Juliusz miał masę pomysłów. Najrozsądniejszych. I co zaczynał, doprowadzał do końca, do publikacji. Razem ześmy pracowali, a do pewnego tematu włączyliśmy dwóch młodych pracowników naukowych. Opublikowaliśmy dość znamienny przyczynek dotyczący cząstek przenikliwych.

*B.: – Czyli przeżywaliście razem wielką przygodę naukową?*

J.G.: – Tak. Ja miałem wielkie szczęście, bo ufałem Juliuszowi. Jak na zebraniu zaproponował nowy temat, wiadomo było, że on to dokładnie przeliczył, przemyślał. Pierwszy się przyłączałem do jego pomysłów i dzięki temu mam dużo publikacji. Wiele z tych publikacji jest bardzo istotnych. Juliusz był też świetnym matematykiem.

*B.: – Nigdy wam nie opowiadał, że będąc jeszcze w szkole udzielał korepetycji z matematyki?*

J.G.: – Tego nam Juliusz nie opowiadał. W ogóle nam mało o sobie opowiadał z przeszłości. Żyliśmy fizyką. Chcę teraz pani powiedzieć o publikacji bardzo ważnej dla fizyki i bardzo ważnej w jego życiu. Sprawy, nad którą profesor Zawadzki do śmierci nie mógł przejść do porządku dziennego.

Muszę zacząć od tego, że od lat współpracowaliśmy z Francuzami z laboratorium Fizyki Kosmicznej CNRS (Centre National de la Recherche Scientifique) w Verrières le Buisson

koło Paryża. Na podstawie naszych doświadczeń i na wzór naszej aparatury oni zbudowali aparaturę w Verrières. Była bardziej nowoczesna, lepszą miała elektronikę, większą zdolność rozdzielczą, zawierała więcej detektorów. Wprowadzono tam pewne udoskonalenia pozwalające na detekcję cząstek w szerokim zakresie energii, ale co bardzo istotne można było znać kąt, pod którym cząstka padała do detektora. I w ten sposób wiadomy był kierunek, z którego docierała do Ziemi. To było bardzo istotne dla naszych badań. A co więcej, był dostęp do dużego komputera. Często przyjeżdżaliśmy do Verrières. Oni korzystali z naszych wyników, a my z ich wyników.

Mając bardzo dużo rezultatów, wydawało się, że można zrobić rewolucyjną pracę dotyczącą wyznaczania przekroju czynnego oddziaływania jądrowego przy skrajnie wysokich energiach.

Znajomość tego przekroju czynnego jest bardzo ważna nie tylko dla promieniowania kosmicznego, lecz także dla fizyki jądrowej w ogóle. Asymptotyczne zachowanie się przekroju czynnego przy rosnącej energii może decydować o poprawności modeli oddziaływań jądrowych. Taka informacja jest bardzo cenna dla fizyki akceleratorowej i dla teoretyków, a więc wychodzi poza zakres fizyki promieniowania kosmicznego.

Rozpocząłem tę pracę z Juliuszem i z fizykami z Verrières i powiedziałem o tym profesorowi Wdowczykowi, który po wyjeździe profesora Zawadzkiego do Francji został kierownikiem naszego Zakładu. Ale on uznał, że nie warto się tym zajmować, nic z tego nie będzie. Więc się wycofałem.

Juliusz nie dał za wygraną. Bywał wtedy dość często w Paryżu, wciągnął do tego tematu Zawadzkiego. Zawadzki się bardzo zapalił do tej pracy i razem doprowadzili ją do końca. Wyniki były rewelacyjne. Zawadzki napisał list do profesora Wolfendala z uniwersytetu w Durham w Anglii i wysłał wspólny artykuł do brytyjskiego *Journal of Physics*. Ale artykułu z nieznanymi mi względów do druku nie przyjęli.

*B.: – Może weszła w grę sprawa współzawodnictwa?*



J.G.: – Nie wiem. Profesor Zawadzki uważał, że jest to bardzo ważna praca, bardzo istotna dla fizyki promieniowania kosmicznego i dla fizyki oddziaływań wysokich energii. Uważał, że Juliusz zrobił pracę znakomitą. Szereg lat potem Japończycy zbudowali dużą aparaturę na jednym kilometrze kwadratowym powierzchni i tą samą metodą, doszli do takich samych wyników. Ogłosili to na światowym kongresie. Był duży rozgłos. I pomyśleć, że Japońcy całą chwałę za to mieli. A to przecież była praca Juliusza. Było to największe jego dzieło i największa jego klęska. Przez głupotę jakichś ludzi, praca nie została opublikowana.

B.: – *Dziwne, że po odrzuceniu przez Journal of Physics nie próbowali oni posłać artykułu do innego czasopisma.*

J.G.: – Pewno ręce im opadły.

B.: – *Zawadzki był już „poza barierą”, już nie był kierownikiem oddziału IBJ, nie miał zaplecza jakiejś ważnej instytucji. Może dlatego Wolfendale zignorował jego list. To go chyba mocno dotknęło. Był przecież wybitnym fizykiem, znanym w świecie naukowym przed Wolfendalem. Ale czy właśnie ta praca miała być referowana na Konferencji Fizyki Kosmicznej w Monachium w siedemdziesiątym piątym roku?*

J.G.: – Prawdopodobnie.

B.: – *Ale do Monachium Julek nie pojechał. O ile wiem, Wdowczyk do tego nie dopuścił.*

J.G.: – Tego nie wiem.

B.: – *On to bardzo ciężko przeżył. Jakoby Wdowczyk miał ten referat za niego wygłosić. Tego też nie zrobił.*

J.G.: – W Monachium ja też byłem. Z Łodzi było pięć osób. Ale kto ma tam jechać decydowała centrala IBJ w Warszawie.

Możliwe, że Wdowczyk był konsultowany na ten temat, był wtedy kierownikiem naszego Zakładu. Teraz ja jestem kierownikiem. Wdowczyk umarł w zeszłym roku.

*B.: – Jak wiadomo, o nieobecnych i umarłych mówi się dobrze, albo nic...*

J.G.: – Ale też należy wziąć pod uwagę, że administracyjnie Juliusz wtedy podlegał Warszawie.

*B.: – A wie pan dlaczego?*

J.G.: – Nie. Nigdyśmy o tym nie mówili.

*B.: – No to ja panu opowiem. Po magisterium Julek został zaangażowany w Instytucie Badań Jądrowych do Zakładu profesora Zawadzkiego w Łodzi. Tu pracował naukowo, a na Uniwersytecie Łódzkim wykladał fizykę. Począwszy od niesławnego marca sześćdziesiąt osiem coraz bardziej grunt mu się usuwał. Zabrano mu wykłady, zabrano doktorantów na uniwersytecie, zabrano pokój w budynku IBJ, w którym się zatrzymywał, wobec tego, jak przyjeżdżał do Łodzi, mieszkał w hotelu i to na własny koszt i też sam opłacał podróże. Ale uparcie do Łodzi przyjeżdżał, aby tylko pracować naukowo. Myślano pewnie, że mu się to sprzykrzy. W końcu sześćdziesiątego dziewiątego roku czy na początku siedemdziesiątego, nagle dostał wypowiedzenie z pracy. Okropnie to przeżył. O tym dowiedzieli się profesorowie Pniewski i Danysz i ci dwaj bezpartyjni profesorowie, fizycy wielkiej miary, z własnej inicjatywy poszli do wydziału nauki Komitetu Centralnego PZPR z protestem. Bo był to w jakimś sensie fenomen, ten Julek. Z tego zupełnie innego świata, zupełnie innej sytuacji, wszedł w fizykę i stał się niesłychanie aktywny. Wydział nauki KC interweniował w IBJ i wreszcie władze IBJ łaskawie się zgodziły, żeby przywrócić Julkowi prawo do pracy, ale... nie w Łodzi, lecz w grupie warszawskiej. Dlaczego nie w Łodzi? Tego się nie można było dowiedzieć. W grupie warszawskiej prowadzono zupełnie inne tematy. Nowi ludzie,*

*inne zagadnienia. Zbyt głęboko był on już zaangażowany w tematykę promieniowania kosmicznego i decyzją tą bardzo był znękany. Było już za późno dla niego, żeby wszystko rozpoczynać od początku. Za zgodą swego zwierzchnika w Warszawie znalazł więc jakieś pośrednie rozwiązanie: administracyjnie był w grupie warszawskiej, ale nadal przyjeżdżał do Łodzi.*

J.G.: – Tak, to pamiętam. I też pamiętam, że w jakimś momencie dostaliśmy dyspozycje, żeby nasz budynek był na noc zabezpieczony. Nikt nie miał tam prawa wchodzić. I Juliusz stracił możliwość zatrzymywania się w pokoju gościnnym.

*B.: – Więc nadal przyjeżdżał do Łodzi, a czasem otrzymywał stypendium Joliot-Curie na krótkotrwałe pobyty we Francji w Laboratorium w Verrières. To tak było do końca siedemdziesiątego czwartego roku. Zbliżało się Boże Narodzenie. W tym czasie Julek był we Francji, mieszkaliśmy wtedy w Orsay, pracowałam w Laboratorium Fizyki Ciała Stałego CNRS, on pracował w Verrières i kończył jakieś obliczenia, spieszył się, aby jak najprędzej wrócić do Warszawy i załatwić udział w konferencji w Monachium. Do Francji przyjechał wtedy nasz przyjaciel Stanisław Gajewski i przywiózł listy z Warszawy. Jeden z nich był urzędowy z IBJ. Napisano, że jeśli Julek nie stawi się do pracy w IBJ w Warszawie trzydziestego listopada, to umowa o pracę zostanie zerwana. Był to już koniec grudnia. Dobrze oczywiście wiedziano w IBJ, że Julek był w tym czasie we Francji. List wysłano na adres warszawski. Więc sprawa była szyta grubymi nićmi. Wrócił natychmiast do Warszawy. Zgłosił się do kierownika swojego zakładu, profesora Sosnowskiego. Ale to nic nie pomogło. Nie pomogły też listy do profesora Żelaznego i inne listy z motywacją i prośbą o odwołanie decyzji. Do pracy nie został przywrócony. Była to bardzo podstępna sprawa. Po raz drugi tego człowieka usunięto z pracy. Zniszczono mu życie.*

J.G.: – To niestety prawda. Ale jeszcze pani coś powiem o Juliuszu. Chyba pani wie, że był on niezwykle wrażliwy na

różne sprawy ludzkie. Mieliśmy duży personel: dwudziestu paru elektroników, wielu mechaników, nasz techniczny zespół był rozbudowany. Były zawsze jakieś ludzkie problemy. Jak się tylko Juliusz dowiedział, że ktokolwiek ma kłopoty, czy musi iść do szpitala, czy ubiega się o mieszkanie, czy ma sprawę remontu, sam ciągle interweniował, a często i mnie odrywał od pracy, żeby razem zadziałać. Wiele ludzkich spraw tu załatwił, chyba połowa tutejszych pracowników wiele mu zawdzięczała. A potem, po tak zwanych wypadkach marcowych w sześćdziesiątym ósmym roku się od niego odwrócili... To był koszmarny okres. Zniszczył ludziom życie. Co więcej, zniweczył obraz Polski w oczach świata. Mogę powiedzieć, że i ja też dostałem po głowie. Prócz etatu w IBJ, miałem pół etatu na uniwersytecie, prowadziłem wykłady, byłem członkiem Senatu, byłem w komisji inwestycyjnej Uniwersytetu Łódzkiego. I nagle wyrzucono mnie z uniwersytetu. Jednego dnia rozmawiałem z rektorem i miałem „zielone światło” w rektoracie, a nazajutrz, kiedy zgłosiłem się po pensję do kwestury, okazało się, że mnie nie ma na liście. Wykreślono mnie. A jak się zgłosiłem do wydziału kadr, żeby sprawę wyjaśnić, tam w ogóle już ze mną nie chcieli rozmawiać.

*B.: – Dlaczego to wszystko?*

J.G.: – Nie wiedziałem. Dopiero po jakimś czasie się zorientowałem. W Łodzi w sześćdziesiątym ósmym roku była silna fala antysemityzmu. Wyrzucono wtedy z pracy kilkudziesięciu samodzielnych pracowników naukowych. Docentów, dziekanów. Wyrzucano Żydów i ich popleczników... Nadal oczywiście spotykałem się z Juliuszem kiedy tu przyjeżdżał. Tylko w ostatnim okresie widywaliśmy się na mieście. Mówił, że nie chce mnie narażać na przykrości. Już nie chciał przychodzić do Zakładu. Niektórzy ludzie, dla których tak wiele zrobił, wrogo na niego patrzyli. Spotykaliśmy się w kawiarni.

*B.: – We Francji też się wszystko urwało. Już zupełnie nie z powodu jego osoby, ani z powodu profesora Zawadzkiego, władze CNRS we Francji zlikwidowały Labo-*

ratorium Fizyki Kosmicznej w Verrières. Na skutek tamtejszych animozji zlikwidowano dobre laboratorium. Fizycy, technicy rozpierzchli się, a co się stało z aparaturą, którą pan tak zachwalał, nie wiem. Jak znam życie to pewno gnije w jakiejś piwnicy. Ale wróćmy na chwilę do sprawy artykułu, którego nie przyjęto do druku w Journal of Physics i do nie wygłoszonego referatu na konferencji w Monachium. Czy naprawdę nie sądzi pan, że Wdowczyk maczał w tym palce?

J.G.: – Czy ja wiem? Wolfendale mógł zasięgnąć u niego opinii. Bardzo się liczył z Wdowczykiem. Wdowczyk był mocny w statystyce i w obróbkach matematycznych. Ale Juliusz był nie do pobicia!

B.: – Może właśnie dlatego?...

J.G.: – Może...

B.: – Chyba skończymy tę naszą rozmowę, za którą jestem panu bardzo wdzięczna. Powiedziałam panu, że kilka lat przed śmiercią mojego męża zarejestrowałam z nim rozmowy o dawnych czasach, które obecnie spisałam. Ale brakowała mi bardzo istotna część jego życia – fizyka. Niestety, przez ostatnie lata już pracą naukową nie mógł się zajmować. Uważał to za wielką niesprawiedliwość. Nazwijmy to – „losu”...

Łódź, listopad 1997.

## ZAKOŃCZENIE

Przyszło mi zakończyć spisywanie rozmów z Julkiem. W latach jego pracy w Łodzi i naszego życia w Warszawie, wakacji z przyjaciółmi, było bardzo dużo „przygód”, jego i naszych wspólnych. Potem, kiedy skończyła się fizyka, przyszły gorsze czasy. Z tego okresu istotną dla niego sprawą była publikacja artykułu w *Studiach Filozoficznych* (O kon-

sekwencjach teoriopoznawczych nierówności Bella, *Studia Filozoficzne* nr 3, 1987) i książka („O rozstrzygalności dwóch nierozstrzygalnych kontrowersji”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987). Ale była to tylko namiastka, choć dobrze przyjęta przez zainteresowanych. W początku lat osiemdziesiątych, a był to stan wojenny i życie w Polsce „co nieco” zdrętwiało, ażeby podnieść na duchu siebie i innych, Julek stworzył mini-universytet w naszym mieszkaniu na Chopina z mini-personelem wykładowym (on sam). Miał wykłady z pogranicza fizyki i filozofii. To się jakoś rozniosło i zapraszano go potem na odczyty, między innymi został zaproszony do Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Jak mi potem powtarzali moi kochani przyjaciele z Krakowa, Bieniowie, w sposób następujący przedstawił go zebranym ksiądz Życzyński (obecny arcybiskup lubelski): „Przedstawiam zebranym doktora Juliusza Hibnera, generała, ale bardzo wyjątkowego, niezwykłego generała...”

No więc był niezwykłym generałem, niezwykłym fizykiem. Szkoda wielka, że ostatnie lata życia miał zaprzepaszczone. Bardzo się z nim rozprawiono. Za wszystko. Ale nie tylko z nim...

A teraz? Teraz wszystkich się wrzuca do wspólnego worka.

Julek zmarł 13 listopada 1994 roku.

Palaiseau, styczeń 1998

*Bożena PUCHALSKA*

## WYJAŚNIENIA

(Bożena Puchalska)

Osoby występujące w naszych rozmowach są na ogół znane pokoleniu, ale w wielu przypadkach mogą być obce młodym czytelnikom. Oto wyjaśnienia dotyczące niektórych faktów i osób:

ALBRECHT JERZY (1914-1992). Ekonomista. 1941 jeden z organizatorów pierwszych grup oporu (Związku Walki Wyzwoleńczej). 1942-45 zaarrestowany przez gestapo i osadzony w obozie Gross-Rosen. 1945 Sekretarz Komitetu Warszawskiego PPR. W latach 50-tych w ramach walki z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym usunięty jest z aparatu partyjnego i wybrany zostaje Przewodniczącym Stołecznej Rady Narodowej. Po Październiku 56 jest jednym z trzech liberalnych „Młodych Sekretarzy” KC PZPR, następnie ministrem finansów. W roku 1968 na własną prośbę zwalnia się z tego stanowiska, jako protest przeciwko prowadzonej wówczas nagonce marcowej i nakazowi usuwania z jego resortu współpracowników – Żydów. Od 1968 roku odsunięty od jakiegokolwiek działalności partyjnej i państwowej. Przechodzi na rentę.

BARTOSZEK HEDDA (1920). Historyk sztuki. Uczestniczka ruchu oporu GL i AL. Bierze udział w Powstaniu Warszawskim na Starówce i Żoliborzu. Po wojnie pracuje w Zarządzie Głównym ZWM i na Uniwersytecie Warszawskim. Uwięziona w roku 1950 za domniemaną współpracę z obcym wywiadem w czasie okupacji. Zwolniona zostaje z więzienia w 1955 roku w ciężkim stanie zdrowia.

BERMAN-OLECKA IRENA (1918). Pedagog. 1939-43 w Tadżykistanie jest jedną z organizatorek Polskiego Domu Dziecka. 1943 pracuje w radiostacji I Dywizji WP im. Tadeusza Kościuszki. Po wojnie Zarząd Główny ZWM, 1947-1951 Polskie Radio i praca pedagogiczna.

BIEŃ ANNA (1926). Doktor medycyny, neurolog, Akademia Medyczna, Kraków.

BIEŃ KRZYSZTOF. Architekt. W latach 1943-45 dowódca sekcji

kompanii Zawisza, Szarych Szeregów. Po wojnie studia architektoniczne w Krakowie. W latach 70-tych wytacza proces miastu za zmiany jego projektu dzielnicy Krakowa. Proces wygrywa. Współtwórca krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

BIBROWSKI ZDZISŁAW (1913). Z zawodu inżynier-elektryk, pułkownik WP. Przed wojną studia na Politechnice Warszawskiej i działalność w KZMP i organizacji studenckiej ŻYCIE. 1943-45 I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, I Armia WP. 1945-52 zastępca dowódcy KBW do spraw polityczno-wychowawczych, 1952-53 z-ca szefa Misji Wojskowej w Korei. 1953-68 Dyrektor Departamentu w Ministerstwie Energetyki, usunięty z pracy w 1968 roku. Obecnie w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki.

BIBROWSKA LUDWIKA (1910). Pedagog. Przed wojną studia na Uniwersytecie Warszawskim. 1943-45 batalion kobiecy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Ppłk WP 1945-1952 z-ca dowódcy Korpusu Kadetów. 1952-53 uczestniczy w Misji Wojskowej w Korei, 1953-68 dyrektor departamentu w Ministerstwie Oświaty. Zwolniona z pracy w marcu 1968.

BORKOWICZ LEONARD (1912-1991), pułkownik. Od 1928 działacz młodzieżowy i partyjny. 1943-45 dowódca 1-go pułku piechoty w Dyw. im. Tadeusza Kościuszki. 1945 pełnomocnik rządu na Pomorze Zachodnie i województwo szczecińskie. Ambasador Polski w Pradze Czeskiej, 1953-57 Dyrektor Polskiej Kineematografii.

BURGIN JULIAN (1906-1973). Przed wojną działacz ruchu robotniczego. Publicysta. 1939-45 w Związku Sowieckim, działacz w ZPP, porucznik WP, lektor w I dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Po wojnie działacz państwowy, dziennikarz i publicysta polityczny.

BRYSTYGIER JULIA (1902-1975). Dr filozofii, studia na Sorbonie w Paryżu. Od 1927 sympatyzuje z ruchem komunistycznym. W 1936 Sekretarz MOPR (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucyjnej). 1939-45 w Związku Sowieckim, w ZPP, 1945 posłanka do Krajowej Rady Narodowej. 1945-56 PPR, PZPR, dyrektor departamentu politycznego w Ministerstwie Bezpieczeństwa.

BRONIEWSKA JANINA (1904-1981). Pisarka. Przed wojną pracowała w *Płomyczku* i *Płomyku*. Pisała książki dla dzieci. 1943-



45 I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, korespondent wojenny *Polski Zbrojnej*.

ĆWIK TADEUSZ (1899-1968). Członek PPS-D, legionista. Od 1926 działacz komunistyczny. 1937-39 uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. W roku 1939 wstępuje do Armii Polskiej we Francji, następnie jedzie do Anglii i działa w PPS, potem PZPR. 1953 usunięty z PZPR (w ramach zwalczania odchylenia pravicowo-nacjonalistycznego).

DUSZYŃSKI ZYGMUNT (1914-1973). Generał. 1943-45 dowódca GL okręgu podmiejskiego Warszawy. Bliski współpracownik Mariana Spychalskiego. 1945-50 wysokie stanowiska w MON. 1950-55 usunięty z wojska (zamieszany w „sprawę Spychalskiego”), po Październiku 56 przywrócony do służby wojskowej na stanowisko Głównego Inspektora Szkolenia MON. W lutym 1965 roku ze stanowiska zwolniony za niepodporządkowanie się polityce moczarskiej.

DURMAYER HEINZ (...). Austriak. Prawnik. W czasach studenckich członek Schutz-Bundu. 1936-39 ochotnik w wojnie domowej w Hiszpanii. Więzień Oświęcimia, bierze udział w obozowym ruchu oporu z Cyrankiewiczem, Hołujem, Kutinem. 1939-45 pierwszy komendant policji Wiednia. Następnie zakłada prywatną kancelarię adwokacką.

FLATO STANISŁAW (1910-1972). Dr medycyny, pułkownik. Studia medycyny na uniwersytecie w Paryżu i równoczesna fizyczna praca zarobkowa. 1936-39 naczelnny lekarz 13 Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego w Hiszpanii. Internowany w obozie St. Cyprien. 1939 wysłany do Chin z grupą lekarzy, zostaje doradcą Chińskiego Czerwonego Krzyża do spraw organizacyjnych i sanitarno-epidemiologicznych. 1941 skierowany przez Chiński Czerwony Krzyż do Indii jest łącznikiem między służbą zdrowia armii chińskiej i amerykańskiej. 1945 powrót do Polski, skierowany do II oddziału WP. Zostaje mianowany *attaché* wojskowym w Kanadzie z tego stanowiska odwołany, 1952-55 zaarrestowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz m.in. Stanów Zjednoczonych. Zrehabilitowany i 1956-57 adiunkt w Państwowym Zakładzie Higieny, 1957-64 powołany do służby dyplomatycznej, minister pełnomocny przy Ambasadzie PRL w Pekinie, 1964, wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych do marca 1968, kiedy ze stanowiska zostaje odwołany.

FONKOWICZ JERZY (1922-1997). Generał, z wykształcenia chemik po studiach na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie okupacji bierze czynny udział w ruchu oporu GL i AL, bliski współpracownik Mariana Spychalskiego. 1945-51 pracuje w Ministerstwie Obrony Narodowej w departamencie kadr. 1951-55 odwołany z wojska. Po Październiku 56 jest szefem Departamentu Kadr w Ministerstwie Obrony Narodowej. Zdjęty z tego stanowiska w roku 1964 za odmówienie podporządkowania się polityce Moczara. Następnie mianowany zostaje *attaché* wojskowym w Finlandii, w 1967 zostaje odwołany i zwolniony z wojska. Zajął się pisaniem wspomnień. W październiku 1997 został zamordowany w swoim domu w Konstancinie.

FREY-BIELECKI JAN (1916-1996). Pilot. Studia na Politechnice Warszawskiej. Generał. Pierwszy polski pilot samolotów odrzutowych. 1947-49 dowódca 3-go pułku lotnictwa myśliwskiego. 1955-56 z-ca dowódcy wojsk lotniczych i obrony przeciwlotniczej kraju. 1956-62 dowódca wojsk lotniczych i obrony przeciwlotniczej kraju. Główny Inspektor Lotnictwa. Zwolniony ze służby w 1963 roku za próby radykalnej modernizacji wojsk lotniczych, rewizjonizm i sprzeciwianie się nagonce antysemickiej. Od 1963 odsunięty od wszelkiej działalności.

GAWIN JERZY (1930). Fizyk, profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Urodzony na Polesiu. Ojciec zginął w 1939. 1940-46 wysiedlony z rodziną na Syberię. 1946-51 wykształcenie średnie w Polsce w sierocińcu. 1951 – studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Łódzkiego. 1964 obrona pracy doktorskiej. Obecnie dyrektor Zakładu Fizyki Promieniowania Kosmicznego Instytutu Badań Jądrowych w Łodzi.

GAWLIK HENRYK. Dziennikarz, w okresie Października 56 pracował w *Sztandarze Młodych*.

HIBNER ULA (1952). Biolog. Zajmuje się badaniami naukowymi w Instytucie Genetyki Molekularnej w Montpellier.

HOLLAND HENRYK (1920-1961). Dziennikarz, doktor filozofii. 1943-45 sanitariusz w I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Od 1945 naczelny redaktor *Walki Młodych*. Członek ZWM, PPR i PZPR. Pracownik Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. 1961 przesłuchiwany w organach bezpieczeństwa, oskarżony o zdradzanie tajemnic państwowych (wiadomość o aresztowaniu Berii w ZSSR)

francuskiemu dziennikarzowi. Grudzień 1961 zabija się wyskakując (lub będąc wypchnięty) z okna siódmego piętra swego mieszkania. Pogrzeb Hollanda stał się manifestacją polityczną przeciwko ówczesnej władzy i służbie bezpieczeństwa.

JAROSZEWICZ PIOTR (1902-1992). Nauczyciel, generał dywizji. 1944 z-ca dowódcy I Armii WP. 1945-50 wiceminister obrony narodowej, 1952-80 Wiceprezes i Prezes Rady Ministrów. 1970-80 członek Biura Politycznego KC PZPR. Zamordowany w roku 1992 we własnym domu w Aninie.

JAROSZEWICZ-SOLSKA ALICJA (Inka) (1926-92). Porucznik WP, dziennikarka. 1943-45, ZMW, AL, w czasie Powstania Warszawskiego łączniczka AL w kanałach Starówka-Żoliborz. Od 1945 studia dziennikarskie i praca publicystyczna. Zamordowana wraz z mężem w 1992 roku.

JAWORSKA HELENA (1922). Poetka, publicystka. Kapitan WP. 1943-45 ZWM, GL, AL. Członkini KRN. Łączniczka AL w Powstaniu Warszawskim. Przepłynęła Wisłę po pomoc dla Powstania. Przewodnicząca ZMP (1954-56), który doprowadziła do rozwiązania. 1956-68 dziennikarka.

KACZMAREK ZDZISŁAW (1928). Hydrolog, profesor Politechniki Warszawskiej. Od 1981 Sekretarz Naukowy Polskiej Akademii Nauk.

KONIŃSKI EDWARD płk. Szef sztabu KBW.

KOMAR WACŁAW (1909-1972). Generał. Przed 1936 działalność antyhitlerowska w Niemczech, członek sztabu Kominternu, którym kieruje Dymitrow. 1936-39 dowódca 129 Brygady Międzynarodowej w wojnie domowej w Hiszpanii. 1939 roku ucieka nielegalnie do Francji, walczy jako szeregowy w I Dywizji Grenadierów Armii Polskiej we Francji. Ranny, wzięty do niewoli niemieckiej sześciokrotnie z niej ucieka. Organizuje Polską Misję Wojskową we Francji, 1946 po powrocie do kraju jest szefem II oddziału WP. 1952-54 aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. 1955-56 dyrektor fabryki tranzystorów na Marymoncie w Warszawie. Zrehabilitowany w 1956 roku, zostaje dowódcą Wojsk Wewnętrznych.

KORCZYŃSKI GRZEGORZ (1915-1971), gen. 1936-39 udział w wojnie domowej w Hiszpanii, internowany w obozie we Francji.

Ucieka z obozu 1940-43 i bierze udział w Ruchu Oporu we Francji. 1944 przedostaje się do Polski. 1944-45 dowódca obwodu AL na Lubelszczyźnie, 1945 szef urzędu bezpieczeństwa w Gdańsku, 1950-55 zaaresztowany (świadek oskarżenia przeciwko Gomułce). 1965-71 wiceminister obrony narodowej.

KOZŁOWSKA HELENA „Ola” (1906-1968). 1943-45 PPR, GL, AL. Bierze udział w Powstaniu Warszawskim na Starówce i Żoliborzu w szeregach AL. Po wojnie pracuje w Komitecie Centralnym PPR i PZPR.

KRAUS DANIEL „Duwcio” (1906-1981). Urodzony w Bieszczadach, emigruje do Francji w 1924 roku. 1936-39 bierze udział w wojnie domowej w Hiszpanii. 1939-43 obozy we Francji i Afryce północnej. Od 1943 oficer batalionu szturmowego I Armii WP. 1945 KBW. 1946-56 pracuje w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i w KC PZPR. Emigruje do Szwecji z rodziną w 1968 roku.

KUTIN JÓZEF „Pepé” (1911-1995). Inżynier. Studia w Paryżu do 1936. 1936-39 wojna domowa w Hiszpanii w sztabie gen. Świerczewskiego. 1940-42 bierze udział w Ruchu Oporu we Francji. Organizator batalionu międzynarodowego „Carmagnola”. 1942 aresztowany przez gestapo pod Lyonem, wywieziony do Oświęcimia. Wraz z Cyrankiewiczem, Hołujem, Furmajerem jest organizatorem ruchu oporu w Oświęcimiu. 1945-48 mieszka w Paryżu, bierze udział w organizowaniu polsko-francuskiej współpracy ekonomicznej. 1948 powrót do Polski. 1948-68 wiceminister handlu zagranicznego. W Marcu 68 staje się jednym z głównych celów nagonki moczarskiej i zostaje zwolniony z pracy. W 1972 roku wyjeżdża do Francji.

LAMPE ALFRED (1900-1943). Działacz KPP, założyciel KZMP i współorganizator ZPP i I Dywizji WP.

LPIŃSKI ERYK (1908-1991), karykaturzysta, współzałożyciel *Szpilek*. 1935 oraz 1947-53 redaktor naczelny *Szpilek*. Założyciel i kustosz Muzeum Karykatury w Warszawie. Inicjator i prezes Społecznego Komitetu Opieki nad Cmentarzami i Zabytkami Kultury Żydowskiej.

LUDAWSKA JANINA (1923). Teatrológ, doktor filozofii. Wykładowca Wyższej Szkoły Teatralnej, dyrektor departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki do 1968 roku. Od 1969, Uniwersytet

w Sztokholmie, Instytut Sztuki i praca społeczna w ARCE (pomoc chorym na AIDS).

MANKIEWICZ CZESŁAW (1920-1990). Generał. Przed wojną studia na Politechnice Warszawskiej. Inżynier. 1942-43 PPR GL. 1943 zaaresztowany przez gestapo. 1945-50 w sztabie wojsk lotniczych, 1951 Dyrektor LOT-u, 1952-54 uwięziony w Polsce. 1956 powrót do wojsk lotniczych, 1963-67 dowódca wojsk lotniczych. 1967 usunięty z wojska w ramach nagonki moczarowskiej za rzekome sprzyjanie Izraelowi po wojnie sześciodniowej.

MATWIN WŁADYSŁAW (1916). Technik, matematyk. Przed wojną działacz robotniczy. 1943-44 ZPP, przedstawiciel ZPP w Teheranie. 1945 Sekretarz PPR we Wrocławiu, 1949-52 Przewodniczący ZMP, 1952-54 Sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, 1955-63 jeden z trzech liberalnych „Młodych Sekretarzy” KC PZPR. 1963 usunięty przez Gomułkę z aparatu partyjnego za brak subordynacji. 1963-67 studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Po magisterium pracownik Instytutu Matematyki Polskiej Akademii Nauk.

MOCZAR MIECZYŚLAW (1913-1986). Od 1937 w KPP. 1942-45 dowódca obwodów łódzkiego, lubelskiego, kieleckiego GL i AL. 1945-48 członek KC PPR. 1949-55 wojewoda olsztyński. 1956-81 członek KC PZPR i sekretarz KC. Przewodniczący ZBOWiD-u. 1968-71 z-ca członka i członek Biura Politycznego KC PZPR. 1964-68 wiceminister i minister spraw wewnętrznych. „Moczarowcy”, „Partyzanci” stworzony przez Moczara nacjonalistyczny ruch o podłożu antysemitycznym i antyinteligentnym, mający na celu obalenie Gomułki i całkowite objęcie władzy (marzec 68). W późnych latach 70-tych ponowna próba puczu przeciw Edwardowi Gierkowi powoduje szereg aresztowań i zwolnienie Moczara z funkcji ministra spraw wewnętrznych.

MORAWSKA HANNA (1918-1995). Kpt. dr hab. historii sztuki. 1943-45 PPR, GL i AL. Zastępca dowódcy „Czwartaków” AL w Powstaniu Warszawskim, przepływa Wisłę po pomoc dla Powstania. Po wojnie Ministerstwo Oświaty, Uniwersytet Warszawski. Instytut Historii Sztuki. Zajmowała się historią sztuki nowoczesnej i malarstwem francuskim XIX wieku.

MORAWSKI JERZY (1918). Ekonomista. Publicysta. 1942-45 GL, AL, PPR, redaktor nielegalnej *Trybuny Wolności* i *Walki*

*Młodych*. 1944 bierze udział w Powstaniu Warszawskim w Śródmieściu w szeregach AL. 1945-50 wiceprzewodniczący ZWM i od 1948 ZMP. 1950-52 skierowany do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu, 1954-55 kierownik wydziału Prasy i Propagandy KC PZPR, od stycznia 1955 – Sekretarz KC PZPR, jeden z trzech „Młodych sekretarzy”, 1956-63 członek Biura Politycznego KC PZPR. 1963 usunięty z aparatu partyjnego przez Gomułkę za niezgodność polityki. 1964-69 Ambasador Polski w Londynie. W ramach moczarowskiej nagonki w marcu 68 na zebraniu partyjnym w Ambasadzie wykluczony z PZPR. 1969-70 fikcyjne stanowisko wicedyrektora Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie. Od 1970 roku jest wycofany z wszelkiej działalności partyjnej i państwowej. Pracuje nad współczesnymi zagadnieniami ekonomicznymi i politycznymi Polski.

MOTYKA LUCJAN (1915). Działacz młodzieżowy PPS. 1943-45 więzień Oświęcimia, 1947-48 przewodniczący OMTUR; 1948-49 wiceprzewodniczący ZG ZMP. 1955-57 i 1964-71 wiceminister kultury i minister kultury. 1971-75 Ambasador Polski w Pradze Czeskiej.

MUŚ WŁODZIMIERZ (1918-1993). Generał, historyk. Działacz chłopski. 1937-39 uwięziony w Berezie Kartuskiej za działalność komunistyczną. Brał udział w obronie Leningradu w szeregach Armii Czerwonej. 1945 z-ca dowódcy 2-giej Dywizji Piechoty WP dowódca Samodzielnego Pułku Ochrony Rządu, 1949-64 z-ca dowódcy KBW i dowódca KBW. 1965-68 *attaché* wojskowy w Budapeszcie. W czerwcu 1970 za niepodporządkowanie się antysemitkiej polityce Moczara zwolniony z służby wojskowej. Magazynier w Archiwach Państwowych. Zwalnia się i zajmuje się studiami nad współczesną historią Polski.

NASZKOWSKI MARIAN (1912). Generał. Studia filozoficzno-polityczne na Uniwersytecie Lwowskim. Działacz ZPP, współorganizator I Dyw. im. Tadeusza Kościuszki. 1945-47 Szef Misji Wojskowej we Francji. 1947-50 Ambasador Polski w Moskwie, 1952-68 wiceminister spraw zagranicznych. 1968-72 redaktor naczelny *Nowych Dróg*, 1972-77 przedstawiciel Polski w Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie.

NOWOTNY SYLWESTER „Siwka”. Studiował w Pradze Czeskiej. Inżynier-mechanik. Po 1945 pierwszy dyrektor Fabryki Samochodów Osobowych. Następnie pełnił różne funkcje w dziedzinie

gospodarczej m.in. w latach 60-tych był radcą handlowym w Belgradzie. Opuścił Polskę w roku 68.

OCHAB EDWARD (1906-1989). Działacz partyjny. Od 1929 w KPP. Współzałożyciel ZPP. 1943-44 I Dywizja i I Armia WP. Po wojnie sprawował wiele funkcji partyjnych i państwowych. 1956 I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, 1964-68 z-ca i Przewodniczący Rady Państwa i Frontu Jedności Narodowej. W 1968 jako protest przeciwko wydarzeniom marcowym wycofał się z życia politycznego.

PASZKOWSKI ZBIGNIEW STANISŁAW (1913-1975). Przedwojenny działacz młodzieżowy KZMP, sekretarz Komitetu Dzielnicowego Żoliborz. 1936-39 uwięziony za działalność komunistyczną. 1942-45 PPR, GL, AL. Kierownik laboratorium chemicznego (produkcja granatów), kierownik zaopatrzenia sztabu AL. 1944 w czasie Powstania Warszawskiego dowódca oddziału AL na Woli. 1955-64 Dyrektor Generalny Komitetu Bezpieczeństwa i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W Październiku 56 oficer ochrony Belwederu. 1964 wykrywa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych spisek przygotowywany przez Moczara i jego popleczników. Ostrzega przed tym Gomułkę. Jest to uznane przez Gomułkę za przejaw choroby umysłowej i pod tym pretekstem „ze względu na stan zdrowia” w 1964 r. Paszkowski zostaje zwolniony z pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i pozbawiony praw do jakiegokolwiek działalności.

ROŻAŃSKI HENRYK (1913-1989). Absolwent Wydziału Mechanicznego Wyższej Szkoły Włókienniczej w Łodzi. Jako podporucznik bierze udział w działaniach wojennych w 1939 roku. 1943 bitwa pod Lenino. Po 1945 jest wiceministrem przemysłu i dyrektorem biura ekonomicznego Rady Ministrów. Autor książki „Śladem wspomnień i dokumentów 1943-48” (Państwowe Wydawnictwa Naukowe 1987) ciekawy przyczynek do stosunków polsko-sowieckich.

SAMET LEON (1908-1973). Doktor medycyny, generał. 1939-43 mieszkał we Francji i w Algierii. 1936-39 uczestnik wojny domowej w Hiszpanii w służbie sanitarnej Brygad Międzynarodowych, szef szpitala polowego. 1945 szef Służby Zdrowia WP.

SOKORSKI WŁODZIMIERZ (1908). Współorganizator ZPP. Z-ca dowódcy do spraw oświatowych I Dywizji im. Tadeusza

Kościuszki. 1944-45 pracuje w sowieckich związkach zawodowych w Gruzji. 1945-52 Sekretarz Generalny Związków Zawodowych, 1952-56 minister kultury, 1956-72 Prezes Radia i Telewizji. Po 1970 publicysta.

SPYCHALSKI MARIAN (1906-80). Z zawodu architekt, marszałek Polski. Od 1942 w PPR, członek dowództwa GL i AL. 1945 Zastępca Naczelnego Dowódcy WP, 1945-48, wiceminister obrony narodowej, członek Biura Politycznego PPR i PZPR. 1950-55 za-aresztowany, jest koronnym świadkiem oskarżenia za sprawy szpiegostwa w wojsku. Zrehabilitowany w roku 1956. 1956-68 minister obrony narodowej, 1968-70 Przewodniczący Rady Państwa. 1959-70 członek Biura Politycznego KC PZPR.

STAREWICZ ARTUR (1917). Z wykształcenia chemik. 1956-63 kierownik Biura Prasowego KC PZPR. 1963-71 Sekretarz KC PZPR. 1971-78 Ambasador Polski w Londynie.

STASZEWSKI STEFAN (1906-1989). Działacz komunistyczny. 1939-45 w ZSSR. Po 1945 sprawował funkcje w aparacie partyjnym, między innymi do 1963 roku kierownik wydziału prasy KC PZPR. W czasie Października 56 Sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR.

STRYJKOWSKI JULIAN (1905-1997). Pisarz. 1932 – nauczyciel języka polskiego i literatury polskiej w gimnazjum w Płocku. 1935-36 więziony za działalność komunistyczną, 1939-41 Lwów, dziennikarz *Czerwonego Sztandaru*, 1943-46 praca w redakcji *Wolnej Polski* organu ZPP. 1949-52, korespondent PAP w Rzymie. 1954-78 kierownik działu prozy miesięcznika *Twórczość*. Członek PPR i PZPR do 1966 roku. Autor książek, m.in. „Bieg do Fregala”, „Głosy z ciemności”, „Austeria”.

SZLEYEN MIECZYŚLAW (1905-1955). Doktor chemii. 1936-39 w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii. Redaktor gazety *Dąbrowszczak*. 1939-43 internowany w obozach we Francji i Afryce północnej. 1943-45 w I Dywizji Wojska Polskiego w randze pułkownika. Po 1945 pracuje w służbie szkoleniowej w wojsku i na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej.

SZYR EUGENIUSZ (1915). Ekonomista, pułkownik. Studiował we Francji. Działacz komunistyczny. 1936-39 w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii. 1939-43 więziony i internowany



w obozach we Francji i na południu Algierii. 1943-44 I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki i II Armia WP. 1944-45 pełnomocnik Tymczasowego Rządu Polskiego przy I i IV Froncie Ukraińskim. 1945-70 między innymi wiceminister handlu zagranicznego i z-ca Przewodniczącego PKPG. 1970-1982 Wicepremier i członek KC PZPR. Obecnie przewodniczący Związku Dąbrowszczaków.

TAUBENFLIGEL WIKTOR (1911-1989). Docent, dr medycyny, chirurg, kpt. armii amerykańskiej. 1936-39 w służbie zdrowia Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. 1939 internowany w obozie St. Cyprien, wysłany przez Czerwony Krzyż do Chin i do Burmy. 1945 powrót do Polski, dr chirurgii w Klinice Akademii Medycznej w Trójmieście. 1951-54 zaaresztowany pod zarzutem szpiegostwa, 1955-68 docent Akademii Medycznej w Trójmieście. 1968 na skutek antysemitycznej akcji Marca 68 wyjazd wraz z dziećmi do Kanady. 1969-89 praktyka lekarska w Toronto.

TEMPSKA KRYSZYNA. Druga żona Józefa Cyrankiewicza. Pierwszą żoną była aktorka Nina Andrycz.

TORUŃCZYK HENRYK (1909-1966). Inżynier. Pułkownik. Przed wojną ukończył studia w Wyższej Szkole Tekstylnej w Belgii. 1936-39 w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii. Po utworzeniu Drugiego Frontu major, dowódca Brygady imienia Dąbrowskiego. 1939-43 internowany w obozach we Francji i północnej Afryce. 1943-45 Dowódca Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego. 1945 Dyrektor Generalny w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego.

WICHA WŁADYSŁAW (1904-1984) Przedwojenny działacz komunistyczny. W czasie wojny był w Londynie. W Polsce od 1956 roku minister spraw wewnętrznych.

WIŚNIEWSKI JAN (1920-1969). Kontradmirał. D-ca Marynarki Wojennej, wiceminister żegluga.

ZARZYCKI JANUSZ (1914-1995). Architekt, generał. Podchorąży po Szkole Artylerii w 1938 roku. 1941-42 wraz z Jerzym Albrechtem organizuje pierwsze grupy lewicowej organizacji bojowej w Polsce 1942 PPR, GL „Wojtek” – oficer sztabu GL odpowiedzialny za szkolenie bojowe. Aresztowany w czerwcu 43, osadzony w Oświęcimiu, potem w Buchenwaldzie. 1945-47 z-ca szefa i szef Głównego Zarządu Politycznego WP. 1948-50 pierwszy Przewod-

niczący ZMP. 1950-56 Przewodniczący Organizacji Szkolenia Zawodowego. 1956-60 powrót do wojska, szef Głównego Zarządu Politycznego WP. 1960 odwołany ze służby wojskowej. 1960-67 Przewodniczący Stołecznej Rady Narodowej. 1967 odwołany z funkcji Przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej na skutek niepodporządkowania się polityce moczarowskiej i ostrego sprzeciwu wobec akcji antysemitkiej w Polsce.

ZAWADZKI ALEKSANDER (1918-1997). 1939-45 Warszawa i Kraków, działalność charytatywna w Radzie Głównej Opieki (RGO), Po 1955 profesor Wydziału Fizyki Uniwersytetu Łódzkiego, Dyrektor Zakładu Fizyki Promieniowania Kosmicznego IBJ w Łodzi. Po 1968 profesor CNRS w Instytucie Fizyki Cząstek Elementarnych w Paryżu, wykładowca w Collège de France.

ZIMAND ROMAN (1926-1992). Krytyk, historyk literatury. 1945 działacz młodzieżowy ZWM, ZMP, PPR i PZPR, usunięty z PZPR w końcu lat 50-tych. Pracował w redakcji *Po prostu* i od 58 roku w Instytucie Badań Literackich PAN.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

### JAK ROBILIŚMY ENCYKLOPEDIĘ

Sądzę, że w każdym znaczącym tytule pracy powinno znaleźć się słowo-klucz, na pierwszy rzut oka sygnalizujące czytelnikowi nie tylko treść, ale także zasadnicze znaczenie zamieszczonego pod tytułem tekstu. W moim przypadku takim słowem jest orzeczenie, tak ze względu na czas przeszły i liczbę mnogą, jak i na swoją semantyczną wartość. Wydarzenia, które chcę przedstawić, miały miejsce przed wielu laty, były zbiorowym dziełem małej grupki ludzi, a co najważniejsze wymagały istotnie „roboty”, w sensie całkowicie fizycznym. A ponieważ nie należałem do architektów ambitnego planu stworzenia pierwszej powojennej polskiej encyklopedii, będąc zwykłym, szeregowym pracownikiem tego przedsięwzięcia, mającego wkrótce rozrosnąć się w potężny gmach, chcę przypomnieć pracę, jaką porównać można do wysiłku murarzy, starannie, mozolnie układających pierwsze cegły gmachu tego, stanowiąc mające podwaliny.

Przygoda z encyklopedią zaczęła się w początkach roku 1956, przedtem bowiem o jakimkolwiek obiektywnym przedstawieniu rzeczywistości mowy być nie mogło. Ale polityczna odwilż tego pamiętnego roku pozwoliła wreszcie na podjęcie próby takiego właśnie, bezstronnego i możliwie wszechstronnego pokazania świata czytelnikowi, który od dwudziestu bez mała lat rzeczowej informacji był pozbawiony.

Nie wiem, kto w ponurym gmachu KC decyzję zaakceptował, wiem tylko, że wśród inicjatorów znaleźli się Aleksander Gieysztor, Eugeniusz Olszewski i Jan Żabiński, a więc przedstawiciele nauk humanistycznych, technologii i nauk przyrodniczych, reprezentujący trzy odmienne dziedziny wiedzy, ale najwidoczniej złączeni wspólnym celem wiedzy tej udostępnienia i spopularyzowania. Naturalnym wyborem stało się Państwowe Wydawnictwo Naukowe w Warszawie, jako instytucja dysponująca zarówno doświadczonym już zespołem pracowników, jak i najszerszym dostępem do potencjalnych autorów haseł przyszłej encyklopedii.

W PWN pracowałem wtedy od pięciu lat, starając się trzymać jak najdalej od wszelkich stanowisk wymagających zaangażowań w okresie stalinizmu i poststalinizmu, toteż po zmianie kilku działów pracy ustąpiłem sobie wygodne gniazdko w redakcji technicznej, pod bacznym i fachowym okiem red. Ludwika Syty, starego i doświadczonego wydawcy. Była to praca idealnie odpowiadająca moim zainteresowaniom – umiejętność przekształcania autorskiego maszynopisu w drukowaną książkę. W dodatku zespół koleżanek i kolegów był wyjątkowo dobrany, poza jednym, nieszkodliwym zresztą towarzyszem partyjnym, byliśmy wszyscy, w taki czy inny sposób, ludźmi starającymi się trzymać się od polityki jak najdalej, przy czym stosunkowo niedawne, okupacyjne i powojenne doświadczenia nie pozostawały bez wpływu na taką właśnie postawę.

PWN, podobnie jak wszystkie prawie wydawnictwa tego okresu, było oazą dla tego właśnie typu ludzi. W pobliskim PIW-ie pracowała Izabella Radziwiłłowa, do nas zaś trafiali ludzie typu Cata-Mackiewicza, który po powrocie do kraju tutaj właśnie osiadł i starał się na nowo zapuścić korzenie. Później, w latach sześćdziesiątych, do wydawnictw masowo przenoszono zdyskredytowanych kacyków partyjnych (osławiony szef bezpieczeństwa Różański, jako dyrektor PIW!), na szczęście okresu tego już w Polsce nie doczekałem, a tylko zza oceanu śledziłem ten oburzający proces. Na razie jednak liberalnej atmosferze sprzyjało kierownictwo naszego wydawnictwa, któremu dyrektorował Tadeusz Zabłudowski, znany z napisanej na jakimś liście decyzji: „Chyba tak, ale może

raczej nie”. A kiedy po październiku 1956 r. masowo zwalniać zaczęto więźniów politycznych stalinizmu, zdarzyło się, że Jerzy Świrski, redaktor gazety PSL-u, zapytany przez prokuratora gdzie chciałby po zwolnieniu pracować, odpowiedział: „Kiedy szefem cenzury był Zabłudowski dobrze mi się z nim układały stosunki. Więc może pójdę do niego?”. Nic też dziwnego, że wkrótce potem zastąpił go przedwojenny warszawski księgarz, Adam Bromberg, przez wiele lat paradujący po Warszawie w pułkownikowskim mundurze Armii Berlinga, ale daleki od forsowania swoich poglądów ideologicznych, bez względu na to, jak szczerych. Toteż nie przestraszyliśmy się zbytnio, kiedy nowym kierownikiem stanowiącego w każdej instytucji postrach pracowników działu personalnego został inny jeszcze pułkownik, Jerzy Hoffman, od pierwszych dni urzędowania zyskujący sobie ogólny szacunek i sympatię otwartym, przyjaznym stosunkiem do całego zespołu wydawnictwa. Szeptano, że mimo młodego wieku zajmował jakieś wysokie stanowisko w wojsku, ale że na własną prośbę przeszedł do nowej pracy, gdzie zresztą od lat naszą koleżanką była jego przemiła żona. Zdziwiłem się bardzo, kiedy któregoś dnia wszedł do naszej redakcji i dyskretnie poprosił mnie na pogawędkę na korytarzu, lata bowiem poprzednie przyzwyczyły do rygorystycznego wzywania „do personalnego” i zwykle mało przyjemnych rozmów na tematy zbyt małego czy zgoła żadnego zaangażowania w prace społeczne, od których starałem się zawsze stronić, wiedząc czego są przykrywką. Ale ta rozmowa okazała się przyjemną niespodzianką. Hoffman oświadczył, że powierzono mu zorganizowanie zupełnie nowej komórki, Redakcji Encyklopedii, i zaproponował mi przeniesienie do tworzącego się zespołu. Obiecywał pracę ciekawą, wymagającą dużej inicjatywy i zaangażowania, entuzjazmu nawet, a perspektywy, jakie mu się rysowały wyglądały nadzwyczaj interesująco. Potrzebował ludzi mających do pracy wydawniczej stosunek twórczy, znających języki i gotowych na wielką przygodę. Nie bez znaczenia było stanowisko redaktora, znaczna podwyżka pensji i możliwości dodatkowych zarobków, co człowiekowi nie rozpieszczanemu przez kierownictwo premiami czy nagrodami obiecywało

znaczne ułatwienie życia. Zgodziłem się po krótkim namyśle.

Wydawnictwo mieściło się wtedy w odbudowanej zabytkowej kamienicy na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej, a z okna miałem wspaniały widok na Trasę W-Z, odległą panoramę Wisły i jej praski brzeg, toteż z żalem przeniosłem się do malutkiego pokoiku od strony Miodowej, z oknem wychodzącym na róg Koziej i historyczną kawiarenkę, ale nowa praca nie zostawiała wiele czasu na podziwianie widoków. Siedzieliśmy tam we czworo, jako prawdziwi pionierzy mającej powstać encyklopedii: Jerzy Hoffman, Aniela Święcka, ja i – po paru dniach – Stefan Biernacki. Były szef personalny najwidoczniej starannie przestudiował nasze teczki, gdyż trudno było wymarzyć sobie lepszą i bardziej zgraną grupę. Anielę wyciągnął z Hali Maszyn, gdzie przez osiem godzin dziennie przepisywała redagowane maszynopisy, marnując swoją wysoką inteligencję i znajomość języków. Stefan zaś, jeden ze skazanych w politycznym „procesie pułkowników” WP i zupełnie niedawno zwolniony z mokotowskiego więzienia, był człowiekiem wielkiej kultury i wiedzy. Każde z nas znało francuski, niemiecki i rosyjski – dobra, przedwojenna szkoła i lata obu okupacji dawały teraz niespodziewane dywidendy. A moja początkowa znajomość angielskiego miała także się przydać w najbliższej przyszłości. Wszyscy troje byliśmy przedstawicielami „najczarniejszej reakcji”, co naszemu wodzowi w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Uważał widocznie, że jego partyjny staż i wysoki stopień wojskowy wystarczą, żeby zapewnić zespołowi należyte zaufanie komórki Podstawowej Organizacji Partyjnej, która w tym okresie stawiała się coraz mniej agresywna i na ogół zostawiała nas w spokoju. Jednym z jej filarów była Irena Krońska, która co prawda przyszła w głębokiej żałobie i płakała autentycznymi łzami na akademii po śmierci Stalina, ale ostatnio dziwnie złągodniała.

Nie mieliśmy żadnych precedensów ani nawet wzorów tego rodzaju pracy, wszystko trzeba było samemu wymyślić.

Na zestawionych trzech biurkach położyliśmy podstawowe na początek narzędzia pracy – po trzy egzemplarze trzech jednotomowych encyklopedii, które miały służyć jako pewnego rodzaju wzór naszego dzieła: małego Larousse’a,

Małą Encyklopedię Sowiecką i wydany w NRD A-Z Lexikon. Każda z nich zawierała ok. 40 000 haseł, tyle ich bowiem miało znaleźć się i u nas. Jeden egzemplarz każdego wydawnictwa miał służyć jako podręczny, dwa pozostałe przeznaczono na pocięcie w cieniutkie paski pojedynczych haseł. Oprócz encyklopedii zostaliśmy zaopatrzeni w tysiące czystych kartek i setki pojemnych pudeł, a nade wszystko w nożyczki i klej, od tego bowiem należało zacząć. Z pasją więc i energią zaczęliśmy ciąć każdy tom na pojedyncze, często dwu- lub trzyczęściowe hasła i naklejać te krucho pasieczki na pojedyncze karty, przy czym, jak się okazało, nasze siły nie mogły wystarczyć, ruszyła więc machina „prac zleconych” – kto chciał i mógł brał do domu tę żmudną robotę, a nazajutrz zostawaliśmy zasypywani tysiącami i tysiącami kart ułożonych najczęściej zupełnie przypadkowo, w czym nie małą rolę grała bezsensowna kolejność liter rosyjskiego alfabetu.

I tu dopiero okazywały się pomocne nasze obce języki: każde z tych haseł trzeba było przetłumaczyć na polski, potem zaś, gdy okazało się, że francuski *maison*, rosyjski *dom* i niemiecki *haus* znaczą dokładnie to samo, spinaliśmy trzy kartki i pod hasłem „Dom” zaznaczaliśmy tryumfalnie, że występuje ono we wszystkich trzech obcych encyklopediach. Hasła natomiast występujące tylko w jednej z nich, najczęściej hasła geograficzne i nazwiska, były sygnałem lokalnego jedynie zainteresowania i nie miały szansy zakwalifikować się do polskiego wydawnictwa. W sumie nie zawsze była to praca budująca intelektualnie, ale budująca w sensie tworzenia kośćca przyszłej encyklopedii – zestawu haseł.

Nikomu śnić się wtedy nie mogło, że w dwadzieścia lat później komputer całą tę pracę wykonać potrafi w ciągu paru sekund, po naciśnięciu jednego klawisza...

Na razie obstawieni byliśmy pudłami i kartkami, a że administracja całym tym bogactwem wymagała specjalnego sekretariatu, dołączyła do nas młodziotka Basia Górnicka, podczas gdy równocześnie, na wyżynach nam niedostępnych i nieznanach, przyszła encyklopedia obrastać zaczęła gronem komitetów redakcyjnych i doradczych, co w końcu stworzyło ogromną – i ogromnie kosztowną – „czapę” ludzi ciągnących z wydawnictwa zyski zgoła nieprawdopodobne. Na czele

Komitetu Redakcyjnego, złożonego z dyrektorów PWN, stanął niespożyty Bogdan Suchodolski, o którym natychmiast puszczono w kurs anegdotę, że jako jeden z pierwszych w Polsce profesorów kupił sobie niemieckiego wartburga, w inny bowiem sposób nie zdążyłby objeżdzać kas, z jakich pobierał niezliczone honoraria...

W naszej małej redakcji nie mówiliśmy o tym, podobnie jak stosunkowo spokojnie przyjęliśmy rewelacje czerwcowych wypadków w Poznaniu, pytając tylko spoglądając na naszego szefa, który czuł się coraz bardziej zgubiony w narastających zmianach politycznych i szukał ucieczki w jak najintensywniejszej pracy, potrzeba bowiem wydania encyklopedii stała się teraz najzupełniej jasna. Czasem tylko dochodziły niepokojące sygnały i to ze stron najmniej spodziewanych. Jednym z naszych stałych pomocników do „prac zleconych” był sympatyczny pracownik działu produkcji, Zygmunt Goldberg. Tego lata, kiedy przynosił do redakcji kolejny stos naklejonych na karteczki haseł, siadał na chwilę i wcale się nie krępując obecnością naszego szefa, wzdychał: „A ja wam mówię, że to się wszystko źle skończy. Na wszelki wypadek złożyłem podanie o wizę do Izraela i wyjeżdżam zanim się tu zacznie...”. Przeszedł przez Rosję i nie miał żadnych złudzeń. Wkrótce też istotnie wyjechał.

Ale my nie mieliśmy takich obaw i staraliśmy się, żeby encyklopedia ukazała się jak najszybciej, w okresie korzystnych zmian na każdym odcinku życia publicznego. Szły więc podzielone teraz na działy zestawy haseł do odpowiednich redakcji PWN, gdzie uzupełniano je propozycjami haseł o tematyce polskiej, a potem odsyłano znowu do nas, dla porównania, eliminacji, rzeczy na jakie nie było w naszej encyklopedii miejsca, dla uporządkowania całej tej coraz bardziej rozpędzonej lawiny. Równocześnie ustalaliśmy miary objętości haseł, proporcje ich i długość. Nie byliśmy aż tak precyzyjni jak Anglosasi, którzy maszynopis określają ilością słów, ale wyliczaliśmy możliwie precyzyjnie ilość wierszy przeznaczonych na każdy typ hasła, od najdrobniejszych do dużych, zbiorowych, poświęconych np. krajom, ich geografii, ekonomii, historii, kulturze.

W ciągu dosłownie paru miesięcy zbudowaliśmy solidne,



trwałe fundamenty dla mającej powstać encyklopedii.

Pod koniec roku coraz wyraźniejsze się stało, że dotychczasowa Redakcja Encyklopedii przestała wystarczać celom, jakie się wyłaniały, że nadszedł czas specjalizacji, podczas gdy ta pierwsza komórka przekształcić się musiała w Redakcję Zestawu Haseł i to redakcję raz jeszcze nastawioną na daleką przyszłość, widzieliśmy bowiem już zupełnie wyraźnie, że Mała Encyklopedia (jak ją umownie nazwano), może być doskonałym, ale tylko początkiem zamierzenia większego, Wielkiej Encyklopedii, na jej podstawie stopniowo tworzonej. Na razie jednak trzeba było ustalić pewne standardy, ujednoczyć charakter i rozmiary planowanych haseł, które przy pomocy poszczególnych redakcji działowych zamawiać mieliśmy u wybranych specjalistów-autorów.

I tu rozpoczął się rozdział nowy, być może trudniejszy od poprzedniego, wymagający bowiem już nie kleju i nożyczek, ale subtelnej dyplomacji w stosunku do ludzi, z których wielu uważało się za primadonny naukowe i nie pozwalało na najmniejsze nawet zmiany w przygotowanych dla redakcji tekstach. A trudno nieraz było wytłumaczyć panu podpisującemu się „prof. zw. dr hab.”, że skoro np. hasło Krasiński obliczono na rozmiar ok. 15 wierszy, to hasło np. Lermontow nie może być dłuższe. Później, gdy opracowywaliśmy już hasła szersze, przygotowywane do Wielkiej Encyklopedii PWN, pamiętam, że Cat-Mackiewicz urządził mi dosyć ordynarną awanturę, gdy próbowałem go przekonać, że zamówione u niego hasło Dostojewski trzeba dostosować do standardów haseł innych. W rezultacie sprawa oparła się o najwyższy Komitet Redakcyjny złożony z dostojnych członków Polskiej Akademii Nauk i napisanie hasła powierzono innemu autorowi... Ale to miało dopiero nadejść, na razie mieliśmy tylko przedsmak czekających nas problemów.

Tymczasem na zewnątrz, poza redakcją, toczyły się coraz szybciej wypadki ważniejsze, ogólne i to na jakiś czas odrywało od wytężonej pracy. W okresie października 1956 r. PWN przeprowadzało się do nowego lokalu przy Miodowej, a nie mając na razie odpowiedniej sali zebrań, starym zwyczajem korzystaliśmy z gościnności sąsiedniego Związku Literatów (dokąd „wyskakiwało się” codziennie na kawę) i w

tych dramatycznych dniach tam właśnie odbyło się zebranie kilkusetosobowego pełnego zespołu pracowników PWN, nie pozbawione zresztą momentów komicznych, mimo że głośno już mówiono o groźbie sowieckich czołgów idących na Warszawę, groźbie, jak mieli się o tym przekonać mieszkańcy Budapesztu a później czeskiej Pragi, bynajmniej nie przesadzonej. Kiedy w tej pełnej napięcia atmosferze na podium wszedł dyrektor Bromberg i wielkim głosem zawołał, że „my, dzieci Warszawy, własną pierśią bronić będziemy naszej ukochanej stolicy”, gdzieś z głębi sali padło niegłośne pytanie: „A przed kim, towarzyszu dyrektorze?”, na co skonsternowany trybun zamilkł na resztę wieczora... A przecież mimo napięć i udziału w manifestacjach na placu Defilad, trzeba było ciągnąć swoją robotę, tym bardziej, że wisiał nad nami wszechwładny w tych czasach „harmonogram produkcyjny”, coraz dokładniej zapełniany datami terminarz zgrania wszystkich skomplikowanych operacji przygotowawczych.

W tym też okresie stało się jasne, że współpraca z redakcjami działowymi PWN nie wystarczy, że trzeba będzie stworzyć własny, niezależny system opracowania i wydania encyklopedii, wkrótce też powstał osobny pion, kierowany przez Leona Marszałka, bezpartyjnego zastępcę dyrektora, człowieka energicznego i doświadczonego, o którym nieliczni tylko wiedzieli, że w okresie okupacji był ostatnim naczelnikiem Szarych Szeregów AK – mimo październikowej odwilży głośno się o tych sprawach wciąż jeszcze nie mówiło. Do Komitetu Redakcyjnego, poza figurantem Suchodolskim i Marszałkiem, weszli obaj dyrektorzy PWN, dawny i obecny, bliżej nikomu nie znany tow. Wolański, a z zespołu PWN partyjny kierownik redakcji chemii Alfred Windholz i stary, przedwojenny jeszcze wydawca z lwowskiego Ossolineum, dr Bolesław Stachoń. Pod ich wspólnym kierownictwem powstawać zaczęła Redakcja Encyklopedii PWN, której prawie czterdziestoosobowy zespół miał podzielić opiekę nad poszczególnymi działami opracowania.

Stachonia znałem dobrze z pierwszych dni pracy w nowo stworzonym wydawnictwie, gdy w 1951 r. przyszedłem do kierowanego przez niego Działu Skryptów, jedynej bodajże w całym wydawnictwie komórki bez partyjnej „wtyczki”, gdzie

przez przeszło rok zajmowałem się tymi pierwszymi próbami wydawnictw naukowych, zdobywając od warszawskich przede wszystkim profesorów maszynopisy przygotowywanych podręczników akademickich, których na rynku nie było. Z czasem, stopniowo, miały się one przerodzić w normalne książki naukowe i podręczniki, na razie jednak zadowoleni byliśmy ze skromnych nawet osiągnięć, a były one bez wątpienia zasługą Stachonia, świetnego organizatora i dobrego człowieka. Toteż kiedy przyszedł do Redakcji Zestawu Haseł i zaproponował mi objęcie działu literatury w powstającej Redakcji Encyklopedii wiedziałem, że przechodzę do zespołu równie dobranego jak nasza pionierska komórka, z którą żal było się rozstawać, rozumiałem jednak, że nowe stanowisko jest nie tylko idealnie odpowiednie dla mojego wykształcenia i zainteresowań, ale stanowić będzie nareszcie taki rodzaj pracy wydawniczej, jaki mi najbardziej odpowiadał. Zdawałem też sobie dobrze sprawę, że tym razem nie uniknę decyzji politycznych, od jakich zawsze stroniłem, ale w okresie październikowych zmian i wysokich nadziei podszedłem do sprawy z zapałem prawie misjonarskim, a na pewno z głębokim przekonaniem, że dział mi powierzony opracuję uczciwie i bardziej bezstronnie, niż zrobić by to mógł ktoś dotychczas w sprawy polityczne zaangażowany.

Nie żałowałem tej decyzji. W obszernym, jasnym pokoju od Podwała, z szeroką panoramą dachów Starego Miasta przed oknami, zebrała się gromadka specjalistów, mających za sobą lata doświadczenia wydawniczego, a zarazem zdecydowanych doprowadzić do wydania encyklopedii najlepszej i najobiektywniejszej w możliwych wtedy warunkach. Przy sąsiednim biurku zasiadł Stefan Biernacki, który podobnie jak ja, poszedł za głosem powołania i zajął się opracowywaniem działu wojskowego, podczas gdy inni podzielili hasła według swoich specjalności i wspólnie ruszyliśmy w Polskę w poszukiwaniu autorów, którzy przygotowany zestaw haseł mieli wypełnić treścią, czyli po prostu napisać. Spędzało się teraz po pół dnia „na mieście”, jedyny bowiem w redakcyjnym pokoju telefon był stale zajęty, a perspektywa Trasy Królewskiej, przy której mieściły się nie tylko najważniejsze placówki życia kulturalnego, ale także niezliczone kawiarnie,

życiem tym nie mniej intensywnie tętniące, była atrakcyjnym oderwaniem się od krzesła, na którym przesiedzieć trzeba było ostatni rok nad rosnącymi kartotekami haseł. Uniwersytet i pałac Staszica stały się w mojej pracy równie ważne jak pokój przy Miodowej, a niezliczeni konsultanci, doradcy i autorzy wreszcie dostarczali wielu emocji, od najprzyjemniejszych po prawdziwe *horror stories*.

Do tej pierwszej kategorii zaliczyć trzeba było prof. Zdzisława Liberę, który z podziwu godnym spokojem torpedował próby czynione przez różnych wychowanków współczesnej polonistyki Instytutu Badań Literackich PAN, ażeby hasła z dziedziny literatury polskiej szpikować obowiązującym w latach pięćdziesiątych żargonem zaczerpniętym z programowego artykułu Stefana Żółkiewskiego „O literaturoznawstwie burżuazyjnym epoki imperializmu”. W napisanym przez siebie hasle „Polska literatura” z całą powagą zachował tradycyjny podział na Średniowiecze, Odrodzenie, Oświecenie, Romantyzm, Pozytywizm i Realizm, aż po 14-wierszową wzmiankę o okresie powojennym, a wszystko to utrzymane w tonie wyważonym i spokojnym, co było w okresie pisania hasła osiągnięciem niemałym. Nie wszyscy jednak doradcy i autorzy byli tak zrównoważeni. Urzędujący w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej ówczesny „papież” polskiej rusycystyki, prof. Marian Jakubiec, okazał się na postępujące zmiany całkowicie odporny i upierał się m.in. przy utrzymaniu wzorowanego na sowieckiej encyklopedii podziału na dwie odrębne literatury, rosyjską i radziecką, potem zaś, gdy doszło do wyboru autorów, proponował nazwiska ludzi całkowicie skompromitowanych propagandowymi wystąpieniami „w minionym okresie”, nic nie mającymi wspólnego z obiektywizmem encyklopedycznej informacji. W rezultacie sprawa oparła się o kogoś wysoko postawionego w KC, aż w końcu polecono nam jako autora haseł ze współczesnej literatury rosyjskiej młodego dziennikarza, Waldemara Kiwilszo, który z zadania wywiązał się znakomicie.

Były też i inne problemy. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli po prostu cenzura, zrezygnował z obowiązującego wydawców przedłożenia maszynopisu do zatwierdzenia przed składem, zapewne z uwagi na osobę

Zabłudowskiego, ale zastrzegł sobie prawo ingerencji w korekcie tekstu przed podpisaniem ostatniej korekty do druku. Wtedy dopiero, do gotowych już haseł dopisywano nam epitety takie jak np. „przeciwnik Polski Ludowej” (Miłosz), „jeden z przywódców najbardziej reakcyjnych kół emigracyjnych” (Anders), „premier emigracyjnego ‘rządu’ pol. w Londynie” (Arciszewski), skreślano całe hasła (Marek Hłasko, który wtedy właśnie zdecydował pozostać na Zachodzie, Józef Mackiewicz i inni) i ingerowano najrozmaitszymi sposobami, z komicznym nieraz efektem. Kiedy nadszedł czas tzw. rewizji, ostatecznego korygowania pierwszych schodzących z maszyny drukarskiej arkuszy, cenzura odkryła z przerażeniem, że brak hasła Andrycz Nina, mającego upamiętnić bieżącą przyjaciółkę premiera Józefa Cyrankiewicza. Ponieważ na odpowiedniej stronie znalazło się sześć haseł z literatury dostałem od Komitetu Redakcyjnego zalecenie usunięcia któregoś z nich, żeby bez przełamania strony znaleźć miejsce dla nowej bohaterki. Walczyłem jak lew w obronie moich pisarzy i w rezultacie osiągnięto szczęśliwy kompromis: pani Andrycz znalazła się w encyklopedii kosztem hasła... Androny.

Walki nie tylko z cenzurą, ale i z cenzurą wewnętrzną Komitetu Redakcyjnego udawało się z czasem wygrać dzięki ignorancji tzw. czynników. Jeden z większych momentów satysfakcji miałem gdy udało mi się przemycić hasło Koestler Arthur, prawdopodobnie dzięki temu tylko, że żaden z naszych mocodawców nie czytał jego książki „Ciemność w południe” i zapewne o niej nie słyszał. Trudniej nieco poszło z hasłem Pasternak Borys, gdyż sprawa była zbyt głośna, żeby ją przemilczeć, znaleziono więc godziwy kompromis pisząc bezosobowo o powieści „Doktor Żiwago”, że została „oceniona jako utwór antyradziecki i wydana jedynie w krajach kapitalist.”. W artykule-hasle „Rosyjska literatura” określono go nawet jako „jednego z najwybitniejszych liryków radzieckich”(!), w ten sposób znajdując złoty środek między oficjalnym potępieniem a nieoficjalną pochwałą. Tej sztuki lawirowania między tym, co chcieliśmy, a co wolno nam było powiedzieć, nie umiano niestety ocenić na emigracji: zamieszczona bieżąco w *Kulturze* recenzja, którą prawie oficjalnie

czytaliśmy w redakcji, wytykała braki i błędy, za które ani autorzy, ani Redakcja Encyklopedii w istniejących warunkach winy ponosić nie mogli.

Autorów tych było blisko pięciuset, a większość z nich wybrana była ze środowisk akademickich, choć nie bez udziału pozostawały tu najrozmaitsze organizacje, związki i stowarzyszenia, z których każde uważało za stosowne zbudować sobie na jej kartach najmniejszy bodaj pomniczek. Ze Związkiem Literatów toczyć musiałem prawdziwe boje, uważano tam bowiem, że w encyklopedii znaleźć się musi każdy niemal z członków tej konfraterni, podczas gdy staraliśmy się wytłumaczyć, iż zamieszczenie lub niezamieszczenie hasła to wcale nie próba wartościowania a jedynie zarejestrowanie istniejącego dorobku twórczego, bez wdawania się w oceny i wypisywania laurek. Pamiętam, że zrobiłem tam sobie paru dożywotnich wrogów, co niewiele mnie obeszło skoro nie powodowało odmowy wstępu do kawiarni związkowej. Na szczęście tak dalece sprawy nie zaszły. Toteż kiedy w czerwcu 1958 r. zakończyliśmy prace redakcyjne, z ulgą oddałem dział literatury polskiej młodemu absolwentowi polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Jankowi Wojnowskiemu, sobie zostawiając opracowanie haseł literatury powszechnej do przygotowywanej od tego okresu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej.

Był to, w porównaniu z rokiem 1956, całkowicie nowy etap i rodzaj pracy. Zbudowany już został podstawowy warsztat, a nasze wycinane i naklejane na karteczki hasła należały do prehistorii. W dalszym ciągu, co prawda, nikt nie pomyślał o wysłaniu choćby kilku redaktorów na praktykę do doświadczonych wydawnictw zagranicznych, rezerwując kurtuazyjne wizyty w Moskwie i w Lipsku dla dyrektora PWN, niemniej operowaliśmy już kartotekami i jako wzorów używali przede wszystkim nowoczesnej, zachodnioniemieckiej encyklopedii Bertelsmanna, z rzadka tylko sięgając do „Bolszoi Sowieckoj Encikłopedii”. Równocześnie ochronna i kosztowna „czapa” nad redakcją powiększyła się o liczącą przeszło 70 osób Radę Naukową, złożoną w większości z członków PAN, Komitet Redakcyjny poszerzony do liczby 13 członków i 14-osobowe Kolegium Redakcyjne, podczas gdy

zespół pracujących bezpośrednio nad tekstami redaktorów wzrósł przeszło dwukrotnie, do ponad 80 osób. W zespole tym znalazło się znowu sporo ciekawych postaci, m.in. kierownik redakcji ilustracji, Władysław Roman, „oficer do zleceń” Komendy Głównej AK, potem więzień polityczny PRL, a w latach następnych autor ciekawych wspomnień z tego okresu. Z tym wszystkim pilnować trzeba było ostatnich przygotowań do wydania „Małej Encyklopedii Powszechnej PWN”, jak brzmieć miał jej oficjalny tytuł, od stałego ujednolicania zapisu bibliograficznego, skrótów i odsyłaczy poczynając, aż po zestawienia, tablice porównawcze, wykresy, jednym słowem to wszystko, co nadaje tego rodzaju wydawnictwu trwałą kształt i charakter. Nadchodziły z drukarni korekty, sypały się terminy, dochodziły hasła konieczne w ostatniej chwili, potem zaś, już zimą 1958 r. raz jeszcze trzeba było najuważniej czytać rewizyjne, świeże jeszcze od farby drukarskiej arkusze i wyławiać z nich niedopatrzenia zanim pójdą na maszyny rotacyjne.

W styczniu 1959 r. nadchodzić zaczęły pierwsze, tzw. sygnałne egzemplarze 50.000-nego nakładu z góry już rozkupionego przez czytelników w subskrypcji, a w kwietniu urządziliśmy „uczty zwycięstwa” w naszym ścisłym, redakcyjnym gronie. Do dzisiaj mam w domowym archiwum list otrzymany przy tej okazji:

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE  
NACZELNA REDAKCJA ENCYKLOPEDII

Warszawa, 15 IV 1959r.

*Redaktorowi Jerzemu Krzyżanowskiemu z wyrazami uznania i serdecznym podziękowaniem za wkład pracy w przygotowanie Małej Encyklopedii Powszechnej PWN*

*L. Marszałek*

W pół roku później wyjechałem z Polski na stałe i tylko zza oceanu śledzić mogłem dalsze losy tego niezwykłego

przedsięwzięcia, toteż powtarzam to jedynie, czego dowiedzieć się mogłem z drugiej ręki.

„Mała Encyklopedia Powszechna PWN” cieszyła się dużym powodzeniem, a w ciągu następnych dwu lat łączny jej nakład osiągnął 400 000 egz. i w sumie z jej następczynią wydaną w 1961 r. „Encyklopedią Popularną PWN”, przekroczył pół miliona. Tymczasem prace rozpoczęte w 1957 r. pozwoliły na wydanie już w listopadzie 1962 r. pierwszego tomu obliczonej na tomów dwanaście „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN”, której druk trwał sukcesywnie do grudnia 1969 r., po czym, w grudniu roku następnego, dodano tom 13 „Suplement”. Encyklopedia ukazała się w nakładzie 130 000 egz. zamówionych w subskrypcji i stała się na długie lata podstawowym źródłem informacji na polskim rynku wydawniczym.

WEP objęła przeszło 80 000 haseł „opartych – jak głosi przedmowa – na założeniach racjonalistycznych i materialistycznych; jej kierunek światopoglądowy wyznaczają założenia ideologii socjalistycznej; jest napisana dla społeczeństwa kraju, który kształtuje nowe, socjalistyczne stosunki społeczne i ekonomiczne”. I mimo wszystkich tych zapewnień o charakterze przede wszystkim politycznym, można by było powiedzieć po angielsku *so far, so good* – nie wyrządzono nikomu szczególnej krzywdy a uczyniono wiele dobrego dla całego społeczeństwa, bez względu na to jaki chciano mu nadać światopogląd. Historia jednak, jak wiadomo, lubi płać figle najbardziej materialistycznym i racjonalistycznym systemom, toteż ogłaszane tak dumnie w 1962 r. założenia doznały poważnego wstrząsu w niespełna sześć lat później.

W dniu 7 kwietnia 1968 r. oficjalny organ PZPR *Trybuna Ludu* ogłosił za Polską Agencją Prasową obszerny komunikat zatytułowany „Uchwała organizacji partyjnej PWN w sprawie błędów i przeoczeń w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”. Bez względu na to, jak znajomie brzmiał zwrot o wypaczeniach (nie błędach tym razem, a jedynie przeoczeniach) uchwała zapowiadała zmiany dość radykalne w konsekwencji ogólnego zebrania ok. 120-osobowego zespołu encyklopedii i słowników, podczas którego przyjęto oświadczenie „przyjmujące za słuszną i sprawiedliwą krytykę wszystkich



błędów i przeoczeń”, przy czym „wskazano osoby szczególnie odpowiedzialne za opiekę polityczną nad tekstami”. Krótko mówiąc była to zapowiedź klasycznej, sowieckiej „czystki” znanej jeszcze z lat trzydziestych. Z wszystkimi tego rodzaju procesów atrybutami: samokrytyką, brakiem „pryncypialnego, partyjnego stanowiska” POP, rzekomym naciskiem „pręgierza opinii publicznej”, a nawet wymienieniem po nazwisku dwóch głównych winowajców: Adama Bromberga i Tadeusza Zabłudowskiego, jako najbardziej odpowiedzialnych za „błędy i przeoczenia”, przy czym dodatkowo wskazano na jeszcze dwóch członków zespołu o nazwiskach tak charakterystycznych jak Baumritter i Majzner, oraz Staszewski, którego pochodzenie nie było dla nikogo tajemnicą. Na osłode tych wyraźnych antysemitycznych akcentów, zrozumiałych po wypadkach marcowych, dodano jeszcze nazwiska Leona Marszałka i Stefana Biernackiego, a wszyscy oni „zostali ukarani”, nie wiemy tylko, czy może karą chłosty, czy „publicznego pręgierza?” W sumie uchwalono „wystąpić do dyrektora PWN o rozwiązanie zespołu redakcyjnego Encyklopedii PWN z dniem 8 kwietnia 1968 r.”.

W niespełna trzy tygodnie później, 25 kwietnia, ta sama *Trybuna Ludu* pragnąc zaspokoić „zainteresowanie społeczeństwa usunięciem fałszerstw, naprawieniem błędów i uzupełnieniem braków”, ogłosiła rozmowę z „pełniącym obowiązki dyrektora PWN Kazimierzem Mliczewskim”, *nota bene* jednym z aktywnych członków Podstawowej Organizacji Partyjnej, który dotychczas był zastępcą dyrektora do spraw finansowych. Wyrażając ubolewanie z powodu „błędów i braków” Mliczewski dość szczegółowo powiedział na czym zasadzały się główne zarzuty „szerokiej opinii publicznej”: „Surowa, ale zasłużona krytyka WEP dotyczyła tylko niektórych jej działów, głównie zaś działu historii najnowszej i wyknęła rażące braki informacji w zakresie walki i męczeństwa narodu polskiego w okresie II wojny światowej”, zwłaszcza haseł takich jak „Obozy koncentracyjne hitlerowskie” w tomie VIII, „Walki partyzanckie w Polsce”, „Zbrodnie hitlerowskie w Polsce” i „Wojskowe cmentarze w Polsce”. Ofensywa Moczara i jego partii nie mogła być bardziej wyraźna.

Metody zaradzenia złu też nie należały do nowych. Podobnie jak zrobili to po 1953 r. Rosjanie, przesyłając subskrybentom „Bolszoi Sowieckoi Encykłopedii” nowy egzemplarz tomu nie zawierający hasła Beria, a prosząc o zwrot poprzedniego wydania, gdzie hasło to zajmowało poczesne miejsce, polscy „encyklopedyści” obiecali dołączyć do przygotowywanego tomu XI wkładkę i radzili wklejać ją do tomu VIII „na miejsce poprzednio wydrukowanych 4 stron, gdzie mieści się krytykowane hasło o obozach”. Proste i genialne, prawda? Okazuje się, że ani wielki George Orwell, ani skromny Zygmunt Golberg nie omylili się ani na jotę.

Lektura wkładki z hasłem „Obozy hitlerowskie” stawia przysłowiową „kropkę nad i”. Czytamy tam w osobnym wstępie, że problem ten jest „szczególnie ważny wobec fałszerstw zawartych w niektórych publikacjach (również encyklopedycznych) krajów kapitalistycznych oraz w obliczu sojuszu Izraela z NRF” (!), i to wystarcza, żeby zrezygnować z drobiazgowej analizy akcentów przesuniętych kosztem zagłady ludności żydowskiej na korzyść strat Polaków. Warto przytoczyć tylko dwa fragmenty: „w obozach zagłady uśmiercono ok. 5,7 mln ofiar (ok. 99% Żydów, ok. 1% Cyganów i in.)” (tekst pierwotny) i „o.z. służyły realizacji programu biol. wyniszczenia narodu polskiego (...) były także narzędziem planowej eksterminacji ludności żydowskiej” (tekst skorygowany), żeby zauważyć różnice. Podobnie ma się rzecz z innymi „błędnymi” hasłami, za które „ukarani zostali” jedni z najstarszych pracowników redakcji. Porównanie spisu Zespołu Redakcji Encyklopedii PWN z roku 1962 ze spisem Zespołu Redakcji Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN z roku 1970 wskazuje nieznaczny tylko wzrost liczbowy – z 80 do 88 osób, jest natomiast charakterystyczne jeśli idzie o nazwiska: z dawnego zespołu zostały w nowym tylko 22 osoby, tj. ok. 25%, przy czym najmniejsze zmiany nastąpiły w redakcji nauk biologicznych, a największe w redakcjach historii, nauk społecznych i literatury, oczywiście ze zmianą osoby Redaktora Naczelnego.

Wydanie „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” zamknęło okres pionierski i rozpoczęło trwający do dzisiaj, imponujący rozwój wydawnictw encyklopedycznych PWN, raz jeszcze

przestawiony na całkowicie nowe tory po przemianach roku 1989. Kiedy jednak biorę do ręki piękne, zaiste imponujące zawartością i formą wydania nowe edycje encyklopedii, ze wzruszeniem myślę o jej początkach i – muszę przyznać – jestem dumny, że byłem jednym z tych, którzy pod jej wspianą wzrost kładli pierwsze cegiełki, „robiąc encyklopedię” jeśli nawet tylko przy pomocy nożyczek i kleju.

*Jerzy R. KRZYŻANOWSKI*

---

Emanuel HALICZ

## POLSKA W OCZACH NIEMCÓW

Przedstawienie polskich walk wywoleńczych stanowiących składową część walk o wyzwolenie narodowe w XIX-wiecznej Europie oraz wypełnienie luki w zachodnio-europejskiej historiografii oto cel jaki postawił przed sobą Autor pracy\*. Oparł ją o szeroką literaturę przedmiotu, ale w spisie literatury pominął wiele kapitalnych prac ściśle związanych z tematem. Są to prace Sz. Askenazego, A. Śliwińskiego, B. Leśnodorskiego, S. Herbsta czy też „Trzy powstania narodowe” pióra S. Kieniewicza, A. Zahorskiego i W. Zajewskiego (1992). Z drugiej zaś strony w spisie literatury znaleźć można aż 33 prace o tematyce związanej z rolą państwa i sytuacją Kościoła na ziemiach polskich w XIX wieku, chociaż problemy te nie są pierwszorzędnej wagi.

W centrum uwagi Autora są trzy problemy: 1) Dlaczego z końcem XVIII wieku doszło do upadku państwa polskiego i rozbiorów, 2) jakie były powody powstań narodowych i co

---

\* Arnon Gill, „Freiheitskämpfe der Polen im 19. Jahrhundert. Erhebungen-Aufstände-Revolutionen”, (str. 468). Peter Lang Verlag der Wissenschaften, Frankfurt am Main, 1997.

było powodem ich niepowodzeń, 3) czy te powstania, chociaż zakończone klęską, zwłaszcza zaś powstanie styczniowe, miały pozytywny wpływ na życie narodu polskiego w drugiej połowie XIX-go wieku do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Ramy chronologiczne pracy są więc o wiele szersze niż zapowiada jej tytuł. W rozdziale pierwszym omawia się sytuację panującą na ziemiach polskich od lat 1760-tych do wybuchu powstania listopadowego. Stwierdza się że główną przyczyną upadku Polski był polityczny rozkład Rzeczypospolitej ale o ostatecznym jej upadku zadecydowały względy geopolityczne, zaborcza polityka jej sąsiadów.<sup>1</sup> Byłoby chyba wskazane nadmienić, że już w czasie „potopu” pojawiły się plany rozbioru ziem polskich, a w 1709 roku Elektor Fryderyk I zaproponował Piotrowi I, by podzielić Rzeczypospolitą między Prusy i Rosję ale car odrzucił tę propozycję odpowiadając swą stoczniową niemiecką gwarą „es sei nicht praktikabel” ponieważ sądził, że uda mu się samemu rządzić całą Polską. Podobnych głosów nie brakło wśród kół arystokracji i kół wojskowych i później, ponieważ ich zdaniem największe korzyści z rozbiorów wyniosły Prusy.

Zbyt jednostronnie i negatywnie ocenia Autor rolę odegraną przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Akcentuje głównie, że ten wielbiciel (Verehrer) Katarzyny II pozostawał stale pod wpływem Rosji. „Ostatni Król Polski”<sup>2</sup> to na pewno postać kontrowersyjna. Ale jak pisze Adam Zamoyski w swej pracy należał on „do najinteligentniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek zasiadali na polskim tronie, z pewnością był z nich najpracowitszym i najbardziej oddanym krajowi... Pokonała go ostatecznie niezdolność Polski do przetrwania, skazując na niesławę u potomnych – ale o tę niezdolność nie jego należy winić”. (ss. 471-2)

Oczywiście, że między oceną Konfederacji Barskiej przez Fryderyka Wielkiego i polską historiografią istnieje zasadnicza różnica. Ale i polscy historycy oceniając działalność przywódców Konfederacji pozytywnie, bo spowodowali „wyjątkowe uczulenie” szlachty na hasło niepodległości, krytykowali

---

1. Por. J. Lelewel, „Historyczna paralela Hiszpanii z Polską” wydana w 1831 roku w Warszawie.

2. Tytuł pracy A. Zamoyskiego wydanej w Warszawie w 1994 roku.

ich z powodu konserwatyizmu, naiwności w ocenie stosunku mocarstw do Polski i chęci porwania króla.

Jeśli chodzi o ocenę okresu napoleońskiego na ziemiach polskich to stwierdzić należy, że nie różni się ona od poglądów głoszonych obecnie przez historyków polskich. Dostrzega Autor koniunkturalny stosunek Napoleona do spraw polskich, ale krok przez niego dokonany a mianowicie: utworzenie Księstwa Warszawskiego przekreślił decyzje mocarstw zaborczych podjęte zwłaszcza w 1797 roku i miał istotne znaczenie dla dalszego rozwoju narodowego i kulturalnego Polaków.

Bardzo starannie opracowane są problemy ideologiczne i wojskowe związane z dziejami powstania listopadowego i styczniowego. Ale najbardziej szczegółowo wydarzenia w Galicji w 1846 roku. Poświęcił im Autor 150 stron druku, wtedy gdy rewolucję 1848 roku omawia na 22 stronach. Niewątpliwie wiąże się to z tym, że nad przebiegiem rewolucji 1846 roku Autor pracuje od wielu już lat i w 1974 roku opublikował swą pracę habilitacyjną pt. „Die Polnische Revolution 1846”.

Wiele uwagi poświęca Autor roli Wielkiej Emigracji, zwłaszcza zaś wielkiej emigracyjnej poezji reprezentowanej przez A. Mickiewicza, J. Słowackiego i Z. Krasińskiego. Obrona praw narodu, budzenie miłości Ojczyzny i wytyczenie obowiązków Polaka – oto przeplatające się wątki tej poezji. Każdy z nich odkrywał w sobie powołanie przewodnika narodu. Trudno zrozumieć dlaczego te problemy są omawiane w pracy przed wybuchem powstania listopadowego.

Specyfika wydarzeń w XIX-wiecznej Polsce w porównaniu z tym co działo się w tym samym czasie w innych krajach europejskich wyrażała się w tym, że na ziemiach polskich równoległe przebiegały dwa procesy. Jeden zmierzający do wywalczenia niepodległości, drugi odmienny, reprezentowany przez chłopstwo dążące do zlikwidowania zależności od szlachty i domagające się przekazania mu ziemi. Tragiczne starcie między tymi dwoma dążeniami spowodowane przez biurokrację austriacką dążącą do storpedowania polskiego powstania, nastąpiło w Galicji w 1846 roku.

Wszystkie trzy powstania narodowe były źle przygotowane pod względem politycznym, były czymś w rodzaju spon-

tanicznej eksplozji a ich rezultatem były tragiczne następstwa. Ofiarą ich stał się cały naród. Do tego co miało miejsce na ziemiach polskich przyczyniły się państwa zachodnie, Francja i Anglia, które odniosły się nieprzychylnie do sprawy polskiej i pomoc z ich strony – na co liczyli przywódcy poczynając od powstania kościuszkowskiego – całkowicie zawiodła.

Całość więc tego problemu i wnioski z tego wyciągnięte przypominają to, co głosił H. Wereszycki. „Żaden naród walczący o wolność w XIX wieku w Europie nie zdobył tej wolności bez pomocy jakiegoś mocarstwa, tylko ta pomoc zapewniała zwycięstwo”.

Ale zupełnie pominięto w pracy inną stronę zagadnienia, a mianowicie czy i jaki był wpływ polskich powstań na wydarzenia w Europie. W jakim stopniu powstanie kościuszkowskie pomogło rewolucyjnej Francji, ponieważ przyczyniło się do zmniejszenia naporu wojsk pruskich i austriackich na Francję. Jaki był wpływ powstania listopadowego na zaniechanie przez Mikołaja I interwencji wojskowej w Belgii. Czy było rzeczą przypadkową, że właśnie w czasie gdy trwało powstanie styczniowe Bismarck zdecydował się na wojnę z Danią o Szlezwik-Holsztyn. Czy można pominąć fakt, że wydarzenia w Polsce w 1863 roku i solidarność wyrażana przez działaczy związkowych w Europie, przyspieszyła powstanie Pierwszej Międzynarodówki.

A. Gill dowodzi, że powstania zbrojne stanowiły klasyczną w polskiej tradycji narodowej formę ubiegania się o niepodległość, a myśl o insurekcji mimo klęsk i ogromnych represji, zwłaszcza ze strony caratu, nigdy nie zeszła z pola widzenia polskich patriotów.

W ostatnim rozdziale pracy przedstawiony został proces tworzenia się zrębów nowoczesnego narodu polskiego odbywający się w niezmiernie trudnych warunkach, zwłaszcza w zaborze rosyjskim po powstaniu styczniowym. Wyszczególnione są też osiągnięcia Polaków w każdej dziedzinie życia kulturalnego i nauki. Jest to odpowiedź na trzecie pytanie postawione we wstępie pracy. Represje ciążyły na narodzie polskim, ale nie załamały go.

W zakończeniu pracy Autor stwierdza, że obecnie zaistniały warunki dla zbliżenia Polski z Niemcami. I nic

bardziej służyć temu nie może jak szczere i otwarte przedstawienie przeszłości. I Rosjanie, i Niemcy muszą uświadomić sobie, że Polska nie jest „Saisonstaat” jak uważały niektóre kręgi wrogie Polsce po pierwszej wojnie światowej, że w odległych czasach Polska odgrywała istotną rolę w historii Europy i nadal stanowić będzie składową część jednoczącej się Europy. Rangę tej pracy nieco obniża niestarannie sporządzona korekta<sup>3</sup>.

*Emanuel HALICZ*

---

Tadeusz WYRWA

## SANDOMIERSKI PUŁK ARMII KRAJOWEJ

Na temat Armii Krajowej ukazało się już kilkaset co najmniej książek o różnej wartości: od propagandowych oszczerstw z minionego okresu do źródłowych opracowań zapoczątkowanych w ostatnich zwłaszcza latach. Między jednymi i drugimi wydawnictwami liczne są publikacje pisane „na zamówienie”, najczęściej pod wpływem środowisk, wywodzących się z dawnych układów kombatanckich, które nadal odgrywają znaczną, często decydującą nawet rolę. Nie sprzyja to oczywiście odtwarzaniu dziejów zgodnie z faktami, a możliwość udokumentowania faktów – z uwagi na specyficzne warunki działalności AK – jest ograniczona i w większości wypadków, szczególnie gdy chodzi o akowskie „doły”, opierać

---

3. Dotyczy to dat nazwisk i bibliografii. Np. mylnie podano datę założenia uniwersytetu krakowskiego 1373, powinno być 1364, pierwszego rozbioru Polski i Konstytucji Trzeciego Maja (na str. 94 podano rok 1771), opuszczono nazwiska wydawców źródeł np. w przypadku Procesu Romualda Traugutta i Członków Rządu Narodowego, niepoprawnie podano pisownię niektórych nazwisk w Bibliografii.

się musi na relacjach, które z kolei odbiegają niejednokrotnie od rzeczywistości z rozmaitych po temu powodów – m.in. słabnącej z wiekiem pamięci a zwiększającej się równocześnie fantazji ku własnej przeważnie chwale. Od dobrej woli i fachowego przygotowania historyka zależy w jaki sposób wykorzysta relacje i inne źródła. Tak jest wszędzie, ale nie o tak dużym znaczeniu, jak to ma miejsce w odniesieniu do AK.

Rok temu wyszła z druku monografia\*, poświęcona dziejom 2 pp Legionów AK (odtąd 2 pp Leg. AK), im. Ziemi Sandomierskiej, gdyż terytorialnie rodowód swój wywodzi z powiatu sandomierskiego. Autorem książki jest Piotr Sierant, partyzant ze słynnego oddziału „Jędrusiów”, a następnie żołnierz 4 kompanii tego pułku (awansowany do stopnia podporucznika i odznaczony Orderem Virtuti Militari). Po wojnie kończy studia historyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale w ówczesnej sytuacji nie ma możliwości pracy naukowej i w 1966 roku wyjeżdża z Kraju i zamieszkuje w Stanach Zjednoczonych. Doktoryzuje się na PUNO w Londynie, jest członkiem kilku towarzystw naukowych na obydwu półkulach, oraz autorem różnych artykułów i kilku książek.

Materiał do „Monografii” Sierant zbierał od przeszło 30 lat, gromadząc dokumentację, zwłaszcza liczne relacje uczestników wtedy, kiedy wojenne dzieje łatwiejsze były do odtworzenia, pamięć mniej zawodna, co trzeba z naciskiem podkreślić. Z czasem uzupełniał nowym materiałem, jaki znajduje się w archiwach, analizował i w końcu, po różnych przeróbkach, opracował całość. Autorowi przyświecała myśl, żeby – jak zaznacza we wstępie – dni trudu i znoju, a szczególnie ofiara życia żołnierzy 2 pp Leg. AK nie poszły w zapomnienie. Z podjętego zadania Sierant wywiązał się najlepiej jak mógł w danych warunkach, bo przecież, sam przypomina, że „baza źródłowa do dziejów tego pułku jest właściwie bardzo uboga”, stąd też nie do uniknięcia są różne usterki.

Ostatecznym celem AK było przygotowanie powszechnego powstania w końcowej fazie wojny. Po zbudowaniu struk-

---

Piotr Sierant, „2 Pułk Piechoty Legionów Armii Krajowej”. Oficyna Wydawnicza Volumen i Wydawnictwo Bellona. Seria: „O Wolność i Niepodległość”. Warszawa 1996, str. 306, oraz liczne zdjęcia, mapy i szkice.



tur Państwa Podziemnego przystąpiono do kadrowego organizowania jednostek zakonspirowanego wojska, nawiązując w okręgach do nazw poszczególnych pułków, które przed wojną stacjonowały na ich terytorium, co stanowiło podkreślenie ciągłości istnienia wojska polskiego. 2 pp Leg. AK przejął tradycję 2 pp Legionów, który powstał jesienią 1914 r. i został wysłany, w składzie II Brygady, na Węgry, gdzie przeszedł chrzest bojowy. Później, w oswobodzonej już Polsce, w latach 1918-1920, stacza zwycięsko liczne bitwy i w styczniu 1921 odszedł do Grodna, a stamtąd do Pińczowa i następnie stanął garnizonem w Sandomierzu. W kampanii wrześnieowej bierze udział jako jednostka armii „Łódź”.

Zalążki 2 pp Leg. AK powstały w 1942, ale faktycznie jego rekonstrukcja i mobilizacja miały miejsce w lecie 1944, gdy w wyniku ofensywy armia sowiecka zbliżała się do Kielecczyny. Wojenne jego dzieje toczyły się w ramach akcji „Burza”, będącej pewnego rodzaju lokalnymi powstaniem na tyłach frontu niemiecko-sowieckiego. Ten też okres Sierant opracował najbardziej szczegółowo. Szybkość ofensywy sowieckiej zaskoczyła dowództwo pułku, który był w trakcie organizacji i co też spowodowało m.in. to, że nie udało mu się zdobyć Sandomierza, macierzystej jego siedziby. W międzyczasie wybuchło w Warszawie powstanie. Gen. Bór wydaje rozkaz 14 lipca 1944 r. o „niezwłocznym marszu na pomoc stolicy”, rozkaz zupełnie nieprzemysłany i niewykonalny i następnie odwołany z zaleceniem, jeśli chodzi o Okręg Radomsko-Kielecki, wykonania akcji „na szerszą skalę przez opanowanie np. Radomia lub Kielc...”

Na tle tych wypadków, rozkazem płka Jana Zientarskiego-„Mieczysława”, Komendanta Okręgu Radomsko-Kieleckiego, o kryptonimie „Jodła”, został utworzony Korpus Kielecki w sile ponad 5.000 żołnierzy, dokładny stan jest trudny do ustalenia. 2 pp Leg. AK, pod dowództwem mjra/ppłka Antoniego Wiktorowskiego-„Kruka” wchodził w skład 2 Dywizji Piechoty AK, której dowódcą był ppłk Antoni Żółkiewski-„Lin”. Z jednostek tej dywizji, najbardziej prężny, złożony w większości z oddziałów partyzanckich, był 2 pp Leg. AK i jego „Monografia”, tak jak ją opracował Sierant, jest jednocześnie zwięzłym zarysem działalności całego Kor-

pusu i problemów, z jakimi Korpus ten musiał się borykać.

Koncentracja Korpusu miała miejsce w rejonie lasów Przysuchy i Niekłania. Płk Zientarski bezskutecznie domagał się zrzutu broni, co było tym bardziej niezbędne, gdy mowa była o marszu na odsiecz Warszawy. Marsz ten w żadnym wypadku nie był możliwy, bo trzeba byłoby przeforsować rzekę Pilicę i później przebijać się przez otwarty teren w bliskiej odległości od zaplecza frontu niemieckiego. Nadto – co przypomina również Sierant – nie istniała żadna koordynacja między jednostkami AK a armią sowiecką. Wcześniej już, współpraca Sowietów z oddziałami 2 pp Leg. AK polegała na tym, że strona sowiecka korzystała z ich pomocy i gdy nie były jej potrzebne zostawiała na polu walki, bez żadnego uprzedzenia, osamotnione oddziały polskie. Musiano też zrezygnować z opanowania Kielc. Zajęcie miasta, bez współdziałania z armią sowiecką, jeżeli nawet doszłoby do skutku, miałoby krótkotrwały efekt, bo oddziały AK nie byłyby w stanie go utrzymać a działanie ofensywy sowieckiej zostało w międzyczasie wstrzymane.

Brak konkretnie ustalonego celu koncentracji oddziałów stwarzał coraz bardziej powikłaną sytuację. Sporo miejsca poświęca Sierant dwudniowej walce na początku września pod Radoszycami, gdzie Niemcy ponieśli dość duże straty, ale po stronie polskiej było również około 20 zamordowanych przez Niemców mieszkańców Radoszyc, 4 rannych partyzantów i spalone zostało to miasteczko. Proporcja strat ludności cywilnej i partyzantów, oraz szkód materialnych, jakie ponieśli w tym wypadku wszyscy mieszkańcy, nie należała tutaj do wyjątków. Taka była czasem proporcja między ofiarami ludności cywilnej a oddziałami, zwłaszcza w okresie koncentracji, gdy dowództwo nad większymi jednostkami obejmowali oficerowie zawodowi, przysłani z pracy w konspiracji, bez znajomości taktyki, jaką należało stosować w partyzantce. Bitwa pod Radoszycami, z jej częściowym tylko sukcesem, stanowiła ostatnie działanie zaczepne 2 pp Leg. AK, który odtąd był ciągle w defensywie, podobnie jak i inne jednostki.

Stopniowo Niemcy opanowali sytuację na tyle, że trudno było utrzymać większe jednostki partyzanckie, narażone ciągle na obławy w zagęszczonej przez nieprzyjaciela przed-

frontowej strefie. W dalszym zresztą ciągu brak było rzutów, zaopatrzenia w broń i amunicję, obuwie i odzież na zimę. Depesze płka Zientarskiego do rządu RP w Londynie pozostawały nadal bez odpowiedzi. Po entuzjazmie, z jakim przystąpiono do tworzenia pułków, nadszedł okres demobilizacji w ponurym nastroju, do czego przyczyniło się zmęczenie wystawionej na niebezpieczeństwo ludności cywilnej, co podkreśla też Sierant, a o czym nie powinno się zapominać, bo przecież największe ofiary ponosiła miejscowa ludność. Ironią losu 2 pp Leg. AK było to, że najtrudniejsze właściwie tygodnie i walki przyszło mu staczać nie na sandomierskiej lecz włoszczowskiej ziemi, gdzie wraz z 2 DP został przetrzucony w drugiej połowie września. W pierwszej dekadzie października płk Zientarski wydał rozkaz częściowej demobilizacji jednostek polowych AK, polecając przejście do konspiracji dotychczasowych sztabów dowódczych. Stosownie do tego rozkazu odszedł do konspiracji ppłk Wiktorowski i dowódcą 2 pp Leg. AK został kpt./mjr Eugeniusz Kaszyński-„Nurt”, ale 4 dni później, rozkazem z 12 października, pułk został rozwiązany. Przez kilka tygodni działały jeszcze samodzielnie trzy bataliony tego pułku, którym bardziej odpowiadał termin zgrupowania, na co słusznie zwraca uwagę Sierant.

Partyzancki 2 pp Leg. AK wygasał etapami, w ogólnym chaosie, w jakim znajdowało się Podziemie po klęsce Powstania Warszawskiego i akcji „Burza”; przestał istnieć w grudniu 1944 r. Jego historia, to 145 dni działań na polach walki, gdzie poległo – jak podaje Autor „Monografii” – 82 żołnierzy, ponad 100 odniosło rany, z których 7 zmarło. Straty nieprzyjaciela były wielokrotnie większe. Ze strony polskiej na konto strat należy również odpisać tych, którzy zdekonspirowani skutkiem „Burzy”, stawali się później ofiarami aresztowań i prześladowań przez reżim komunistyczny. Jedną z tych ofiar był dowódca ppłk Antoni Żółkiewski-„Lin”, dowódca 2 DP, aresztowany, otrzymał wyrok śmierci i ze zrujnowanym w śledztwie zdrowiem zmarł na udar serca zaraz po rozbiciu 9 sierpnia 1945 r. przez Antoniego Hede-„Szarego” więzienia w Kielcach.

„Monografia” opracowana przez Piotra Sieranta jest wartościowym przyczynkiem do partyzanckich dziejów na Kielec-

czyźnie, gdzie wiele jest już wystawionych pomników i wmurowanych tablic pamiątkowych, ale też wiele jest jeszcze „białych plam”, nie napisanych, lub jeszcze gorzej – koniunkturalnie spreparowanych kart historii ziemi, na której toczyła się walka od pierwszych dni okupacji niemieckiej. Może też książka Sieranta pobudzi historyków z młodszych pokoleń do podjęcia omijanych tematów, które coraz bardziej zarastają chwastami.

*Tadeusz WYRWA*

---

Zdzisław NICMAN

## KSIĄŻKA O BRZEŚCIU NAD BUGIEM

O Brześciu n/B (przez kilka stuleci noszącym nazwę „Brześć Litewski”, a obecnie po prostu „Brest”) niewiele dotychczas pisano, mimo że może on poszczycić się wspaniałą polską historią. Dziś w świadomości przeciętnego Polaka Brześć pozostaje jednym z utraconych po drugiej wojnie światowej miast zabużańskich. Dla bardziej zorientowanych kojarzy się z unią brzeską z 1596 r., pokojem brzeskim z 1918 albo z niemiecko-sowiecką defiladą we wrześniu 1939.

I oto u progu bieżącego roku wyszła drukiem w Białej Podlaskiej kompleksowa monografia Brześcia pt. „Brześć nad Bugiem. Dzieje miasta i twierdzy”\*. Autorem monografii jest zmarły rok temu podlaski historyk, publicysta i zbieracz dokumentów historycznych Jerzy Sroka. Jak pisze w przedmowie do książki przyjaciel autora Jerzy Ślaski (m.in. założyciel i kilkuletni redaktor naczelny odrodzonej w 1990 r. „Polski Zbrojnej”), „Brześć nad Bugiem” jest owocem wieloletnich badań archiwalnych oraz gromadzenia materiałów, dokumentów, relacji, zdjęć etc.

---

\* Jerzy Sroka, „Brześć nad Bugiem – Dzieje miasta i twierdzy”, str. 324. Nakładem Jadwigi Srokowej. Biała Podlaska 1997.

Autor – brześcianin – pieczołowicie zrekonstruował długie i burzliwe dzieje miasta, położonego na skrzyżowaniu szlaków lądowych i wodnych, od wczesnego średniowiecza ważnego ośrodka handlu i rzemiosła. Dziesiątki razy palony, najeżdżany przez obce armie, Brześć szybko odradzał się po każdej klęsce. W walkach o Brześć krwawili Polacy, Litwini, Rusini, Jadźwingowie, Mongołowie, Tatarzy, Krzyżacy, Szwedzi, a w naszym stuleciu także Niemcy i Rosjanie.

Książka składa się z pięciu rozdziałów. W rozdziale I, najobszerniejszym, stanowiącym jedną trzecią książki, przedstawiona została blisko tysiącletnia historia Brześcia z umieszczoną na końcu kroniką wydarzeń od 1016 r. (pierwsza wzmianka o grodzie warownym Berestije w „Latopisie Laurentyjskim”) do 1991 r., kiedy to mieszkańcom Brześcia wyznania rzymskokatolickiego zwrócono kościół pw. Podwyższenia Świętego Krzyża.

Ciekawostkę stanowi wykaz ważniejszych ulic Brześcia z ich nazwami przed pierwszą wojną światową, w okresie międzywojennym i obecnie.

Rozdział II zawiera dzieje twierdzy Brześć n/B od r. 1807, tj. od opracowania przez Rosjan wstępnego projektu budowy jednej z największych w Europie pierścieniowych twierdz na dawnych fortyfikacjach ziemnych w widłach Bugu i Muchawca do r. 1944, tj. do ponownego zajęcia twierdzy przez Armię Czerwoną (po blisko pięcioletniej okupacji niemieckiej). Podane są chronologicznie daty ważniejszych wydarzeń w historii twierdzy.

Rozdział III to kronikarski opis wydarzeń rozgrywających się w obszarze Brześcia n/B w dniach od 1 do 14 września 1939 r. w skrótowym powiązaniu z ogólną sytuacją wojenną na różnych frontach walk żołnierzy polskich z Niemcami.

Rozdział IV poświęcony został trzydniowej zaciętej obronie twierdzy (od 14 do 16 września), podjętej przez zgrupowanie „Brześć” pod dowództwem gen. bryg. Konstantego Plisowskiego.

W rozdziale V opisane są ostatnie walki wrześniowe zgrupowania „Brześć” (po wyjściu z twierdzy z bronią w rękę) oraz Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleberga i innych polskich oddziałów z Niemcami

i Sowiecami na południowej Lubelszczyźnie aż do pierwszych dni października.

W dość obszernym „Zakończeniu” autor przedstawił losy niektórych obrońców twierdzy brzeskiej, walczących później z Niemcami w szeregach Armii Krajowej i w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

Z bogatej bibliografii wynika, że autor do swej pracy wykorzystał nie tylko wszelkie dostępne źródła polskie, ale również białoruskie i rosyjskie. Książka zawiera przeszło 200 fotografii, w większości unikatowych.

*Zdzisław NICMAN*

---

A. KAMIENIECKI

## POMNIK STANISŁAWA MIKOŁAJCZYKA

Parę miesięcy temu odbyło się w Poznaniu odsłonięcie pomnika Stanisława Mikołajczyka. Jest projektowane sprowadzenie jego zwłok z Ameryki i pochowanie go wśród grobów zasłużonych obywateli Poznania.

Zbadajmy fakty.

Po klęsce wrześniowej w 1939 r. S. Mikołajczyk znalazł się w Paryżu i generał Sikorski zaraz skierował go do pracy politycznej. Kiedy generał Sikorski zginął tragicznie w katastrofie gibraltarskiej, S. Mikołajczyk objął stanowisko premiera polskiego rządu w Londynie. W tym czasie już zaznaczała się przewaga militarna Rosji Sowieckiej i mocarstw zachodnich, i zwycięstwo choć jeszcze dalekie było pewne.

Parę miesięcy przed tym Rosja Sowiecka zerwała stosunki z rządem polskim w związku z odkryciem grobów katyńskich. Alianci zachodni dążyli do wyrównania frontu i nalegali na nawiązanie tych stosunków. Churchill pewnie nie chciał mieć

komunistycznej Polski na wschodniej granicy Niemiec, ale naiwnie sądził, że jeśli rząd polski akceptuje granicę wschodnią zgodnie z żądaniami Stalina i usunie z rządu parę osób rzekomo antysowieckich, Stalin zgodzi się na Polskę demokratyczną i niezależną.

Niestety, Stalin miał inne koncepcje. Polska była bramą do Europy Środkowej i do Niemiec. Dla kontrolowania tych obszarów skomunizowanie Polski było daleko planowanym celem Stalina. Wynikało to już dość jasno, kiedy Bolesław Bierut, najwierniejszy z komunistów, został przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, czyli był desygnowany na głowę przyszłego państwa polskiego.

Churchill w rozmowach z Mikołajczykiem brutalnie domagał się natychmiastowego przyjęcia dyktatu Stalina. Wtedy Mikołajczyk potrafił zachować się godnie. Nie uległ naciskom, choć oczywiście zgodził się na pertraktacje z Rosją Sowiecką.

W czasie Powstania Warszawskiego i potem, jesienią 1944 r., Mikołajczyk poleciał do Moskwy na rozmowy ze Stalinem. Rozmowy nie dały rezultatu lecz Mikołajczyk przekonał się, jak nieugięty i bezwzględny był Stalin i jak całkowicie mu byli posłuszni Bierut i jego towarzysze.

Pod koniec 1944 r. Mikołajczyk podał się do dymisji z rządu polskiego, ale wśród Aliantów Zachodnich nadal uchodził za przywódcę narodu polskiego. Politycy amerykańscy i brytyjscy nalegali na niego, żeby się porozumiał ze Stalinem i polskimi komunistami, wrócił do Kraju i wziął udział w rządach. Tym razem Mikołajczyk uległ tym naciskom.

W lutym 1945 r. zostały powzięte uchwały jałtańskie. Były one dla Polski tragiczne. Zgodnie z żądaniami Stalina rządy komunistyczne zostały uznane, z tym, że miały być uzupełnione osobami z Kraju i emigracji.

W kwietniu 1945 r. Mikołajczyk publicznie zaakceptował uchwały jałtańskie, a w czerwcu udał się do Moskwy dla pertraktacji ze Stalinem i przedstawicielami ustanowionego przez niego rządu polskiego. Uzgodnione warunki były dla Mikołajczyka fatalne. Został drugim wicepremierem i ministrem rolnictwa. Otrzymał jedną trzecią tek ministerialnych, wprowadził grupę członków do Krajowej Rady Naro-

dowej, w której byli w mniejszości. Wszystkie ważne resorty administracji i gospodarki były obsadzone przez komunistów lub ich agentów.

Działało już w Polsce Stronnictwo Ludowe odtworzone i obsadzone przez komunistów. Nie włączyło się do partii Mikołajczyka, lecz popierane przez reżim, potem bezwzględnie zwalczało jego i jego zwolenników.

Cała Polska była już oswobodzona od Niemców. Wojska Armii Czerwonej łupily w Polsce co jeszcze było można, a KGB i organizująca się bezpieka wprowadziły terror, rozstrzeliwując lub deportując żołnierzy z oddziałów Polski Podziemnej. Nic nie wskazywało, aby władze miały zamiar wejść na drogę demokracji i praworządności.

Kiedy Mikołajczyk w Moskwie podpisywał ugodę, zaczął się proces szesnastu przywódców Polski Podziemnej. Mikołajczyk nie zdobył się na bezpośrednią interwencję u Stalina, ani na żadne publiczne wystąpienie w obronie oskarżonych.

Doświadczony polityk, jakim był Mikołajczyk, musiał się orientować, że wprowadzenie do Polski demokracji i praworządności było zupełnie niemożliwe. System panujący, opierający się o wojsko dowodzone przez oficerów sowieckich, sowieckie KGB i polską bezpiekę, mocno siedział w siodle. Słabe poparcie zachodnich mocarstw i popularność w społeczeństwie nie wystarczały.

Mikołajczyk powinien był rozumieć, że jego powrót do Kraju wzbudzi nadzieje, które nie będą mogły być spełnione i tylko wywołają fale terroru.

Powrót Mikołajczyka rzeczywiście był jego triumfem. Setki tysięcy ludzi wiwatowały na jego cześć, miał niewątpliwie za sobą całe społeczeństwo. Niestety, system rządów się nie zmienił, panowała ścisła cenzura prasy i wydawnictw, a sądy wojskowe i specjalne ferowały ciężkie wyroki na złapanych partyzantach polskich.

Cała prasa reżymowa atakowała ciągle Mikołajczyka i jego partię. On ze swej strony unikał ostrzejszych kontrowersji i zasadniczo popierał politykę reżymu.

W referendum w roku 1946 i w wyborach do Sejmu w 1947 wyniki zostały brutalnie sfałszowane. Do Sejmu dostała się nieliczna grupa posłów ze stronnictwa Mikołajczyka. On



ustąpił z gabinetu i występował tylko jako poseł. Walka zaostrzała się. Jego zwolennicy byli zabijani i więzieni. Prasa jego była surowo cenzurowana. Groziło, że zostanie pozbawiony nietykalności poselskiej i będzie więziony.

Mikołajczyk nie chciał ryzykować życiem i uciekł z Kraju przy pomocy amerykańskiej. Niestety, jego zwolennicy ciężko za to zapłacili, a społeczeństwo polskie przeżyło tragiczne rozczarowanie z powodu zawiedzionych nadziei.

Wyprawa Mikołajczyka do Polski była niewypałem. S. Mikołajczyk nie wykazał się ani rozumem politycznym, ani godnością, ani odwagą. Pomnik mu się nie należy!

*A. KAMIENIECKI*

---

Z.S. SIEMASZKO

## MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI O 1920 ROKU<sup>1</sup>

Wojna 1920 r. odegrała zasadniczą rolę w dziejach stron walczących – Polski i Sowieców i w poważnym stopniu wpłynęła na losy krajów wschodniej i środkowej Europy, co najmniej przez następne 20 lat. Młodej i dla szeregu środowisk atrakcyjnej wówczas koncepcji państwa komunistycznego, nie zdołały pokonać próby odbudowania Rosji opartej o carską tradycję, pomimo hojnego poparcia ze strony Francji i W. Brytanii. Natomiast zdołała ją ograniczyć odnowiona po wielu latach koncepcja niepodległego państwa polskiego. Osiągnięcie to skłoniło Polaków do przesadnej wiary w swoje siły i możliwości, co fatalnie odbiło się na Wrześniu 1939 r. Jednocześnie zapadło to głęboko w świadomość sowiecką, a może nawet

---

1. Mieczysław Pruszyński, „Dramat Piłsudskiego – Wojna 1920”, Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1995.

i rosyjską, jako poniżenie wymagające rewanzu. Dlatego słusznie Pruszyński zwraca uwagę na to, że Katyń (jako symbol prześladowań sowieckich w czasie ostatniej wojny) miał cechy odwetu za rok 1920.

Czytając książkę Pruszyńskiego odniosłem wrażenie, że stronę polską opisał on obszernie, względnie obiektywnie i ciekawie. Natomiast przedstawienie czynników zewnętrznych, zarówno wschodnich jak i zachodnich, wzbudza poważne zastrzeżenia. Na przykład o sowieckich propozycjach pokojowych pisze Pruszyński tak:

*Rada Komisarzy Ludowych 28 stycznia 1920 r. wystosowała publiczną deklarację do rządu i narodu polskiego, w której oświadczyła m.in., że wojska czerwone nie przekroczą ówczesnej linii frontu, oraz że nie ma żadnej takiej kwestii czy to terytorialnej, czy ekonomicznej, czy innej, która by nie mogła być załatwiona na drodze pokojowej przy pomocy wzajemnych pertraktacji, koncesji i porozumień. (Str. 69.)*

*Ówczesna linia frontu przebiegała od 100 do 150 kilometrów na wschód od granicy ustalonej kilkanaście miesięcy później w Rydze. (Str. 70.)*

*Dziś z perspektywy lat wydaje się niewątpliwe, że propozycje pokojowe Sowietów z przełomu 1919 i 1920 r. były szczerze. (...) Rząd rosyjski zawarł wówczas traktaty pokojowe z Finlandią i Estonią, wkrótce potem z Łotwą i Litwą, i traktatów tych Rosjanie nie naruszali do 1939 r. (...) Dlaczego by nie mieli uszanować jakiś czas traktatu z Polską? (str. 71)*

Argumentacja ta jest wybitnie nie przekonująca. Nie będę tu powoływał się na źródła polskie, a raczej na brytyjskie. W latach 1970-1971 młody wówczas historyk Norman Davies pisał w swej pracy doktorskiej o wojnie polsko-bolszewickiej<sup>2</sup>, iż z punktu widzenia Sowietów:

---

2. Na podstawie tej pracy Norman Davies uzyskał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim. Została ona potem wydana pt. „White Eagle – Red Star”, Macdonald, London 1972. Moje omówienie tej książki ukazało się w 26-tych *Zeszytach Historycznych*, listopad 1973. Ostatnio wydano w Warszawie polskie tłumaczenie tej pracy prof. Daviesa.

*Niemcy miały zasadnicze znaczenie. Były one ogólnie przyjętym celem ostatecznym Czerwonej Armii i stanowiły główne podłoże optymizmu bolszewików. (Str. 182.)*

Szereg lat później (na podstawie najnowszych badań dokumentów sowieckich) profesor historii i polityki rosyjskiej Robert Service, na wykładzie na temat „Germany as Soviet Myth” (czyli „Niemcy jako mit Sowietów”) wypowiedział następujące opinie<sup>3</sup>:

*Bolszewicy sądzili, iż głównym ośrodkiem rewolucji powinny być Niemcy. Ich zdaniem rewolucja rosyjska, która jakby wybuchła przedwcześnie z powodu załamania się Rosji carskiej, była pożądana z punktu widzenia ogólnoeuropejskiej sytuacji rewolucyjnej, ale zasadniczą sprawą było dołączenie Niemiec do rewolucji. Lenin sądził, iż motorem rewolucji były Niemcy, że „kulturność” niemieckiej klasy robotniczej była na wysokim poziomie i jej udział w rewolucji europejskiej był konieczny. Lenin liczył na to, że jeszcze dojdzie do rewolucji w Niemczech. Bolszewicy byli zafascynowani Niemcami. W 1919 r. rozbudowali oni Armię Czerwoną i nakazali przygotowanie do marszu na zachód. Ruch w kierunku zachodnim był wówczas zasadniczą koncepcją. I w 1920 r. koncepcja ta omalże nie została zrealizowana. Uderzenie na Polskę było spełnieniem marzeń Lenina.*

W świetle tych stwierdzeń, pokojowe propozycje sowieckie ze stycznia 1920 r. nie mogły być szczerze i najprawdopodobniej zostały złożone w celu uzyskania kilku miesięcy potrzebnych na ostateczne zlikwidowanie „Białych”, a może jeszcze bardziej w celu uspienia polskiej czujności i przez to osłabienie Polski od wewnątrz. Jest to tym bardziej prawdopodobne, iż, jak stwierdził w swym wykładzie prof. Service,

---

3. Korzystam tu z własnych notatek sporządzonych 8 lutego 1995 r. w czasie wykładu w School of Slavonic and East European Studies w Londynie. Przypuszczam, że sprawy poruszone przez prof. Service w tym wykładzie znalazły się w jego książce „A History of Twentieth-Century Russia”, The Penguin Press, która właśnie ukazała się w druku, ale jej jeszcze nie widziałem.

Lenin wierzył, że polscy robotnicy i chłopi udzielą poparcia Czerwonej Armii.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na to, że w książce Pruszyńskiego brakuje całkowicie danych o działalności polskiej po stronie sowieckiej, którą kierowali Marchlewski i Dzierżyński, do tego stopnia, że Dzierżyński nawet nie występuje w indeksie nazwisk.

Trzeba też zwrócić uwagę na inną wypowiedź Pruszyńskiego, który pisze:

*Lord d'Aberton nazwał bitwę warszawską osiemnąstą decydującą bitwą świata. (...) Gruba przesada. Armia niemiecka na pewno wstrzymałaby dalszy pochód wojsk bolszewickich na zachód. (Str. 203.)*

Twierdzenie to wzbudza poważne zastrzeżenia w pierwszym rzędzie dlatego, że Czerwona Armia nie miała zamiaru przekraczać granicy niemieckiej i jak podaje Davies (str. 184) pertraktacje niemiecko-sowieckie dążące do uniknięcia zatargów granicznych w wypadku pokonania Polski, były już w toku. W tym czasie bolszewicy mieli w Niemczech sojuszników zarówno na lewicy, która dążyła do rewolucji, jak i na prawicy, która wspólnie z Sowietami chciała obalić postanowienia wersalskie, uciążliwe zarówno dla Niemiec jak i dla Sowietów. Można przypuszczać, że Czerwona Armia wkroczyłaby do Niemiec jedynie na „zaproszenie” lewicy, w celu wsparcia rewolucji niemieckiej.

Trzeba też pamiętać, że w tym okresie Niemcy były rozbite i zdemoralizowane, co spowodowała zarówno przegrana wojna jak i warunki Traktatu Wersalskiego. Wewnętrzną sytuację ówczesnych Niemiec przedstawia Norman Davies następująco:

*Niemcy były wówczas przesiąknięte społecznym rozgoryczeniem i polityczną dezorientacją. W ciągu osiemnastu miesięcy od czasu abdykacji Wilhelma II przeżyły one jedną rewolucję komunistyczną, dwie prowincjonalne sowieckie republiki, trzy reakcyjne zamachy, co najmniej cztery strajki generalne i pięciu kanclerzy. (Str. 182.)*

Trudno sobie wyobrazić, żeby tak zdeorganizowane państwo, w którym lewicowa część społeczeństwa sprzyjała Armii Czerwonej, zdołało wyprzeć tę Armię z terenu byłego zaboru pruskiego, co miało być ceną, jakiej Ludendorff i von Seckt żądali od Francji i Anglii, za niedopuszczenie do marszu sowieckiego na zachód, o czym piszą zarówno Pruszyński (str. 247) jak i Davies (str. 183).

Rzeczywiście Lord d'Abernon przesadził chyba nieco, przypisując bitwie warszawskiej 1920 r. aż tak wielkie znaczenie światowe, ale w skali europejskiej odegrała ona niewątpliwie bardzo poważną rolę, gdyż uniemożliwiła współdziałanie sowiecko-niemieckie w ramach systemu komunistycznego. A byłoby to wielkim nieszczęściem dla wielu narodów europejskich, a szczególnie dla Polaków.

To krótkie omówienie pracy Pruszyńskiego sugeruje, iż sprawy międzynarodowe nie są jej najmocniejszą stroną. Natomiast jest ona niewątpliwie poważnym osiągnięciem w dziedzinie odmalowania charakteru tej wojny. Była ona zupełnie inna niż tylko co zakończona wojna światowa, w której dominowała walka pozycyjna. Natomiast w wojnie polsko-bolszewickiej, prowadzonej na ogromnym terenie z wielkimi możliwościami głębokiej penetracji w obu kierunkach, dominował ruch, manewr i szybkość działania. A jednocześnie, z powodu braku z obu stron odpowiednich środków technicznych, działania te odbywały się w obliczu ograniczonych wiadomości zarówno o nieprzyjacielu jak i o własnych oddziałach. Wobec tego pomyłki i zaskoczenia nieraz bardzo poważne w skutkach, były nieuniknione z obu stron frontu. Może właśnie dlatego przebieg tej wojny jest bardziej frapujący niż innych wojen. W tej dziedzinie czytelnik nie powinien być zawiedziony książką Pruszyńskiego<sup>4</sup>.

Londyn, 16 listopada 1997 r.

*Z.S. SIEMASZKO*

---

4. Wojna polsko-bolszewicka była również tematem jednej z pierwszych prac Adama Zamoyskiego – „The Battle for the Marchlands”, Columbia University Press, New York, 1981.

## NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- PIOTROWSKI (Tadeusz). *Ukrainian Integral Nationalism. Chronological Assessment and Bibliography*. Str. 109. Wyd. Alliance of the Polish Eastern Provinces. The Polish Educational Foundation in North America, Toronto 1997.
- CYWIŃSKI (Janusz W.), ROJEWSKI (Tadeusz S.), TOPOROWSKI (Wiesław). *Monografia polskiego Wydziału Prawa 1944-1947 Uniwersytetu w Oxford*. Str. 332. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1997.
- TORAŃSKA (Teresa). *Oni*. Str. 719. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1997.
- KIELASIŃSKI (Marek). *Raport o zabijaniu. Zbrodnie sądów wojskowych na Zamku w Lublinie*. Str. 350. Wyd. TEST, Lublin 1997.
- JANICZAKÓWNA-SZYKSYZNIAN (Danuta). *281 dni w szponach NWKD*. Str. 168. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- SNASTIN (Wiktor). *Inspektorat „F”*. Materiały do historii Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej. Str. 223. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- KADZIELA (Paweł). *„Libella” 1957-1997. Historia i współczesność*. Str. 145. Wyd. „Libella”, Warszawa 1997.
- Zabytki sztuki polskiej na dawnych kresach wschodnich*. Materiały z konferencji „Dzień dzisiejszy dawnej sztuki polskiej na Wschodzie”, Warszawa, 12 grudnia 1994 r. Str. 69, Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze*, nr 4-5. Spotkania polsko-ukraińskie. Pod Red. S. Kozaka. Str. 533. Wyd. Katedra Ukrainistyki UW, Warszawa 1997.
- LEITGEBER (Sławomir). *Morawscy herbu Nałęcz I. 600 lat dziejów rodziny*. Str. 376. Wyd. Panoptikos, Poznań 1997.
- Kamen 'Kraeug' 'Il'n' – Rhetoric of the Medieval Slavic World*. Essays presented to Edward L. Keenann on his Sixtieth Brithday. Str. 783. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge 1997.
- SANEJKO-KWAŚNICKA (Bronisława). *Zapomniane dziewczęta*. (Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie). Str. 333. Wyd. Oddział Lubelski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Lublin 1995.
- SNAYDER (Timothy). *Nationalism, Marxism, and Modern Central Europe. A Biography of Kazimierz Kelles-Krauz (1872-1905)*. Str. 321. Ukrai-

- nian Research Institute, Harvard University 1997.
- CHAŁASIŃSKI (Józef). *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*. Str. 223. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1997.
- Jałta, Poczdam. Proces podejmowania decyzji*. Materiały z konferencji naukowej Warszawa 11-12.6.1996 r. Str. 142. Wyd. Polska Fundacja im. Roberta Schumana. Ośrodek Studiów Międzynarodowych, Warszawa 1996.
- MINK (Georges). *Vie et mort du bloc soviétique*. Str. 159. Wyd. Casterman-Giunti, Florencja 1997.
- BĘDKOWSKI (Leon), 12. Pułk Ułanów Podolskich. *Nieśmiertelni*. Wspomnienia służby ułańskiej. Str. 286. Wyd. JAXA, Kraków 1997.
- DUBICKI (Tadeusz). *Internowanie płk. Józefa Becka w Rumunii (IX 1939 – VI 1944)*. Seria: Jeńcy Wojenni 1939-1945. Fakty, Dokumenty, Sylwetki” pod red. Cz. Wawrzyniaka. Str. 125. Wyd. Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambicach-Opolu, Opole 1997.
- O stanie wojennym w sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej*. Sprawozdanie Komisji i wniosek mniejszości wraz z ekspertyzami i opiniami historyków. Str. 269. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997.
- JAEGERMANN (Tadeusz), PIETRZYKOWSKI (Jerzy), *Mokotowski Oddział Kedywu Okręgu Warszawa Armii Krajowej*. Str. 140. Wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 1997.
- Wspomnienia Sybiraków kolskich*. Red. W. Ignaczerski, K. Kasperkiewicz. Str. 75. Koło, 1997.
- LORENZ (Izabela). *Adam Dźwinkowski jako nauczyciel i działacz ruchu zachowawczego*. Str. 44. ZHP Komenda Chorągwi, Wielkopolskiej, Poznań 1996.
- ZIÓŁKOWSKA-BOEHM (Aleksandra). *Z miejsca na miejsce*. W cieniu legendy Hubala. Str. 92. Wyd. von Borowiecky, Raszyn 1997.
- Rozstrzelani w Katyniu*. Alfabetyczny spis 4410 jeńców polskich z Kozielska rozstrzelanych w kwietniu-maju 1940, według źródeł sowieckich, polskich i niemieckich. Seria: Indeks Represjonowanych, t. I. Str. 286. Wyd. Ośrodek KARTA, Warszawa 1995.
- Rozstrzelani w Charkowie*. Alfabetyczny spis 3739 jeńców polskich ze Starobielska rozstrzelanych w kwietniu-maju 1940, według źródeł sowieckich i polskich. Seria: Indeks Represjonowanych, T. II. Str. 245. Wyd. Ośrodek KARTA, Warszawa 1996.

## OKRUCHY HISTORII

Maciej SIEKIERSKI

### POLSKIE ZBIORY INSTYTUTU HOOVERA

Jeden z największych ośrodków dokumentacji najnowszej historii Polski znajduje się na zachodnim wybrzeżu Ameryki, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów na południe od San Francisco – w Instytucie Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda. Instytut został założony przez najślawniejszego absolwenta tej uczelni, Herberta Hoovera, w roku 1919 jako zbiór dokumentów dotyczących pierwszej wojny światowej oraz pomocy humanitarnej udzielanej przez Amerykanów Europie. Instytut wkrótce poszerzył swe zainteresowania i zaczął obejmować wszystkie aspekty społecznych, politycznych i ekonomicznych zmian na całym świecie w XX wieku. Poza biblioteką utworzono centrum naukowe poświęcone studiom zagadnień amerykańskich i międzynarodowych.

Zbiory polskie i badania nad nimi stanowiły tradycyjnie istotną część działalności Instytutu. Obecnie materiały archiwalne i biblioteczne zbiorów polskich stanowią około 5% ogólnej ilości 1,6 miliona tomów i 4000 zespołów archiwalnych Instytutu i pokrywają ponad sto lat historii Polski, począwszy od papierów W.P. Platonowa, rosyjskiego ministra spraw polskich z lat 1860-tych, aż do okresu po drugiej wojnie światowej, w postaci materiałów Stanisława Mikołajczyka oraz największego poza Krajem zbioru dokumentów „Solidarności” z lat osiemdziesiątych.



Pierwsze polskie materiały zostały przekazane do Instytutu przez polską delegację na paryską konferencję pokojową w 1919 r. W następnych latach wysłannicy amerykańskiej organizacji pomocy, którą kierował Herbert Hoover, utrzymywali kontakty z Polakami w nowo odzyskanej niepodległej Polsce. Pozyskano dwa liczne i wartościowe zbiory dotyczące okresu I wojny światowej: polskich partii politycznych oraz Włodzimierza Wiskowskiego. Zawierają one dużą ilość broszur, proklamacji i afiszów, razem ponad 3000 pozycji, wydanych przez grupy reprezentujące cały wachlarz partii i organizacji politycznych w latach 1914-1921. Szczególną wartość dla historyków badających „białe plamy” w stosunkach polsko-sowieckich przedstawiają liczne publikacje SDKPiL i jej następców z Komunistycznej Partii Robotniczej Polskiej oraz publikacje bolszewickiej propagandy w latach 1918-1921 wzywające do obalenia rządu polskiego i stworzenia polskiej republiki radzieckiej.

W okresie międzywojennym oraz w pierwszych latach po II wojnie światowej Stanisław Arct, znany warszawski wydawca i księgarz, systematycznie zaopatrywał Instytut Hoovera w materiały. Gdy w r. 1945 Stany Zjednoczone i Wielka Brytania opuściły swego polskiego sprzymierzeńca i cofnęły uznanie rządowi polskiemu na uchodźstwie, polskie władze cywilne i wojskowe w Anglii zdecydowały przenieść część swoich archiwów w bezpieczne miejsce w Stanach Zjednoczonych, aby je ocalić przed zniszczeniem, rozproszeniem bądź przejściem przez reżym warszawski. Wybór Instytutu Hoovera na złożenie materiałów nie był przypadkowy. Jego założyciel był szanowany i podziwiany przez Polaków dzięki swej działalności humanitarnej (pomnik na Skwerze Hoovera na Krakowskim Przedmieściu), oraz dzięki negatywnemu ustosunkowaniu się do Teherańskiej, Jałtańskiej i Poczdamskiej konferencji i powziętych tam postanowień. Biblioteką Hoovera kierował do r. 1944 prof. Harold H. Fisher, specjalista od spraw wschodnioeuropejskich i były przedstawiciel organizacji pomocy Polsce, autor obszernego dzieła o walce Polaków o niepodległość i o odbudowie Polski po I wojnie światowej. W swoich wysiłkach zdobycia materiałów zdołał zapewnić sobie współpracę wielu wybitnych Polaków jak Jan

Karski i Józef Garliński, którzy stali się „specjalnymi agentami akwizytorami”. Ich prace kontynuował Witold Sworakowski, pierwszy kurator polskich zbiorów Instytutu, a następnie zastępca dyrektora. W Instytucie pracował znany bibliograf Jan Kowalik oraz prof. Witold Sukiennicki, jak również wybitny specjalista od spraw sowieckich Ryszard Wraga (Jerzy Niezbrzycki).

Większość bibliotecznych i archiwalnych kolekcji, złożonych w Instytucie po II wojnie światowej, należała do trzech depozytów: ambasadora Jana Ciechanowskiego (1945), generała Andersa (1946), oraz ministra Aleksandra Zawiszy (1959). Depozyt Ciechanowskiego zawierał archiwa szeregu polskich ambasad, m.in. w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie-Kujbyszewie, Materiały Andersa przysłane z Rzymu i Kairu w latach 1946-47 zawierały archiwa Biura Dokumentów 2 Korpusu i znaczną ilość materiałów odnośnie organizacji Armii Polskiej w Sowieciech i na Bliskim Wschodzie. Depozyt Zawiszy zawierał archiwa Polskiego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które aż do r. 1959 były złożone w Dublinie. Po wygaśnięciu prawnie zastrzeżonych terminów, depozyty stały się własnością Instytutu Hoovera i po rozdzieleniu na szereg zespołów są już całkowicie włączone do zbiorów. Są one bogatym źródłem wiedzy na temat Polski dwudziestolecia oraz działalności dyplomatycznej i wojskowej w okresie II wojny światowej. Szczególną wartość posiadają dokumenty oświetlające stosunki polsko-sowieckie w tym okresie, zawierające najpełniejszą z istniejących dokumentację tragicznego losu setek tysięcy obywateli polskich, wywiezionych do Rosji Sowieckiej oraz jeńców wojennych. Znajdują się tu zeznania, relacje i ankiety Polaków zwolnionych po „amnestii” i wyewakuowanych do Iranu w r. 1942. Ogółem około 30.000 tego rodzaju dokumentów, oraz ponad 10.000 oryginalnych zwolnień z łagrów, zachowano w aktach Ambasady RP w Moskwie, w tak zwanej kolekcji gen. Andersa oraz w papierach Ministerstwa Informacji i Dokumentacji – zespołach wyodrębnionych z wyżej wymienionych depozytów.

Zbiory polskie były systematycznie uzupełniane przez cały okres powojenny, a szczególnie intensywnie w latach

1991-1993, gdy Instytut zlokalizował swoje wschodnio-europejskie biuro akwizycyjne w Warszawie. W tym samym czasie Instytut Hoovera nawiązał współpracę z Naczelną Dyrekcją Archiwów Państwowych. W ramach tej współpracy Instytut zobowiązał się do zmikrofilmowania i przekazania stronie polskiej kopii akt proveniencji państwowej. Umowy przewidują również możliwość wymiany mikrofilmów, wspólne wystawy, wymiany specjalistów, publikacje. Instytut Hoovera gościł w ostatnich latach szereg wizyt przedstawicieli Archiwów Państwowych. Kilkumiesięczny pobyt w Stanfordzie dr. Władysława Stepniaka zaowocował wydaniem przez NDAP przewodnika po polskich zbiorach Instytutu („Archiwa polskie w zbiorach Instytutu Hoovera Uniwersytetu Stanforda”, Warszawa, 1997, 261 stron). W końcu ubiegłego roku Instytut otrzymał ponad ćwierć miliona dolarów od amerykańskiej agencji rządowej National Endowment for the Humanities i od Taube Family Foundation (Pan Tadeusz Taube jest członkiem rady powierniczej Instytutu) na udoskonalenie inwentarzy i zmikrofilmowanie dużej części zbiorów polskich. Będący w trakcie a przewidziany do roku 1999 program obejmuje akta Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, Ambasady RP w Waszyngtonie, Moskwie-Kujbyszewie i Londynie, oraz archiwum gen. Władysława Andersa i Stanisława Mikołajczyka. Jeszcze w tym roku pierwsze kilkaset rolek mikrofilmu zostanie przekazanych do Kraju. Ogromna liczba podstawowych dla badań historycznych materiałów archiwalnych dotrze do rąk historyków polskich.

Osoby zainteresowane bardziej szczegółowymi informacjami o zbiorach i o działalności Instytutu Hoovera mogą skontaktować się z kustoszem zbiorów polskich:

Dr Maciej Siekierski  
Curator, European Collection  
Hoover Institution  
Stanford, California 94305-6010  
USA  
e-mail <siekierski@hoover.stanford.edu>

## KRÓL POLSKI ABRAHAM PROCHOWNIK

„...Żydzi odgrywają ważną rolę w jednej z najwcześniejszych polskich legend nawiązujących do założenia Królestwa Polskiego. Opowiada ona, że kiedy zjednoczone plemiona zdecydowały się na wybranie króla, który miałby panować nad wszystkimi, wybrali Żyda imieniem Abraham Prochownik. (...) Abraham, z niezwykłą skromnością, zrezygnował z korony na rzecz miejscowego chłopca imieniem Piast, który stał się w ten sposób założycielem historycznej dynastii panującej w Polsce od ok. 962 do 1370”.

Wiadomość tę podał Artur Koestler w swej książce „Trzynaste plemię” o chazarskim pochodzeniu wschodnioeuropejskich Żydów. Ani Bobrzyński, ani żadna z nowszych prac historycznych o żadnym Prochowniku nie wspomina.

Czy legenda („jedna z najwcześniejszych”) ignorowana jest konsekwentnie przez historyków polskich, uważających całą sprawę za zbyt zenującą? Czy może upiększania historii dokonuje się po drugiej, żydowskiej stronie? Czy też wreszcie chodzi tu o jakieś nieporozumienie?

Koestler opatruje wiadomość odsyłaczem, w którym jako źródło podaje trzeci tom wydanej w Nowym Jorku (po angielsku) „Społecznej i religijnej historii Żydów”. W rozdziale pt. „Europa Wschodnia” autor, Salo Wittmayer Baron pisze: „Godne uwagi, że Żydzi pojawiają się w najwcześniejszych mitach związanych z formowaniem polskiego państwa. Stara legenda podaje, że kiedy różne szczepy postanowiły wybrać króla, wybór ich padł na Żyda, Abrahama Prochownika, który zrezygnował jednak na rzecz miejscowego chłopca imieniem Piast, rzekomego założyciela znanej dynastii Piastów. Jakkolwiek anachroniczne byłoby wspomnienie ‘prochu’ w tych czasach (jeśli rzeczywiście nazwisko Prochownik ma takie pochodzenie), obecność Żyda przy narodzinach pierwszej

---

Noty dotyczące wymienionych w artykule osób znajdują się na stronie 228.

polskiej dynastii jest bardzo prawdopodobna”. Niestety Salo Wittmayer Baron nie podał źródła legendy. W odsyłaczu obok krótkiej listy literatury przedmiotu – t.j. obecności Żydów w Polsce Piastów – sprawę legend Baron skomentował: „Legendy dotyczące najwcześniejszego przybycia Żydów mogą równie dobrze zawierać ziarno historycznej prawdy. Utrzymanie i rozwinięcie legendy pokazującej obecność Żydów od najdawniejszych czasów leżało rzecz jasna w interesie społeczności żydowskiej w Polsce”.

Szersze omówienie legend i podań o początkach państwa znaleźć można w pracach starszych, z czasów kiedy podania cieszyły się dużo większą powagą. Wydana w 1920 roku nakładem PAU „Encyklopedia Polska” podaje w swej części historycznej następujące grupy legend: „1) Podanie o Krakui Wandzie; 2) podanie o Leszkach; 3) podanie o Piaście; 4) podanie o Wisławie; 5) podania pomorskie. Wszystkie one są fragmentami jednej dynastycznej powieści nie dochowanej w całości”. Ani słowa o Abrahamie Prochowniku.

A inne encyklopedie? W powojennych – małych i wielkich – nic, za to w „Encyklopedii Trzaski, Ewerta i Michalskiego” jest hasło: „Prochownik Abraham – według podań Żydów polskich mądry kupiec żydowski, wybrany królem po śmierci Popiela, który zrzekł się następnie tronu na rzecz Piasta. Podanie powstało najprawdopodobniej za czasów elekcyjnych”. Ta notatka po pierwsze potwierdziła fakt istnienia legendy, po drugie potwierdziła domysł, że legenda ta ma źródła żydowskie, po trzecie podała przypuszczalny czas jej powstania – czasy elekcji. Dlaczego?

W „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej” z roku 1890 pod hasłem „Abraham ‘Prochownik’” znajdujemy obszerną notatkę następującej treści:

„Żyd mądry, domniemany król polski, który za Popiela miał handlować prochem, a po nim jakoby królem obrany, z powodu, że po zgonie monarchy pierwszy przybył przed świtem do Kruszwicy. Tę nedorzeczną legendę, utrzymującą się w tradycji Żydów polskich, powtórzył bez objaśnień za Hermanem Sternbergiem (niemieckim historykiem Żydów w Polsce) Roman Zmorski, a za nim Ewaryst Estkowski w czasopiśmie poznańskim z r. 1854 pt. *Szkółka dla*

*młodzieży*. Pisali też o niej Lelewel ('Polska wieków średnich', T. II. Str. 416-421). (...) Kraushar w „Historii Żydów w Polsce”, T. I. str. 41-43, i inni. Znalazła się nawet dla badaczy łamigłówka do dociekania, przez wykrycie w Gnieźnieńskim traktatów potwierdzających rzekome panowanie Abramka w Polsce; a te wszystkie baśnie rozwikłał wybornie Ernest Świerżawski, w obszernej rozprawie pt. 'Pierwotne wskazówki pobytu Żydów w dawnej Polsce', zamieszczonej w *Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym* za rok 1882 (...). Według trafnej uwagi Świerżawskiego legenda o Abrahamie Prochowniku, jako królu polskim, mogła powstać w tradycji dopiero po śmierci Zygmunta Augusta, w elekcji Henryka Walezyusza, kiedy podano na kandydata do tronu niejakiego Abrahama Zbąskiego”.

Ta wersja podania wzbogacona jest informacją o powodzie wyboru Prochownika na króla: „że po zgonie monarchy pierwszy przybył przed świtem do Kruszwicy”. Mamy więc i morał podania: Abraham nagrodzony jest za pilność, według zasady „kto rano wstaje”.

Wprawdzie w notatce nie podano tytuły pracy, w której Herman Sternberg ogłosił podanie o Prochowniku, ale w katalogu pod jego nazwiskiem znajdujemy *Geschichte der Juden in Polen unter den Piasten und den Jagiellonen*. Rzut oka na kartę tytułową informuje nas, że „Dzieje Żydów w Polsce” wydane zostały w Lipsku w 1878 roku, a więc grubo później niż *Szkółka dla młodzieży* za rok 1854, w której Estkowski miał powtórzyć legendę za Zmorskim. W tychże „Dziejach” podaje Sternberg historię „Pulvermeistra” Abrahama poprzedzając ją słowami: „Und so lebt im Munde des polnischen Volkes folgende Königssage (I oto w ustach ludu polskiego żyje następujące podanie)” i opatrując odsyłaczem, w którym podaje książkę Zamarskiego „Domowe wspomnienia i powiastki”.

Cała sprawa zaczyna się tu gmatwać. Po pierwsze jak mają się do siebie Roman Zmorski i cytowany przez Sternberga autor „Domowych wspomnień” Zamarski? Wydane w Warszawie w 1854 roku „Domowe wspomnienia i powiastki” są – według karty tytułowej – autorstwa Romana Zamarskiego. Zbieżność imion wydaje się potwierdzać przypuszczenie, że

chodzi tu o jedną i tę samą osobę. By uzyskać pewność sprawdzamy w pierwszym rzędzie zbiór „Podania i baśnie ludu” wydane już w roku 1855, ze wstępem pióra biografa Zmorskiego, Henryka Syski. Wstęp zawiera wprawdzie szereg interesujących informacji o życiu i twórczości Romana Zmorskiego (m.in. dowiadujemy się, że był on serdecznym przyjacielem Edwarda Dembowskiego), brak natomiast informacji o używaniu przez niego innego nazwiska, ale w poprzednim wydaniu „Podań” z 1902 roku, opatrzonym przedmową Jana Karłowicza, na karcie tytułowej figuruje: „Podania i baśni ludu, spisał Roman Zmorski (R. Zamarski)”. W ten sposób została ustalona ponad wszelką wątpliwość tożsamość autora „Domowych wspomnień”. Nadmienić jeszcze wypada, że żadne z wydań „Podań i baśni” legendy o Abrahamie nie zawiera. Podają ją natomiast, w barwnej i obszernej formie, pióra Zmorskiego „Domowe wspomnienia i powiastki” wydane w roku 1854, a więc wcześniej niż cytowana praca Sternberga.

Ustalenie chronologii jest tym ważniejsze, że wspomniany już odsyłacz Sternberga do pracy Zmorskiego (Zamarskiego) nie jest wskazaniem źródła wiadomości, ale ma charakter polemiczny, krytykując formę w jakiej Zmorski przedstawił podanie o Prochowniku. Wychodząc z założenia, że Sternberg mógł opublikować coś wcześniej, sprawdzamy w wydanej w 1865 roku „Historii Żydów w Polsce” Alexandra Kraushara. Zamieszcza on wersję legendy identyczną niemal z wersją Sternberga, za źródło podając jego wcześniejszą, bo w 1860 roku opublikowaną pracę. Kraushar wymienia też Zmorskiego i jego „Domowe wspomnienia”, ale koncentruje się raczej na treści polemiki nie wyjaśniając jednak w sposób jednoznaczny pierwszeństwa przekazu legendy. Prawdopodobnie sprawę tę uważał za drugorzędną albo – co nie mniej prawdopodobne – oczywistą, i jako taką nie wymagającą komentarza. Cytuje on również wymienionego w „Wielkiej Encyklopedyi” Lelewela. W „Polsce wieków średnich”, wydanej w 1856 roku, Leleweł jako źródło wskazuje Zmorskiego, który ją „po swojemu skreślił”, wspomina że powtórzona ona była w „szkółce poznańskiej Estkowskiego r. 1854” i na zakończenie dodaje, że „ta powiastka wynika z rzeczywistych między jęwejami pogadanek.” Sternberga Leleweł nie wymienia.

Zasługa – czy jak kto woli wina – opublikowania spoczywa, w świetle przytoczonych przeze mnie materiałów, na Romanie Zmorskim. Tak też przedstawił tę sprawę wymieniony przez „Wielką Encyklopedyję” – Ernest Świerżawski. W artykule „Pierwsze wskazówki pobytu Żydów w dawnej Polsce” pisze on, że podanie o Prochowniku zostało „skreślone przez Zmorskiego, rozszerzone przez Estkowskiego 1854, ogłoszone po niemiecku przez Sternberga 1860 roku”.

Ewaryst Estkowski rzeczywiście wydawał czasopismo *Szkółka dla młodzieży* – a nie, jak to z pobłażaniem napisał Lelewel „szkółka poznańska”, która *nota bene* „wraz z dodatkiem literackim wychodzi ośm razy do roku w sześciotygodniowych poszytach”, przedpłata na którą (2 talary za rok, 1 za pół roku) „przyjmują wszystkie urzędy pocztowe w Państwie Pruskim”. Faktycznie, w tomie piątym z 1854 pomieścił Estkowski „rodzinne podanie żydowskie z ‘Domowych wspomnień i powiastek’ Zamarskiego”. Jest to, słowo w słowo, wersja Zmorskiego, zaczynająca się od słów „za dawnych, bardzo dawnych czasów, kiedy jeszcze ludzie nie znali ani gorzałki ani tabaki”, którą w tym miejscu Estkowski wzbogacił jedynie o objaśnienie: „(mówi pewien żydek polski)”. Tyle o wkładzie Estkowskiego i *Szkółki dla młodzieży* w sprawę Abrahama Prochownika. Prawdopodobnie odpowiedzialnym za uwypuklenie jego roli jest Lelewel, którego wzmiankę powtarzano później dość mechanicznie. A może książka Zmorskiego była trudno dostępna i łatwiej było skorzystać z przedruku na łamach *Szkółki*?

Z „Domowych wspomnień i powiastek” skorzystał natomiast Sternberg. Wynika to niedwuznacznie z jego – wspomnianej już – polemiki ze Zmorskim. Używając bardzo mocnych słów Sternberg zarzuca Zmorskiemu przedstawienie legendy w formie prześmiewczej i nienawistnej („einer gehässigen Form”). Nie wydaje się prawdopodobne, by chodziło mu o język, w jakim Zmorski zapisał legendę – naśladowający gwarę (czy żargon) z wtrącanym tu i ówdzie wykrzyknikiem „Nu!”, Abramkiem zapowiadającym, że pomodli się do swego „Adunaj”, każącym sobie przynieść „szczupaka i kugiel, i miodu gąsiorek” itp., itd. Oburzenie Sternberga wzbudził natomiast wstęp, jakim Zmorski poprze-



dził legendę. Najpierw zręcznie naszkicował plan naukowej pracy historycznej, która miałaby zająć się implikacjami odkrycia legendy o Abrahamie, by później – pod wpływem straszliwego i proroczego snu – zamiar ten porzucić.

W sumie wstęp ten można odebrać jako prześmiewczy. Stopień oburzenia Sternberga wydaje się jednak być wprost proporcjonalny do przekonania o wartości legendy o Prochowniku jako źródła historycznego. Być może Sternberg wziął sprawę (snu Zmorskiego nie wyłączając) zbyt poważnie a legendę zbyt dosłownie. Kraushar pisze, że podanie przytoczone zostało „z całą naiwnością dobrej wiary przez p. Sternberga, który protestując przeciwko odmiennej wersji, podanej w tej mierze przez Zmorskiego w „Domowych wspomnieniach i powiastkach”, opiera się w swoim mniemaniu jedynie na legendzie w uściech ludu żyjącej”.

Sternberg łączy podanie o Abrahamie Prochowniku z bitymi w Polsce monetami o napisach w alfabecie hebrajskim. Świerzawski wskazuje zaś, że monety te bito w wieku XII, za Mieszka III Starego. Natomiast datowanie podania, na czasy pierwszych wolnych elekcji opiera on na – skądinąd logicznie brzmiącym – twierdzeniu, że podania „noszą wyraźnie piętno czasu, w którym się urodziły, a za punkt wyjścia mają złomki prawdziwych dziejów” popartym długim i skomplikowanym wywodem.

Dla uzyskania jeszcze pełniejszego obrazu wypadła cofnąć się w poszukiwaniach i sprawdzić literaturę omawianą przez Salo Wittmayera Barona. Z zestawu prac podanych przez Barona wyławiamy dwie, poruszające kwestię legendy, pozycje. Pierwsza z nich to Maksymiliana Gumplowicza „Początki religii żydowskiej w Polsce” – wyeksponowanie w tytule „religii”, a nie na przykład „historii”, jest wyraźnym ukłonem w stronę Chazarów. Gumplowicz, powołując się na materiały numizmatyczne podaje (w rozdziale „Walki Chazarów z Gotami”), „że ów mityczny Żyd Abraham Prochownik, który według podań przed Piastem jeden dzień panował w Polsce, niekoniecznie jest osobą bajeczną”, nie wskazując źródła, z którego zaczerpnął legendę. Gumplowicz polemizuje z datowaniem wspomnianych już monet na czasy Mieszka III i usiłuje cofnąć je wstecz, do przedchrześcijańskich czasów i

przypisać je wpływowi „żydowskich Chazarów”.

Druka pozycja, „Teksty źródłowe do nauki historii Żydów w Polsce” podaje nie tylko źródło ale i samą legendę w pełnej (?) wersji, a nie tylko jej streszczenie. W odsyłaczu legenda opatrzona jest komentarzem autorów opracowania (Mahler i Ringelblum) dotyczącym jej pochodzenia. Autorzy stwierdzają, że powstała ona „w późniejszych czasach, kiedy zawrzała już walka mieszczan polskich z Żydami o ich prawo pobytu i zarobkowania w kraju. Żydzi najwidoczniej pragnęli na mocy tych legend udowodnić – co zresztą prawdopodobnie odpowiada prawdzie historycznej – że pobyt ich w Polsce datuje się od czasów przedhistorycznych. Podobnie też Żydzi niemieccy w średniowiecznej epoce prześladowań, tworzyli legendy mające wskazywać, że osiedlenie ich w Niemczech nastąpiło jeszcze w czasach rzymskich, co zresztą także zgodne jest z faktami historycznymi”.

Wersja legendy przedstawiona w „Tekstach źródłowych” identyczna jest z wersją przedstawioną, we wskazanej przez autorów jako źródło, pracy historycznej Hilarego Nussbauma „Historija Żydów od Mojżesza do epoki obecnej”. Autor opatruje ją następującym komentarzem: „W tej formie podaje autor ‘Historii Żydów w Polsce’ Sternberg, tę legendę, w mniej przychylnych rysach skreśloną przez Zmorskiego w ‘Domowych wspomnieniach i powiastkach’, a uważaną przez Lelewela za powiastkę, wynikającą z rzeczywistych pogadań między Żydami”. Potwierdza to chronologię publikacji podania o Abrahamie Prochowniku. W końcowej wersji przedstawia się ona następująco:

Rok 1854 – Zmorski pierwszy ogłasza drukiem legendę w wersji najobszerniejszej, „gwarowej”; w tymże roku powtarza ją dosłownie Estkowski; 1856 – legendę odnotowuje Lelewel; 1860 – Sternberg ogłasza wersję zwięzlejszą, nazwijmy ją klasyczną, gdyż powtarzają ją w niezmienionej formie Kraushar, Nussbaum i Mahler z Ringelblumem. Ostatnią z odnotowanych przez nas wzmianek o legendzie w języku polskim jest hasło w „Encyklopedii Trzaski, Ewerta i Michalskiego”.

A oto opowieść o Abrahamie Prochowniku w wersji klasycznej:

Po śmierci króla Popiela, który miał ze swego grzesznego ciała złożyć obfitą daninę gromadzie myszy, tron polski został osierocony. Na wiecach w Kruszwicy, zgromadzeni wyborcy, nie mogąc się zgodzić na wybór nowego władcy, postanowili, stosownie do projektu, przedstawionego przez najstarszego z pomiędzy siebie, iżby ten kto by z brzaskiem dnia przybył do miasta, królem okrzyknięty został. Cztery straże rozstawione były koło mostu, prowadzącego do miasta by donieść, kto pierwszy do miasta przybędzie. Przypadek zrządził, że Żyd Abraham, sprowadzający zwykle proch do miasta i z tego względu Prochownikiem zwany, pierwszy stanął u mostu jeziora Gopła.

Z radością powitany przez ustawione nad brzegiem strażę, zaprowadzony został do miasta, gdzie stosownie do uradzonego planu, koronę lechicką miał otrzymać. Z początku Abraham stanowczo odmówił przyjęcia ofiarowanej mu korony, ale widząc, że wyborcy w swoim postanowieniu trwają i odmowy przyjąć nie chcą, uprosił sobie dzień czasu do namysłu, by w modlitwie do Boga znaleźć poradę, zastrzegając wszakże, by mu w jego rozmiętywaniach nie przeszkadzano. Dwa dni i noce upłynęły, a Abraham nie ukazywał się niecierpliwemu ludowi.

Wreszcie trzeciego dnia, gdy cierpliwość zgromadzonych przebrała miarę, jeden z najstarszych ziemian podniósł głos i zawołał: „Bracia! Tak długo pozostać nie może, kraj bez naczelnika niechybnie popadnie w ztratę. Ponieważ Abraham z chaty nie wychodzi, przeto ja go z niej wywołam”.

I to mówiąc, porwał siekierę i wybił drzwi chaty, w której Abraham był się zamknął. Wtedy Abraham występując przed zgromadzone tłumy zawołał: „Polacy! Oto wasz ziomek Piast! Jego wybierzcie na swego naczelnika. Posiada on rozum wytrawny, gdyż uznał, że kraj bez władcy istnieć nie powinien; posiada on odwagę, gdyż dla ocalenia swej ojczyzny, sprzeciwił się danemu rozkazowi nie przeszkadzania mi w pobożnym rozmyślaniu. Jemu ofiarujcie koronę, a będziecie za to Bogu i Abrahamowi przez całe życie wdzięczni!” I Piast został królem obwołany.

(Czerwiec - lipiec 1993, zbiory Biblioteki Królewskiej w Sztokholmie i Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie)

Osoby występujące:

Baron, Salo Wittmayer – historyk amerykański; wspomniął Gumpłowicza, powtórzył legendę za Mahlerem i Ringelblumem; „Spoleczna i religijna historia Żydów”.

Estkowski, Ewaryst - pionier pedagogiki, zamieścił legendę w wersji Zmorskiego; „Szkółka dla młodzieży”.

Gumpłowicz, Maksymilian - historyk polski; zwolennik „teorii chazarskiej”; wspomniął legendę nie podając źródła; „Początki religii żydowskiej w Polsce”.

Koestler, Arthur – urodzony w Budapeszcie angielski pisarz, niegdyś komunista, później historyk i filozof; zwolennik „teorii chazarskiej”; bezpośredni sprawca naszych poszukiwań; powtórzył legendę za Baronem; „Trzynaste Plemię”.

Kraushar, Alexander – historyk polski, wspomniął uwagi Lelewela, powtórzył legendę za Sternbergiem (tłumacząc z niemieckiego) i odnotował jego polemikę ze Zmorskim; „Historia Żydów w Polsce”.

Lelewel, Joachim – wspomniął Zmorskiego i legendę; „Polska wieków średnich”.

Mahler, Rafał – opracował – wraz z Emanuelem Ringelblumem – zbiór tekstów źródłowych, zawierających m.in. legendę w wersji zaczerpniętej od Nussbauma; „Teksty źródłowe do nauki historii Żydów w Polsce”.

Nussbaum, Hilary – historyk polski; wspomniął Zmorskiego i Lelewela; powtórzył legendę za Sternbergiem; „Historia Żydów od Mojżesza”.

Prochownik, Abraham – legendarny następca Popiela a poprzednik Piasta.

Ringelblum, Emanuel – współautor „Tekstów źródłowych”; historyk, do historii przeszedł jednak przez spisywaną na bieżąco „Kronikę getta warszawskiego”.

Sternberg, Hermann – historyk niemiecki; prawdopodobnie powtórzył legendę za Zmorskim (tłumacząc na niemiecki) i nie chciał się do tego przyznać; autor klasycznej wersji legendy; „Geschichte der Juden in Polen”.

Syska, Henryk – biograf Zmorskiego; autor opowieści literackiej o Zmorskim: „Syn Mazowsza”.

Świerzawski, Ernest – historyk polski (m.in. autor książki o Esterce); datował legendę na czasy elekcyjne; „Pierwsze wskazówki pobytu Żydów w dawnej Polsce”.

Zmorski, Roman (Roman Zamarski) – poeta; członek Cyganerii warszawskiej; autor zbiorów podań ludowych, m.in. legendy o Prochowniku; „Domowe wspomnienia i powiastki”.

*Arthur SEHN*

## RZECZPOSPOLITA W KORESPONDENCJI SIR JOSEPHA BANKSA

W zbiorach rękopisów biblioteki British Museum przechowywany jest list wysłany w październiku 1805 roku przez wileńskiego biskupa i rektora uniwersytetu, Hieronima Stroynowskiego do Sir Josepha Banksa. List informuje angielskiego uczonego o nadaniu mu honorowego tytułu członka Uniwersytetu Wileńskiego.

Sir Joseph Banks należał do najwybitniejszych przyrodników przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Twórca Królewskiego Ogrodu Botanicznego w Kew pod Londynem, towarzysz kapitana Cooka i współodkrywca Australii, naukowy doradca króla Anglii, długoletni przewodniczący prestiżowego Royal Society, organizator wielu wypraw naukowych. Banks odgrywał także znaczącą rolę polityczną. Wielokrotnie brał udział we francusko-angielskich negocjacjach doprowadzając m.in. do uwolnienia uczonych, jeńców wojennych jak choćby D. Dolomieu czy zwrotu zarekwirowanych kolekcji m.in. zbiorów Humboldta. Angielski przyrodnik powszechnie uznawany jest także za jednego z najważniejszych organizatorów brytyjskiej polityki morskiej.

Pozostawiona przez niego korespondencja liczy kilka tysięcy listów. Wśród jego korespondentów odnaleźć można praktycznie wszystkich wybitnych uczonych tamtej epoki jak i wielu ludzi kultury, polityków i dyplomatów z całej Europy. W listach opracowanych przez Warrena R. Dawsona i wydanych przez British Museum (*The Banks Letters, A Calendar of the Manuscript Correspondance of Sir Joseph Banks Preserved in British Museum and the Other Collections in Great Britain*) odnaleźć można także informacje związane z historią Rzeczypospolitej. Pan Edward Kajdański opracowując historię podróży Maurycego Beniowskiego badał także dokumenty związane z rolą Banksa w przygotowaniu i wydaniu Pamięt-

ników Beniowskiego, jak i zainteresowanie angielskiej admiralicji dla relacji polskiego podróżnika. Pozostałe „polonika” w korespondencji Banksa pozostają jednak nadal słabo poznane i to pomimo ich dużego znaczenia dla polskiej historii.

W korespondencji angielskiego przyrodnika wielokrotnie powraca nazwisko tajemniczego polskiego podróżnika, Antoniego Pantaleona Hove. Nazwiska tego nie wymieniają ani Encyklopedia PWN ani Słownik Biologów Polskich, choć z zachowanych w Wielkiej Brytanii dokumentów wynika, że jest to postać o pierwszoplanowym znaczeniu dla osiemnastowiecznej nauki. Po raz pierwszy nazwisko to pojawia się w liście angielskiego fizyka i polityka Sir Ch. Blagdena z 10 września 1785 roku, który w związku z przygotowaniami wyprawy okrętu *Nautilus* w stronę nadal słabo wówczas poznanych regionów Afryki, pisał iż „Aiton jeszcze nie znalazł młodego botanika dla potrzeb wyprawy, Graefer (ogrodnik królowej Neapolu – P.D.) przywiózł ze sobą młodego Polaka nazwiskiem Au” (później na jego własne życzenie nazwisko zmieniono na Hove). Lord Admirał Neapen wyraził jednak wątpliwości co do zatrudnienia cudzoziemca na wyprawę o tak strategicznym dla Wielkiej Brytanii znaczeniu. Blagden i Banks podkreślając pracowitość i wysokie kwalifikacje młodego Polaka zdołali jednak przekonać admiralicję i we wrześniu 1785 roku Hove został zaokrętowany na pokład *Nautiliusa*. W korespondencji Banksa zachowało się kilka listów wysłanych przez polskiego podróżnika, dotyczących głównie poszukiwania, zbioru i transportu roślin. Jego nazwisko pojawia się także w listach polityka i królewskiego urzędnika, Williama Fawckenera w związku z decyzją podjętą przez lordów z Komitetu Handlowego wysłania Hova do Bombaju w celu zebrania nasion roślin, głównie bawełny i zapoznania się ze sposobami ich uprawy. Misja ta była pierwszym etapem wprowadzania bawełny do brytyjskich kolonii w Ameryce Środkowej w celu zminimalizowania strat poniesionych w tej dziedzinie w rezultacie uzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone.

Hove zbierał rośliny także w Rzeczypospolitej. W liście wysłanym z Petersburga 20 września 1795 roku pisał, że wydarzenia polityczne uniemożliwiły mu kontynuowanie pracy,

a zbiory roślin utracił w wyniku wydarzeń związanych z polskim powstaniem. On sam schronił się w Petersburgu i będzie kontynuować podróż na tureckim okręcie. Rok później w liście z Odessy informował Banksa o znalezieniu nieznanego gatunku żółtej azalii, który mieszkańcy Krymu używają dla leczenia gorączkujących zwierząt. Ostatnia informacja na temat Hove'a w korespondencji Banksa zawarta jest w jego liście (27 listopada 1812) do angielskiego przyrodnika Thomasa Knighta. W liście tym Banks informuje o żółtych azaliach przywiezionych z Krymu i przedstawia Hove'a jako doskonałego pracownika ogrodu w Kew, przypomina jego misję w Indiach i relacjonuje jego studia fizyki w Niemczech i medycyny u Johna Huntera w Anglii.

Honorowy tytuł Uniwersytetu Wileńskiego był nie tylko wyrazem uznania dla naukowych osiągnięć Banksa, ale także podkreśleniem związków wileńskiej uczelni z angielskim uczonym. W jego korespondencji znajduje się kilka listów wysłanych z Wilna. W liście z 10 listopada 1804 roku profesor medycyny Józef Frank dziękuje Banksowi za miłe przyjęcie jakiego doznał w Londynie, prezentuje pana Bécu, swojego przyjaciela i profesora fizjologii w Wilnie, przedstawia ogólną sytuację Uniwersytetu, a także opisuje swój przyjazd z Wiednia i informuje o wydaniu pierwszej części relacji ze swojej podróży.

Johann Georg Forster dobrze znał Sir Josepha Banksa, był przecież jego następcą jako przyrodnik towarzyszący wyprawom kapitana Cooka. Wśród listów jakie wymieniali obaj przyrodnicy, kilka listów Forstera pochodzi z okresu gdy zatrudniony przez Komisję Edukacji Narodowej kierował Katedrą Historii Naturalnej w Wilnie. W liście wysłanym 22 maja 1785 roku Forster wspomina swój przyjazd do Wilna z Kassel w listopadzie 1784 roku, informuje Banksa o konfliktowym odejściu Giliberta z wileńskiej katedry jak i o bałaganie panującym w opuszczonym ogrodzie botanicznym, bibliotece i muzeum przyrodniczym. W liście tym wyraża także zainteresowanie szatą roślinną Litwy, która wydaje mu się bardzo bogatą. Banks listem z 31 maja 1785 roku prosił Forstera o przysłanie mu egzemplarza flory litewskiej opracowanej przez Giliberta. W liście z 11 grudnia 1785 roku

Forster obiecuje zdobycie i przesłanie do Londynu egzemplarza pracy Giliberta. W tym samym liście mowa jest o ilustracjach do niemieckiego wydania relacji z podróży z kapitanem Cookiem, Forster pragnie także wytłumaczyć motywy jego nielojalności wobec brytyjskiej administracji i towarzyszy podróży w sprawie pierwszeństwa wydania owej relacji. W liście wysłanym 6 stycznia 1786 roku Banks informuje Forstera, że udało mu się zakupić dla potrzeb swojej biblioteki florę litewską Giliberta. Jest to ostatni znany list w korespondencji obu przyrodników.

Nazwiska przyrodników związanych z Rzeczypospolitą, pojawiają się w korespondencji Banksa także w związku z wizytami w Anglii lub rekomendacjami do Royal Society. W liście z 6 sierpnia 1818 roku francuski przyrodnik i podróżnik Barthélemy Faujas de Saint Fond poleca Banksowi młodego uczonego z Kurlandii, Edwarda Eichwalda, późniejszego profesora i kierownika katedry zoologii Uniwersytetu Wileńskiego i autora licznych prac o litewskiej przyrodzie. W liście z 8 października 1791 roku angielski fizyk sir Charles Bladgen informuje Banksa o hydrometrze nowego typu i doświadczeniach przeprowadzonych w Blampton Poorhouse. W grupie czterech uczonych uczestniczących w owych doświadczeniach wymieniony jest generał Jan Komarzewski, szef kancelarii wojskowej Stanisława Augusta Poniatowskiego i doradca króla. Nazwisko Komarzewskiego pojawia się także w korespondencji Banksa z sir Williamem Herschelem, konstruktorem największego w tamtych czasach teleskopu i odkrywcą m.in. planety Uran i księżyców Saturna. Herschel (list z 30 listopada 1790 roku) rekomendował kandydaturę Komarzewskiego do Royal Society i prosił Banksa o jej wsparcie. Jan Komarzewski został wybrany członkiem tej prestiżowej organizacji w maju 1792 roku. Był to jeden z pierwszych i rzadkich przypadków nadania członkostwa Royal Society uczonemu amatorowi. W korespondencji sir C. Bładgena z Banksem pojawia się także nazwisko Józefa Hoene-Wrońskiego w związku z jego przyjazdem do Anglii, zwolnieniem z cła bagaży zawierających manuskrypty i przyrządy naukowe jak i w związku z pożyczką udzieloną młodemu polskiemu filozofowi.



Francuski geolog i botanik Baltazar Hacquet, związany z uniwersytetem lwowskim i krakowskim, także należał do korespondentów Banksa. W pochodzącym z lwowskiego okresu jego pracy liście (1 września 1787) informuje angielskiego przyrodnika o postępach w badaniach i o opracowaniu opartej na przeszło dwudziestoletniej obserwacji teorii o strukturze łańcuchów górskich. Hacquet pisze, iż przyjechał do Rzeczypospolitej aby badać Karpaty ale obecnie wojna uniemożliwia mu prowadzenie prac. Czwarty tom swojego dzieła o strukturze gór pragnie zadedykować Royal Society.

Część korespondencji Banksa związana jest także z niemieckimi przyrodnikami i instytucjami naukowymi silnie związanymi z Rzeczypospolitą. Filip Lampe w liście z 18 marca 1780 roku przesłał Banksowi dyplom Gdańskiego Towarzystwa Przyrodznawczego. W tym samym roku Zorn von Probsheim przesłał informacje o nadaniu angielskiemu przyrodnikowi honorowego członkostwa przez Gdańskie Towarzystwo Literackie i Naukowe w uznaniu jego zasług w poznawaniu południowych mórz.

*Piotr DASZKIEWICZ*

## LISTY DO REDAKCJI

### KOMENTARZ DO RECENZJI

Autorem pierwszej rozprawy w pierwszym tomie „Materiałów do Dziejów Uchodźstwa” jest prof. Tadeusz Wyrwa; on również podjął się obszernej recenzji wydanych dotychczas tomów, opublikowanej w 122 numerze *Zeszytów Historycznych*. W jej wstępie Autor nieco przeczy samemu sobie, bo najpierw żałuje, że „mimo kilkudziesięciu lat istnienia emigracji nie postarano się o opracowanie jej dziejów” (str. 9), a gdy do tego doszło – uważa to „za spóźnioną inicjatywę”.

Recenzent ma uznanie dla rozmiarów tego wydawnictwa (7 tomów, 72 współpracowników, 3832 strony), ale zachowuje rezerwę „w stosunku do treści” (str. 10). Na innym miejscu uważa je „za drogowskaz nieprawidłowo ukierunkowanej” (str. 18-19). Dla poparcia swej krytycznej oceny – Recenzent podpira się wypowiedziami znanych działaczy politycznych emigracji, że „politycy nie mogą pisać historii, bo by pisali o sobie, mówiąc o wydarzeniach ostatnich lat... oceny politycy postawić nie mogą” (str. 38-44). Meritum krytycznej postawy Szanownego Recenzenta znajdujemy w zdaniu: „opublikowane ‘Materiały’ nie mogą w żadnym wypadku stanowić historii drugiej emigracji” (str. 44). Ta surowa ocena nie może pozostać bez komentarza.

Na treść „Materiałów” składa się historia polityczna uchodźstwa w okresie 1945-1990, jego organizacji i ich działalności, wiążących się z Rządem RP w Londynie. Ten okres został zamknięty aktem przekazania insygniów władzy legalnie wybranemu prezydentowi Polski. Nie podejmuję się definicji tej części społeczności polskiej pozostającej poza Krajem po tej dacie. Ma już inny charakter i czeka cierpliwie na datę swego zamknięcia.

Aby okres sprzed 1990 r. nie uległ zapomnieniu, należało podjąć próbę utrwalenia jego dziejów. Kto był inicjatorem tego, kto opracował program, powołał Komitet, dobrał redaktorów, kto czuwał nad wykonaniem programu – zainteresowani znajdą odpowiedź na te pytania w mojej rozprawie w XXXIX tomie „Rocznika” PTNO (Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie).

Trudnością, która ciąży na wszystkich dziełach w zbiorowym opracowaniu jest wyznaczony termin nadsyłania prac; konieczny pośpiech mógł więc zaciążyć na ich treści. Niemalą trudność nastęrczała również heurystyka: dotarcie do źródeł, nie zawsze dotąd ujawnionych. Przykładem może służyć historia emigracyjnego teatru. Gdyby nie wczesny zgon – jego niedorównany historykiem byłby dr Jan Ostrowski, który obserwował teatr emigracyjny od jego zarania, tworząc archiwum jego dziejów w postaci listów aktorów, tytułów i autorów sztuk, recenzji, plakatów itp. To archiwum poznałem i podziwiałem. Sądzę, że nie uległo rozproszeniu, bo ma spadkobiercę – ale nie jestem upoważniony do wymieniania jego nazwiska. Niemalę trudności nastęrczała chronologia piśmiennictwa; są dwa jego opracowania: zbiorowe i indywidualne, ale oba mają już siwe brody. W „Materiałach” poprzestano na zaakcentowaniu faktu istnienia piśmiennictwa emigracyjnego w okresie trwania Rządu RP na Uchodźstwie, licząc się z faktem, że ono istnieje i rozwija się, czego dowodem jest żywotność Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Przy omawianiu Instytutu Badań Zagadnień Krajowych, recenzent wyraził ubolewanie, że nie stworzono analogicznego Instytutu Badań Emigracji. Zbędne, bo źródłem do dziejów emigracji od r. 1945 do 1990 jest aż nadto liczna prasa, a dla środowiska londyńskiego roczniki „Polskiego Informatora”, publikowanego przez Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii. Zresztą taki Instytut istnieje od lat w Poznaniu.

„Materiały” nie są dziełem polityków. Wśród siedmiu redaktorów, tylko jeden był ministrem, ale jest on również historykiem i członkiem PTNO. Pozostali byli w różnym stopniu włączeni w nurt działalności organizacji i instytucji emigracyjnych w Londynie. Zdobyte doświadczenie i poczynione obserwacje to była ich szczególnie ważna zaleta przy zaproszeniu autorów do redagowanych tomów. Ktoś nie mający tych doświadczeń stanąłby wobec niewykonalnego zadania. Brak opracowania emigracji w Niemczech i innych krajach poza W. Brytanią jest czasowy; traktuje o tym tom IV, prawie gotowy do druku.

Dzieje najnowsze, traktujące o czasach i wydarzeniach chronologicznie bliskich autorom, mają już ustalone miejsce w podziale historii na okresy, a ich adepci ratują wiele wydarzeń od zapomnienia. Współautorzy „Materiałów” są w ich gronie. Przyświecała im myśl formułowana tysiącrotnie w arenach dokumentów średniowiecznych: *quoniam ea, quae aguntur in tempore, simul cum tempore dilabuntur, nisi testimonio literarum fuerint perennata* (wszystkie dokonania w czasie przemijają z nim, o ile nie są utrwalone na piśmie).

Józef JASNOWSKI

## KOMENTARZ DO KOMENTARZA

Drogi Panie Redaktorze!

Czytelnik zainteresowany dziejami emigracji w londyńskim wydaniu, zechce może ponownie przeczytać moją recenzję, gdzie znajdzie już właściwie odpowiedź na to o czym pisze prof. Józef Jasnowski w swoim komentarzu. Ograniczam się przeto do kilku ogólnych raczej uwag.

Nie widzę żadnej sprzeczności między stwierdzeniem faktu, iż nie postarano się wcześniej o opracowanie dziejów emigracji i ubolewaniem nad spóźnioną inicjatywą; pisałem przecież o powodach, a zwłaszcza skutkach spóźnionej inicjatywy, jedno z drugim jest ściśle związane. Prof. J. Jasnowski sam zresztą przyznaje, że „konieczny był pośpiech”, a więc gdyby zabrano się dawniej do opracowania dziejów, „Materiały” miałyby może trochę inny wymiar. Autor nie podziela mojego zdania, iż należało utworzyć Instytut Badań Emigracji, gdyż według niego źródła do dziejów emigracji można znaleźć w licznej prasie i w rocznikach „Polskiego Informatora”. Tego ostatniego nie znam i nie dostrzegłem odwoływania się do jego roczników w opublikowanych „Materiałach”. Natomiast prasa na emigracji, poddana w różnych okresach cenzurze, zwłaszcza w Londynie, stanowi mimo wszystko cenne źródło, ale kto ma do tego źródła dotrzeć i wyluskać przysłowiowe ziarno z plewy? Przecież nawet redaktorzy VII tomu (Andrzej Suchcitz, Ludwik Maik i Wojciech Rojek) „Materiałów” piszą: „W zasadzie nie korzystaliśmy z prasy codziennej (a z innej również nie – T.W.) i druków ulotnych ze względu na dość licznie występujące w nich błędy” (str. XXVII).

Na przytoczone przeze mnie, w odniesieniu do „Materiałów”, wypowiedzi znanych w Londynie działaczy, jednego że „politycy nie mogą pisać historii...” i drugiego mającego „wątpliwości co do potrzeby ‘pisania historii o sobie’”, prof. J. Jasnowski wyjaśnia, że „wśród siedmiu redaktorów, tylko jeden był ministrem”. Wydaje mi się jednak, że do polityków można zaliczyć nie tylko tych, którzy sprawowali funkcje ministerialne. Jeśli chodzi o polski Londyn, to przeważnie każdy działający w jakiejś organizacji uważał się za polityka i chyba głównie dlatego brak tam było autentycznie polskiej polityki.

Nawiązanie do łacińskiej maksymy – którą prof. J. Jasnowski kończy swój komentarz – o potrzebie utrwalania na piśmie tego, co zostało dokonane, jest oczywiście bardzo na czasie. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: co utrwać?! Tutaj dochodzimy do sedna rzeczy, bo dokonania były różne. Wszyscy wiemy, powinniśmy widzieć, jak ogromnie zagmatwane są dzieje najnowsze, które po totalnym ich zakłamywaniu przez kilkadziesiąt lat, są teraz, w no-

wej sytuacji i w częściowo zaledwie nowym ujęciu, fragmentarycznie odtwarzane i dalekie jeszcze od globalnej wizji, bardzo skomplikowanej zresztą historii nie tylko Polski, ale i całej Europy. Odkłamywanie zbiorowej świadomości społeczeństwa jest procesem długofalowym, uzależnionym w dużym stopniu od nabywanej obecnie wiedzy przez młodzież i z myślą o niej, zasadniczym na bieżąco celem polskiego dziejopisarstwa, winno być przewrócenie historiografii wiarygodności.

Nowym rozdziałem w historiografii polskiej są ukazujące się od kilku lat w Kraju opracowania na temat emigracji, przygotowywane w okolicznościach, które nie sprzyjają bardziej bezstronnemu przedstawianiu dziejów uchodźstwa. Tematyka emigracyjna stała się od jakiegoś czasu atrakcyjna i jak to już u naszych Rodaków bywa – z jednej krańcowości przerzucono się w drugą: od krytyki (praktycznie mało skutecznej) rządów nomenklatury komunistycznej do idealizowania, „na pocieszenie”, b. rządu w Londynie i tamtejszych instytucji, których reprezentanci, zapraszani do Kraju, służą tam do dekoracji na różnych uroczystościach, bez żadnego wpływu na bieg wypadków.

Doszedł ważny nadto czynnik natury materialnej: autorzy tematów z życia emigracji są przeważnie subwencjonowani przez różne instytucje, głównie polskiego Londynu, co jest zrozumiałe, bo część historyków z Polski nie stać na przyjazd do pracy w londyńskich archiwach. Nie wszyscy jednak autorzy, którzy korzystają z dotacji, potrafią zachować niezależność, stąd różna jest wartość publikowanych książek. W żadnym wypadku nie powinna być stosowana podwójna moralność w ocenie polskiej historiografii: krytyczna wobec utrwalaczy sfalszowanej w latach PRL historii i tolerancyjna dla utrwalających dzieje emigracji w krzywym zwierciadle. Szczególnie odpowiedzialne pod tym względem zadanie przypada na emigracyjne ośrodki, których publikacje winny być przykładem obiektywizmu i wszechstronnego opracowania historii uchodźstwa. Niestety, wydane w Londynie tomy „Materiałów” zadania tego nie spełniają\*.

Łączę wiele najlepszych pozdrowień

*Tadeusz WYRWA*

---

\* Nie chciałbym jednak umniejszać wkładu pracy prof. Józefa Jasnowskiego, bez względu na jej rezultat. Mile zachowałem w pamięci nasze spotkanie w Londynie, a szczególnie przyjęcie bez zastrzeżeń przez Profesora mojego referatu – krytycznie oceniającego dziejopisarzy emigracyjnych – jaki wygłosiłem na Kongresie Kultury Polskiej na Obczyźnie, który odbył się w Londynie we wrześniu 1985 roku.

## SPIS TREŚCI

Bronisław Baczko: <i>Niepokój historyka</i> . . . . .	3
Aleksander Kolańczuk: <i>Generałowie polscy w Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej 1917-1920</i> . . . . .	22
Aleksander Kolańczuk: <i>Generałowie Ukraińskiej Re- publiki Ludowej internowani w Polsce</i> . . . . .	27

## WSPOMNIENIA

Bożena Puchalska: <i>Było to tak... (Rozmowy z Juliuszem Hibnerem)</i> . . . . .	33
--	----

## KSIĄŻKI

Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Jak robiliśmy encyklopedię</i> . .	179
Emanuel Halicz: <i>Polska w oczach Niemców</i> . . . . .	195
Tadeusz Wyrwa: <i>Sandomierski pułk Armii Krajowej</i> .	199
Zdzisław Nicman: <i>Książka o Brześciu nad Bugiem</i> . .	204
A. Kamieniecki: <i>Pomnik Stanisława Mikołajczyka</i> . . .	206
Z.S. Siemaszko: <i>Mieczysław Pruszyński o 1920 roku</i> .	209
<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> . . . . .	214

## OKRUCHY HISTORII

Maciej Siekierski: <i>Polskie zbiory Instytutu Hoovera</i> . . .	216
Arthur Sehn: <i>Król Polski Abraham Prochownik</i> . . .	220
Piotr Daszkiewicz: <i>Rzeczpospolita w korespondencji sir Josepha Banksa</i> . . . . .	229

## LISTY DO REDAKCJI

Józef Jasnowski: <i>Komentarz do recenzji</i> . . . . .	234
Tadeusz Wyrwa: <i>Komentarz do komentarza</i> . . . . .	236

ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 10 JUIN 1998  
SUR LES PRESSES  
DE  
L'IMPRIMERIE NOUVELLE  
16-24, RUE SOUBISE,  
93400 SAINT-OUEN  
Dépôt légal : 2<sup>e</sup> trim. 1998  
N° d'imprimeur : 2949





F 90